NIEZAPOMINAJKI.

ROK PIĄTY.

ZA POZWOLENIEM CENZURY.

Nakładem Wydawcy.

NIEZAPOMINAJKI

NOWOROCZNIK

NA ROK
1843.

WYDANY

PRZEZ

KAROLA KORWELLA.

OZDOBIONY PIĘCIĄ RYCINAMI.

WARSZAWA
W DRUKARNI
BANKU POLSKIEGO.

SPIS RZECZY

PODŁUG IMION AUTORÓW,

SPIS RYCIN.

NIEZAPOMINAJKI.

POMNIK JANA III^GO W ŁAZIENKACH.

OBRAZ HISTORYCZNY.

Piękny był dzień 18 Września 1788 r: po ranku rosistym słońce wzbiło się bez chmury, i ciepłem rozgrzewało chłód gaików łazienkowskich. W dniu tym cała Warszawa wybiegła w tę ustroń letnią króla Stanisława Augusta, bo ogłoszono że pomnik Janowi III wykuty z kamienia, odsłonionym zostanie i poświęconym. Zapowiedziano turnieje i teatr. Cały *Nowy Swiat* zabudowany w ówczas lichemi dworkami pod gontem i słomą, pełen pustek zawalonych szychtami

drzewa i nieczystości, gdzie się ukrywali groźni złodzieje i rabusie, od świtu niemal zapchany był tłumami ciekawych, co biegli do Łazienek. Zamarłe imie bohatéra, po sto przeszło leciech, zabrzmiało znowu w murach starego Mazowszanów grodu. — Dziwna rozmaitość ubiorów jadących i pieszych cechowała te tłumy. Kontusze i rogatywki przy bogatym i litym pasie i podgolonéj czuprynie, to kapelusze z harbajtlami, fraki szerokie. Kamizelki wyszywane po kolana, tam buty podkówkami i ostrogą brzęczące, tu trzewiki z błyszczącemi sprzążkami i wstążkami. Jednego magnata dżokieje angielscy wiozą, drugi w poszóstnéj karecie po dawnemu z hajdukami i pajukami, a przed końmi leci *Laufer* w kapeluszu z piórami, wystrojony jak za dni naszych szybkobiegacze. Staréj daty Polonusy przystroiwszy stępaki w rzędy sute dziadowskie, konno cwałowali, dzwoniąc ostrogą i szablą. (*)

Miały się odbydź Turnieje! Myśl piękna i godna pomniku bohatéra, który w dniach swéj młodości łamał w turniejach kopie, dla zyskania nagrody od *pięknéj* wybranéj. Jak walczył dzielnie, umiał i kochać stale, a ta miłość w jego sercu szlachetném z późniejszémi laty zmieniwszy się w uległość dla pięknéj Maryi Kazimiry, zatruwała mu nie jedną dobę

(1) Taką mieszaninę w któréj już z kontuszem szły dawne obyczaje w poniewierkę, wybornie wystawił sławny malarz Orłowski w ślicznym obrazie odpustu w kościele Belwederskim. Obraz ten wywiózł do Francyi Xże Tajlerand, piękną kopię zrobioną na prędce przez artystę P. Korwin: posiada Referendarz Stanu Lelowski.

życia, i poczciwie zdobytą sławę na szwank wystawiała.

Myśl piękna — ale nie w tych czasach, kiedy u znakomitszych rodzin młodzieży, już ręka i głowa zniewieściała, a właśnie tę młodzież niedołężną wezwano do turniejów.

Aby urok i świetność rycerskiéj gonitwy utrzymać, zamierzono przybrać się w stare zbroje: lecz kiedy olbrzymie pancerze i przyłbice okurzono z pyłu wiekowego, nowi nasi gońce byli niektórzy co nietylko podźwignąć, ale cali schować się mogli, w samym pancerzu i przyłbicy tylko. Zaniechano więc zuchwałego pomysłu, kazano nowe zbroje lekkie i cienkie nie ukuć, ale zlepić, i w nich coby cięcia poczciwego karabeli żadna nie wytrzymała, w świetnych barwach, z piórami strusiemi, okazale po teatralnemu ale nie po rycersku wystąpiono.

Zapełniły się gaje Łazienek mrowiem ludności, która ciekawie wyglądała chwili aby zaczęto obrzęd świetny. Długi czas skracano sobie to przegryzką przyniesioną z miasta, to z bufetów, a wszędzie lśniły butelki to z węgrzynem, to sławnym Częstochowskim piwem, jakby na przekor pochlebnéj pochwale Krasickiego, że już kufle zniknęły. Sączył się jak i dzisiaj zdrój czystéj wody z pod góry, z którego gasiła pragnienie świętych cnót Anna Jagiellonka, ale nikt przy nim nie szukał ochłody! Zdaniem nawet w ówczas było lekarzy, że woda dla gęsi, wino i piwo dla człowieka.

Król z orszakiem i dworem okazał się narodowi:

z okrzykiem radości powitano Monarchę, który w lokach, hiszpańskim ubiorze bogatym, patrząc na zegarek jaki miał w guziku od fraka, dziękował uprzejmie za powitanie i dawał znak, że czas rozpocząć obrzęd. Dwadzieścia cztéry lat kończyło się właśnie jak panował Stanisław; słynny z pięknéj postaci ciała, już wiele ze swym narodem burz przebył, a chmury nowe, brzemienne smutną przyszłością, naciągały zwolna.

Otoczony orszakiem świetnym pań i magnatów dworu swego, niemałą drużyną, w któréj odznaczały się wyrazistsze rysy Naruszewicza, Hugona Kołątaja, Wyrwicza, Krasickiego, Trembeckiego wyniosłego postacią nad innych, postępował poważnym krokiem, zająć właściwe sobie miejsce.

Pomnik Jana III^go^ już stał na moście, ale okryty namiotem. Dano znak i w szrankach okazał się jak dobrze wtedy nazywano »*Karuzel*" rycerzy zbrojnych, którzy nie umiejąc dobrze władać pięknemi rumakami, po skruszeniu wątłych kopii, gdy kilku wypadło z siodeł, opuścili miejsce nie męzkiego boju, to na poły przy oklaskach dworskich, to wśród śmiechu starych Polonusów.

Wieczór już był—zajaśniały tysiączne ognie, i wśród huku dział, opadł namiot; ukazała się bohatérska postawa Jana III^go^ na dzielnym koniu jak tratuje Turków zwyciężonych.

Zamilkł naród na ten widok, upadł na kolana, wyciągnął ręce jakby go wzywał na swego patrona, i potokiem łez zapłakał. Gdyby mógł ożyć ten król

waleczny i spójrzał w tę chwilę, miałby osłodzony cały ciężar korony, na który tak utyskiwał.

Zdziwił się Stanisław August, i panie i panowie, i dworzanie, że okrzyku nie słyszą: nie widzieli że naród w milczeniu niższy kolanem, łzami radości cześć bohatérowi składa.

Dopiéro po długiéj chwili, w okrzyku krzepkim zagrzmiał radością: gdyby w téj dobie Jan III[ci] podniósł buławę, wszyscyby biegli za nim ochoczo do boju: ale kiedy lud spójrzał na *dobrego* Stanisława Augusta, który z uśmiechem łagodnym mile z pod fryzury woniącéj, rzucał wzrok na piękne damy: westchnieniem boleśnym dławił wrzawę serca, i w postaci ciekawego tłumu patrzał co będzie daléj.

Owoż był teatr; dekoracya wyobrażała las, w nim ołtarz za którym statua Jana III[go]. Spiewające osoby były: Korydon pasterz, Tymoklea, Amarylla, Erofila pasterki, pospólstwo to był chór powszechny. Pasterza grał Kaczkowski, pasterki pani Jasińska i panny Sitańska i Rudnicka, wszystko aktorzy ówczesnego teatru. Wystrojeni z całą sumiennością jak pasterze sielankowi, pod pomnikiem Sobieskiego tak odegrali, wśród hucznéj muzyki. (*)

AMARYLLA.

W téj lubej gajów odległych przestrzeni,
Gdzie prac i starań jarzmem uciążona,

(1) Sztuka ta wyszła z druku tegoż roku 1788 w Warszawie w Drukarni Dufour in 12 stronnic 15 i z niéj wypis rzetelny niniéjszy.

W zaciszu spokojnych cieni
Krótkich wytchnieniów zażywa korona.
Cóż to za nowe los widoki zdarza,
Już u tego ołtarza,
Gdzie Flora kwiat różany, owoce Pomona,
I snopki brała Ceres kłosem uwieńczona
Poważne bóstwo jakieś, zbrojny hołd odbiera,
Wszędy się rozpościera.

(*muzyka huczna.*)

Głos mężów
Szczęk orężów,
Tętent koni
Blask od broni.

ARYA.

A na ten obraz wspaniały,
Chciwa bohatérskiéj chwały,
Szlachetna młodzież się zjawia,
I Marsa gony wyprawia.

DUO.

TYMOKLEA Z AMARYLLĄ. (*muzyka żałośna*)

Nowe nadchodzą widzę zwyczaje,
Z czasem się mienią narody.
Przyjdzie was rzucać rozkoszne gaje
I was przezroczyste wody!

TYMOKLEA *sama.*

Wesołych trzódek zbiory niewinne,
Jedyna wiosek podporo,
Pójdź trawkę zrywać w inną kraine,
Mieszkać tu daléj nie sporo.

TYMOKLEA Z AMARYLLĄ.

Gotujmy siostry z tąd odwrót chyży,
Płci naszéj lękliwa dusza,
Ze srogim brzękiem marsowéj śpiży,
Fletnia się nie zda pastusza.

Głos Damy z balkonu królewskiego.

L'éloquence entraînante!

Jeden z widzów.

Co ony tam brydzą, dobrze fora z dwora, tu trzeba takich co to bywali na koniu i pod koniem. Vivat nasz kochany Sobieski!

Głosy z balkonu.

Entendez-vous.—Helas!...

TYMOKLEA *sama.*

Tobie o Panie coś nas w te cienie,
Przygarnął i naszą trzodę,
Niech wdzięczności żywe westchnienie,
Wietrzyk roznosi w nagrodę.

Jeden z widzów.

No to więcéj do rzeczy: dziękuje panu, to dobrze, bo im płaci za to!

Głosy.

Cicho! Cicho!

KORYDON.

Zaspokój błędna myśli niepotrzebna trwogi,
Prawdziwy rycerz dla nas nie srogi:
Szacowne męztwo, zawsze przy rozumie
Dobroczynność łączyć umie.

Głos z parteru.

Baj bardzo! nieznasz wasze widać naszego pospolitego ruszenia.

ARYA.

Choć mieczem grozi, choć połyska zbroją,
Kmiotek go lubi, miasta się nie boją.
Na to się do wojennéj zabiera on sprawy,
By ochraniał współziomków majątku i sławy.
I ten, co się go lękasz, był ojciec kochany,
Do niego wolny przystęp miał każden poddany,
Rolnik swe zbierał bezpiecznie plony,
Pasterz woliki pędził na zagony,
A pastereczka hoża i śmiała,
Kwiatki z uśmiechem mu podawała;
Tego to tylko wzrok jego raził,

Kto zdradzał, zdzierał i prawa kaził,
Bezpieczny naród był na jego łonie.

EROFILA.

Jakiż to jest Bohatér, powiedz Korydonie?

KORYDON.

Alboż to nie znać téj wspaniałéj miny
Potomka sławnéj w ojczyznie *Janiny*, (1)
Ten rumak co się pod nim żartkim kołem toczy,
Ta stal glansowna, co mu pierś waleczną tłoczy,
Ten szyszak, co mu czoło poważne pokrywa,
I z lekkiemi wiatrami pierzem poigrywa,
Postawę Sarmackiego Alcyda wydaje,
Ten on ubior, takowe kochał obyczaje.
By zwykając do trudów i wojennéj pracy,
Imie swe i ojczyzny wsławiali Polacy.

Liczne głosy Szlachty.

Brawo Kaczkosiu, brawo, w to nam graj!

Głos z balkonu Damy.

Quel blasphême!

ARYA.

Tego ci Króla z głazów wywodzi
Na przykład sławy szlachetna młodzi

1 Herb. Jana III.

Ten, co cię równie kocha, i czuje
Jak cię zawisny wyrok krępuje,
A na potomne twardy grunt plony,
Potem zlanemi żyzni zagony.

Głosy z parteru.

To dobrze, ale kiedy widzi że źle, to niechże zaradzi.

ARYA.

Ustąpcie wieki pieskliwe,
Hańbiąca Narody skazo,
Tam tylko czasy szczęśliwe,
Gdzie rozum daje żelazo!

Głosy wszystkich.

Brawo! brawo; co prawda to nie grzech!

Teraz pasterki przystąpiły ofiarując Bohatérowi kwiaty i wonie: w milczeniu publiczność dosłuchała śpiewów czuło mglistych. Dopiero marsz żołnierski, niesmak zamienił w radość powszchną i uniesienia serdeczne, szczególniéj gdy zabrzmiały słowa.

Drży ziemia pod orężem gromadzą się zbrojne
Roty, uffy, chorągwie, trąby głoszą wojnę,
Wszędy mężna ochota i głos jeden leci,
Wygraliśmy kiedy nam przodkuje Jan trzeci.

Już na placu ochotne ustanawia szyki,
Dały hasło do bitwy tysiączne okrzyki,
Siecze, strzela, naciera, zgodnie pomięszany,
Mężny Lech z walecznemi wespół Allemany.

Huczne oklaski przygłuszały chór obsadny, gdy muzyka zmieniając marsz żołnierski w żałośną uderzyła nutę, a pasterka Tymoklea zaczęła śpiew smętny.

W poczcie niebieskich kół zawieszony,
Twój Janie puklerz mężny i dzielny,
Nie świeci więcéj na nasze strony,
Okrył go chmurą pomrok śmiertelny.

Już była niemal północ, dwaj jezdcy nie czekając końca widowisk, kłusowali aleami, i taką wiedli rozmowę.

Piérwszy.

Co ta pasterka śpiewała o kołach niebieskich.

Drugi.

A to widzisz panie bracie, Astronom jakiś z Gdańska, wynalazł nowe dotąd niewidane gwiazdy, i nazwał tarczą Sobieskiego.

Piérwszy.

Diablić potym, Sobieski nie żyje, a tarcza za wysoko.

W tym usłyszeli tętent, i nadjechał jeden z dworskich królewskich.

Piérwszy.

A co, czy tam skończyli już śpiewać.

Dworzanin.

Szkoda że panowie na końcu nie byli, ślicznie śpiewano, zachęcano do zgody wszystkich, że Król jegomość ojcowskie wyciąga ramiona, do uprzéjmego zaprasza was łona.

Obaj jezdcy parsknęli śmiechem, a razem odrzekłszy: »albosz to my białogłowy..” ubodli ostrogami i szybko znikli, zostawując zdumionego Dworzanina.

⁂ ⁂ ⁂

Posąg Jana III^go z jednego kamienia wykuty, wyobraża Bohatéra w stroju rzymskim, na dzielnym rumaku który tratuje zwyciężonych Turków. W prawéj ręce wzniesionéj trzyma buławę, lewą wstrzymuje zapęd konia. Po obu stronach znajdują się tarcze ozdobione zawojami tureckiemi, na których są polskie i łacińskie następujące napisy:


PROPRIO MARTE TUTA


PRISCA VIRTUTE FELIX

JOANNI III R. P. M. D. L. PATRIA SOCIORUMQUE DEFENSORI NOBIS EREPTO A. MDCCXXXXVI. S. A. R. A. MDCCXXXVIII.	JANOWI III. K. P. W. X. L. SOJUSZNIKÓW OBROŃCY KTÓREGOŚMY STRACILI R. 1696. S. A. R. R. 1788.

Pod postawą samego posągu napis: *François Pinck* fecit.

Obwiniano zaraz Stanisława Augusta, że wystawieniem tego pomniku obraził sobie Turcyę, i przez to niezawarł pomyślnego traktatu.

Z powodu wzniesienia pamiątki Janowi III[mu] król bić kazał medale, którego wierny przerys dołączamy

Kaź: Wład: Wójcicki.

GUZÓW.

R. 1607.

DUMA HISTORYCZNA.

(ze starego rękopismu.)

I.

Koniku mój wrony, czemuś głowę schylił,
Czyś ty wilki poczuł czy drogę pomylił?
— Anim wilki poczuł, ni drogę omylił,
Ino z serdecznegom żalu głowę schylił.
Bo może cię razem, i zemną zabiją,
Czarne oczy czerwonym proporcem nakryją,
A ja w szczerym polu, ni to pogrzebiony,
Rozdziobią mnie czarne kruki i gawrony!

— Skądże o mój koniu takie myśli teraz
Szliśmy do potrzeby (*) już z sobą nieraz,
A niosłeś mnie żwawo, a niosłeś mnie żywie,
Do białego dworu wracalim szczęśliwie!
— O mój towarzyszu jak się niezasmucić,
Do białego dworu możem jeszcze wrócić:
Niewrócim wesoło, jak dawniéj do chaty,
Bo idziem wojować nasze rodne braty.
A Towarzysz westchnął—głowę smutno schylił
Koń go poniósł w oboz drogi niepomylił.

II.

Po obudwu stronach już Hussarze lecą,
I skrzydły machają i zbrojami swiecą;
Oj! zapłaczcie matki, i żony, i siostry,
Na własną krew swoją, poniosą kord ostry!

Kawki lecą stadem, wrony zakrakały,
Cieszą się że strawę swieżą będą miały!
A towarzysz młody stoi zadumany
Rychło ci do rzezi dadzą rozkaz pany;
I trąby i kotły zarazem zagrzmiały
Sztandary Króla rozwite powiały.

III.

Królewskich wojaków jak kawek na słotę,
Jaśnieją pancerze, naramniki złote,

(1). Potrzeba, bitwa, walka.

Zataczają obozni dostatnie *majdany*,
Idą artyleryczne *smoki* i *kartany* (1)
I król sam się przejeżdza, a przy boku króla
Szlachta chciwa do starostw jak niedzwiedź do ula:
A na co płakać trzeba, a czém serce krwawią
Stare wodze, w krwi bratniéj, kordy stare pławią (2)

Zdrugiéj strony Wojewoda i z Litwy podczaszy (3)
Zagrzewają garść swoich: «Nuże bracia naszy
Idźmy do nich z Bogiem śmiele,
Chociaj naszych nie tak wiele,
Iuż inaczéj być nie może,
Ty nas wspieraj mocny Boże. «

Czerwone Elijery ozdoba rycerzy, (4)
Już zniża proporce probuje koncerzy
Jak będą królewskich zwalonych na ziemi
Przebijać tratować kopyty końskiemi.

W zniesione z obustron chorągwie powiały,
I trąby i kotły kartany, zagrzmiały:
W zniesioną kurzawa jakby *pogwizd* srogi,
Co pluje piaskiem w oczy zamietając drogi,
Na pogwizda potrzebne nowe ostre noże (5)
Topią je w bratnich sercach, polituj nas Boże!

(1) Nazwiska różnych rodzajów armat.

(2) Przy boku Zygmunta 3 byli I. K. Chodkiewicz, St. Zołkiewski, Potoccy i Koniecpolski.

(3) Wojewoda M. Zebrzydowski, Podczaszy Radziwiłł.

(4) Wybór Hussarzy, walczący na ochotnika, czerwone szarfy przewiązane mieli przez ramie dla odznaki.

(5) Stosuje się do przesądu ludu, że gdy wiatr kręci po drodze, noż nowy poświęcony rzucić wsrodek wiru, to przybity za nogę diabeł okaże się w kornéj postaci, i wszystko dopełni co mu rozkaże ten co noż taki rzuca.

Każdy rotmistrz przed swą rotą
Towarzystwo wiódł z ochotą
Tam się chrabro potykali
Krew gorącą przelewali
A przecież co krew nie woda,
Przelewać jéj było szkoda!
Długie kopije pokruszywszy,
Szable w sobie potopiwszy,
Niedbał nic ojciec na syna,
Bił siekł jako tatarzyna.
O żałobliwy pogrzebie!
Któż wżdy będzie wesół z ciebie?
Naszy bili, naszy leżą!
Jednéj mowy, jęk i krzyki
Bo to bracia wojowniki!

IV.

Czerwone Eljery poskoczyli z góry
Rozbiją kopiją jako rogiem Tury.
Uciekli królewscy by kuropatw stado
Eljery na karkach do obozu wjadą,
Wszystko rozpierzchło nikt oporu nieda
W Króla namiocie, pytają o Szweda. (1)

Rozbici królewscy z przestrachem wybladli
Nabrawszy ducha, odważnie napadli
A trwoga nieznana, i sam wojewoda
Z rycerstwem swoim haniebnie tył poda.

(1). Towarzysz Ussarski wpadł do namiotu Zygmunta III i zapytał, »a gdzie ów Szwed!" za co rozsiekany został. Był to Hołownia Elijer Radziwiłła.

Dymiącą krwią pole Guzowskie spłynęło
Tysiąc i dwieście rokoszan zginęło,
Wiele królewskich a nad brzegiem wody:
Leży zabity nasz Towarzysz młody.
Głowa skrwawiona na siwym kamieniu
A prawa noga w drewnianym strzemieniu,
Przy nim koń jego co pochylił głowy,
Nozdrzami stęka i narzeka słowy,
Kopie kopytem, wgrzebał po kolana,
Potrząsa grzywą i żałuje paną.

— O póki pan na grzbiet mój blachowany wsiadał
Jadłem siano pachnące, sytnym owies jadał,
A teraz towarzysza, druha mi zabili
Ni proporcem czerwonym oczy mu nakryli.
I ja na szczerym polu, ni to pogrzebiony;
Zdziobie mię sęp żarłoczny, zjedzą kruki, wrony.

V.

A zmiasta *Krakowa* wybiegł lud ciekawy,
Powitać rycerstwo co szło z pola sławy:
A chrabre rycerstwo ze smutkiem wracało:
Że własnych braci wojować musiało.
Ino jeden drugiemu cicho w ucho poda
« O czemu tak nie wraca do nas wojewoda. «

Niezagrzmiały trąby, ni pochwalne mowy,
Powracał do miasta orszak pogrzebowy.

BERNARD PRETWIC

STAROSTA BARSKI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z CZASÓW ZYGMUNTA I^GO

PRZEZ

LUDWIKA PAPROCKIEGO.

BERNARD PRETWIC

STAROSTA BARSKI

I.

GONITWA. - WIĘZY.

Bijące prostopadle promienie sierpniowego słońca w r. 1531 na błonia Pokucia, oświecały okropną scenę spustoszenia jakie na tę tak niedawno głośną życiem plenności i błogiego bytu krainę ręka mściwego wroga wywarła.

Gdzie tylko wzrok przechodnia dosięgał, zewsząd przedstawiały się ślady nieprzyjaznéj stopy. Łanów potem pracy skropionych niezłociły ziarniste kłosy, ani świadczące o ziszczeniu nadziei rolnika nieokrywały rżyska, bo wszelkie plony w deptały w ziemię kopyta wołoskich rumaków i bachmatów dzikiego Tatara.

Tu i owdzie jasność widokręgu w południowéj letniego dnia dobie, ćmiły dymiące jeszcze zabudowań pogorzeliska. Słowem, co tylko miało życie, co było dziełem jego, co znamienowało pobyt towarzyskiego człowieka, wszystko to brzemienna klęskami chmura wschodniéj dziczy strawiła.

W strasznié jszéj nad jałowe piaski Sahary, bo wyludnionéj barbarzyńską prawicą pustyni, grobowe panowało milczenie, gdy nagle rozległ się w dali tentent końskiego kopyta i chrzęst rycerskiéj zbroi. Było to jakby przygrywanie do hymnu śmierci w śród głuchéj samotności zniszczenia; lecz ukazanie się dwóch rycerzy wydających te dzwięki mniéj ponure wywierało wrażenie.

Piérwszém ich oblicza znamieniem był żal głęboki na widok spustoszenia tak pięknéj krainy, i żądza zemsty nad dziką tłuszczą która gruzem i popiołem rodzinną ziemię okryła. Starszy wiekiem, dosiadujący hartownego na trudy i wojenne znoje tureckiego dzianeta, opuściwszy wodze na szyję rumaka, smutnym przebiegał wzrokiem otaczającą go scenę; a gdy dosięgał spójrzeniem dymiących pogorzelisk, lub unoszących się stad kruczych nad zalegającemi ojczystą ziemię trupami, z wyrazem rycerskiego zapału porywał konwulsyjnie za rękojeść wiszącego u boku oręża.

Cała jego postawa i uzbrojenie znamienowały wytrawionego nie w szermierskich zawodach lecz w harcu tatarskim i pasowaniu się z wrogiem rycerza. Na twarzy, dojrzalszéj znojem i doświadczeniem niż wiekiem, rozlaną wszędzie była ta męzka odwaga, ta uf-

ność w ducha obywatelskiéj piersi, która taką stanowi sprzeczność z wypieszczoném światową rozkoszą obliczem; słowem, był to wyraz przed którym truchlał wróg w boju, a który jednak słodyczą i pogodą w pokoju ośmielał i rozpraszał bojaźliwość dziecięcia.

Uzbrojenie jego nosiło cechę rycerkiéj duszy. Pomimo ustalone ówczesnym zwyczajem okrywanie ciała ciężką stalą, pierś jego krył więcéj modą jak bespieczeństwem wskazany lekki pancerz w karpią łuszczkę, który jednak żadną niemógł być tamą przeciw pociskom nieprzyjaciela; — wojownik nasz za najpewniéjszą tarczę uważał swą prawicę i serce. Toż samo zaniedbanie i prostota malowały się w reszcie ubioru. Sięgający do kolan żupan, ściśnięty w stanie pasem bawolim, u którego z lewego boku wisiała godna żylastéj ręki szablica, z przodu zaś krótki turecki jatagan; obszernie marszczone żółte buty z ostrogami srebrnemi; czapka szkarłatna z czaplém piórem, i przewieszona niedbale na lewe ramie burka cały ubiór jego składały.

Wiarą wędrownika naszego zdawało się to przekonanie, że dzielność żołnierza nie w złocistych bisiórach, lecz spoczywała w harcie ramienia i stałości sarmackiéj duszy; właściwy jednak przepych polskiemu owéj epoki rycerstwu, miał niejakie na końskim rzędzie odbicie; bo chrzęst zdobiących munsztuk i czaprak z lamparciéj skóry srebrnych filigranów, metalicznym rozlegał się dzwiękiem za każdém poruszeniem rumaka.

I przepychem uzbrojenia, i powierzchownością jeszcze niewytrawionego na trudach rycerskich wojo-

wnika, uderzającą z piérwszym wędrowcem towarzysz jego stanowił różnicę. Czoło jego i piersi zbroiła rażąca odbiciem blasku słonecznych promieni stal złotem i srebrem przekładana obficie, rękojeść wiszącéj u boku domeszki lskniła się bogactwem kosztownych klejnotów; rząd okrywający ognistego rumaka, wszędzie objawiał ślady i zamożności jezdca, i pochopnéj do ubiegania się za uprawnionemi modą błyskotkami młodości; ale delikatność oblicza szykownego zaokrągleniem młodocianych zarysów, aczkolwiek już wyraźnie napiętnowanego znamionami obozowych niewczasów i trudów, wymownie świadczyła że młody Sarmata poraz piérwszy miękkość komnat makatnych na ciernisty zawód wojownika zamienił.

Mimo to jednak, z oczu młodzieńca, niekiedy zamglonych smutkiem, niekiedy znowu rycerskim ożywionych zapałem, wyczytać można było i współczucie nad bratnią niedolą, i gotowość całego poświęcenia się na pomstę krzywdy współziomków.

Obaj w ponurém zadumaniu przestrzeń niemałą przebyli, gdy nakoniec, starszy wiekiem, załamując ręce z mocném wzruszeniem, silnym zawołał głosem:-Wielki Boże! azaliż wszechmocna twa sprawiedliwość niewyrzecze zagłady dzikiego pohańca, który twym wiernym ludem osiadłą pustoszy ziemicę? Gdzież nakoniec ujrzymy jeszcze niespłoszonych przez wiarołomnego Wołocha poddanych miłościwego Króla? cała przestrżeń od Kołomyi, przez Sniatyń, Tyśmienicę, aż po wały Halickiego zamku, i te tu znowu zagony pustszą nad step rodzinnéj Ukrainy, straszniejszą nad

afrykańską pustynię wyobraża krainę. Niestety! kiedyż zaświta czas błogi w którym rycerz jeno z rycerzem szlachetne stanie toczyć boje, nietępiąc bułata na obcych wszem zatargom spokojnych obywatelach? Lecz próżno wymagasz téj cnoty po przewrotnym Hospodarze; wróg z hołdownika świętą przysięgą wierności dla Króla i Rzeczypospolitéj skrępowanego; z wroga i wiarołomcy zawzięty barbarzyniec, jakby nie zawierzał srogości lutego serca, dla splądrowania ziem swego władcy i pana, sprzymierzył się ze wszą dziczą pogańską, i na lud niewinny wszystkie barbarzyńce rozpuścił. Już jednak niedaleka pomsta i kara; nieliczne i młodociane są polskie zastępy, ale sarmacki zapał i doświadczona mądrość przywodzącego nam Hetmana, niemylne orężowi naszemu rokuje zwycięztwo. Gdyby wszakże niefortunne losy dziesięćkroć jak wieść niesie silniejszemu Petryle dały wziąć górę nad nami, w ówczas ja, Bernard Pretwic, Starosta Barski, własną na usługi miłościwemu Królowi przeciw wiarołomstwu lennika przystawię chorągiew; tak mi Chryste Boże i Najświętsza twa Rodzicielko dopomóż!

—Z tą przysięgą i chorągwią Starosty Barskiego, pozwól połączyć równie święte zobowiązanie się, i hufiec Kniazia Konstantego Ostrogskiego, Wojewody Trockiego, a mego szlachetnego rodzica, zawołał z zapałem towarzyszący Pretwicowi młodzieniec.

— Wierzę ci, dostojny Wojewodzicu, odpowie Pretwic; rodzic wasz w długim a cnotliwym żywocie, ofiarą wszelkiego mienia, i krwią tylokrotnie na usługach krajowych przelaną, dowiódł że jest i zacnym

obywatelem i godnym buławy W. Xięztwa Litewskiego piastunem. Gdyby podobne mu dzieci polską składały rodzinę, podnoszący się zzamku krakowskiego głos nam wielce miłościwego Króla i Pana, aby polskie rycerstwo przeciw lennikowi zbuntowanemu pochód czyniło, nie byłby głosem wołającego na puszczy. Szpetna to będzie karta dziejów ojczystych, która ten srom potomnym wiekom przekaże. Jako! gdy zuchwały wazal stargał świętość przysięgi, a rozpuściwszy krwawe po Pokuciu zagony, kraj cały nad Prutem i Dniestrem ogniem i mieczem spustoszył, zaledwie sześć tysięcy żołnierza za grosz ze szkatuły królewskiéj w pole wyruszyć zdołało. Lecz dosyć tego; postaramy się aby dzielnością naszą luki w szeregach zapełnione zostały; już się wróg zaznajomił pod Grudźcem i Gwoździem z ostrzem naszego bułata i nie wiele z téj próby mógł nabrać dla siebie otuchy. O téj dobie, pomyślmy raczéj jakby wypełnić zlecenie miłościwego Hetmana. Od porannéj rosy do południowego skwaru plądrujemy po téj istnéj pustyni, aby zasłyszeć języka i o obrotach nieprzyjaciela jaką taką przynieść wiadomość; a tu nietylko człeka, ale nawet domowego bydlęcia dotąd niewidzieliśmy na oczy.

— Niedaleko ztąd rozłożone barbarzyńców tabory, rzecze młody towarzysz Pretwica; ufni w rączość naszych rumaków, uderzmy na pierwszy oddział który nam w oczy zajrzeć ośmieli się, a zwlokłszy z konia Wołocha lub Tatarzyna, daléj z kopyta ku naszym,

którzy bliżéj jak cztéry strzały armatnie za nami posuwać się muszą.

—Ta rada godna krwi jaka w żyłach twych płynie, odpowie Starosta, i wykonałby ją Pretwic, gdyby towarzyszem jego wyprawy niebył jedyny odrostek tyle zacnéj i zasłużonéj w kraju rodziny. A wreście, dodał głosem zniżonym, jakżebym miał śmiałość stanąć przed oczy Wojewodzianki, będąc posłannikiem okropnéj wieści o stracie jéj lubego brata.

—Teresa jest przedewszystkiém godną córą Polski; pomnij Starosto, iż mógłbyś szwank odnieść w jéj sercu, gdyby za twoją przyczyną potomek Ostrogskich bez wawrzynów z pierwszéj powrócił wyprawy. Lecz co mówię! serce panny siostry jest twierdzą zdawna opanowaną, a bespieczny jéj władca, bez obawy szwanku na wymierzone ku niéj spogląda pociski.

—Zamilcz, sercem miły przyjacielu; prawda żem ujęty wdziękami i cnotą waszéj dostojnéj siostry, stanął na czele ubiegających się o najpiękniejszy kwiat jaki kiedykolwiek ród sarmacki ozdabiał; lecz jakąż dotąd przewagi nad jéj sercem chełpić się mogę otuchą? ani rodem, ani mieniem, ani zasługami dla kraju, z czcigodnym szczepem waszym mierzyć się nie mam śmiałości i prawa; a lubo do pierwszych zalet szlacheckiego klejnotu śmiałość rycerską licząca Wojewodzianka, uczcić mię względném raczyła spójrzeniem, gdym plądrujące Ukrainę wygnał z kraju Tatary, i brańce rodzinne z pogańskiego wyzwolił jassyru, téj słodkiéj jednak mojemu sercu nagrody,

nie śmiałem za nadane mi prawo do jéj miłości poczytać.

—Zbytnia skromność was z drogi jasnéj prawdy zbłąkała, rzecze młody wojownik. Rodzic mój dbałym jest o to, aby dostojeństwo znamienitego rodu bez skazy przekazał potomkom; lecz któremuż herbowi krew szlachetnego Pretwica, tarczy granic Rzeczypospolitéj, postrachu i pogromcy Tatarów, skazę przynieść jest zdolną? Zresztą, czyż mniemacie że bez wszelakiéj myśli Wojewoda Trocki swéj córce dank pocałunkiem wam złożyć rozkazał, gdyście u nóg jéj ofiarowali buńczuk na Tatarach zdobyty? Czy sądzicie, że nie was miał mój rodzic na myśli, gdy żegnając w waszéj obecności na Krakowskim zamku udającego się na wyprawę przeciw Petryle pana Jana Tarnowskiego, rzekł doń:-»Pomnijcie miłościwy Hetmanie, donieść mi kto się najlepiéj w bójce przeciw zdradzieckim Wołochom krajowi przysłuży, temu bowiem mą gładką dziewkę w nagrodę przeznaczam."

—Prawda, rzecze Pretwic, te wyrazy zacnego Wojewody są w każdéj chwili sercu mojemu obecne; niezwykł on stroić żartów jałowych, gdy o ratunek kraju rzecz idzie. O jak luba mą duszę odtąd włada nadzieja! Nie jednego lecz tysiąca zbyłbym się chętnie żywotów dla tak świętéj sprawy i tyle słodkiéj nagrody. Tak jest, tu na tych polach krwią niewinnego obywatelstwa i popiołami jego mienia okrytych, zalegną martwe zwłoki Pretwica, albo klęska powetowaną i krzywdy pomszczone zostaną.

Z rozpogodzoném obliczem nadzieją błogiéj przyszłości wojownik nasz w słodkie pogrążył się marzenia; rychło jednak zmiana położenia miejsc które przebywali inny myślom jego nadała kierunek. Aż dotąd otwarta w okrąg okolica, którą wędrowcy nasi jedném spójrzeniem mogli zawsze ogarnąć, dozwalała im wszelką w myślach i postawie zachować swobodę; lecz w téj chwili, to kręte wąwozy, to gęste po obu stronach zarośla, to znowu pokryte wysokiém na konnego jezdca sitowiem brzegi poblis- kiego jeziora, co krok osłaniać mogły zdradliwe i niebespieczne zasadzki. Pretwic, świadomy właściwego wojownikom wschodu czajenia się na pojedyncze rycerstwo, i szukania wszędzie do łatwych zwycięztw pochopu, przykrócił wodze, umocnił się na strzemionach, a obejrzawszy w olstrach pistolety i przekonawszy się że luzno w pochwach spoczywała szabla, skinął na towarzysza który wnet za jego poszedł przykładem.

Z czujną na lada szelest podnoszący się z zarośli uwagą, posłańcy nasi półgodzinną jeszcze przestrzeń przebyli bez żadnéj przeszkody; lecz wjeżdżając na wierzchołek wzgórza, zkąd się daleki widok rozciągał na poziomą płaszczyznę, wzrok ich uderzył pomykający się ku ich stronie tuman gęstéj kurzawy, nakształt obłoku silnym wiatrem partego. Towarzyszył mu szmer daleki i głuchy, jakby od pędu szybko postępującéj jazdy. Obłok ten, to się rozdzielał na części, które obiegając znaczne koła po chwili w jednę zlewały się massę, to znowu znikał stopnia-

mi, jak gdyby wzruszająca go siła rozpraszała się w powietrzu, i jednocząc się na powrót, znowu z ziemi ku obłokom tuman mgły gęstéj wznosiła. Pretwic, zatrzymawszy konia, rzekł do towarzysza.

— Poznaj nienawistnego gościa ojczystych progów, którego odwiedziny tyle rodzinnych łez wycisnęły, iżby w nich całą tę hordę utopić można. O czemuż pan hetman koronny, niezwierzył mi na tę wyprawę tak biegłéj w tańcu tatarskim chorągwi Ussarzów Mikołaja Sieniawskiego! Z jakąż roskoszą stanąłbym z psem tatarskim do harcu, i ostrze moiéj szabli krwią pogańską napoił! Lecz hejże do ostrogi kochany Konstantynie! Już ledwie rącze naszych rumaków kopyta czas znajdą unieść nas przed tych lutych wilków pogonią.

—Niechcę aby powiedziano że Konstanty Xiąże Ostrogski zemknął przed zajrzeniem w ślipia pierwszemu Tatarzynowi, który go w otwartém polu do tańca poprosił, rzecze z twarzą zaognioną młodzieniec; pozwólcie mi doświadczyć na karku pogańskim mojéj dziewiczéj jeszcze szablicy. Zsadziwszy z koni kilku niewiernych, zaszczytniéj będzie tył podać hordzie; a czyliż może mierzyć się podobny tym nikczemnym bachmatom których tyle na zamku pana ojca widziałem, z moim niezrównanym biegunem. Dosiadając podobnego rumaka, stokroć pewniejszą mi się widzi nadzieja zwycięzkiéj gonitwy z lichą tatarską koniną, jak sposobność doświadczenia sił swoich w tańcu z pierzchliwym i milczkiem jeno nacierającym nieprzyjacielem.

— Co mówisz, niebaczny młodzieńcze, rzecze zdziwiony Pretwic; wiedz że tylko roztropnością miarkowana odwaga chwałę wojownikowi przynosi, a gdzie sił nierówność zachodzi, tam ucieczka sromu nieczyni. Wreście, odstąpisz sam zdania któreś objawił, gdy więcéj nabędziesz doświadczenia w rycerskim zawodzie. Nieprzeczę że na metę dla sił waszego rumaka stosowną, zwycięztwo w gonitwie żadnéj nie może podlegać wątpliwości; ale w dalekich na Tatarzyna wyprawach, a może i wtéj oto pogoni, jeżeli już tylko ta horda nas ma na oku, na tatarskim jeno bachmacie prześcignąćbyś Tatarzyna potrafił. Dziesięćkroć z sił upadnie wasz rumak, nim ślad najmniejszy znużenia dostrzeżesz na koniu ścigającego was lub uciekającego przed wami Tatara. Daléj! zmykajmy wsteczną drogą; tu mamy tylko do wygrania sromotną w jarzmie niewiernych niewolę, albo gniew srogi pana Hetmana, który niezwykł żartować z nieposłusznemi swoim rozkazom. Gdyby on za mniéj ważną rzecz poczytywał wyprawę któréj chcieliście bydź uczęstnikiem, zleciłby ją był prostemu drabowi. Ile plan jego działań przenikam, tyle pojmuję, że wysyłaniem mocnych w strony oddziałów, tajemnicy miejsca pobytu głównych sił swoich wydawać niechce. Więcéj wprawdzie owoców obiecował sobie pan Hetman z naszéj wyprawy; lecz i tak dosyć mieć będzie dla bystréj a przenikliwéj swéj myśli, gdy się dowie w jakiéj odległości pierwszego widzieliśmy nieprzyjaciela,

W połowie jeszcze téj mowy, sparty ostrogą rumak

Starosty, zdawał się wiatry wyzywać w zawody; rozciągnięty z całą siłą sprężystości swych muskułów, drażnił zaledwie wysmukłą jak rączéj sarny nogą powierzchnię ziemi, z któréj ani się wznosiła kurzawa, ani nawet ślad kopyta szybkiego nieoznaczył przelotu. Cała chyżość z którąby zaledwie ruch lotnéj jaskułki wytrzymać mógł porównanie, żadnych szlachetnego zwierza niekosztowała wysileń; owszem, w zaognioném oku, w szeroko roztwartych nozdrzach, w całéj wdziękiem i zaniedbaniem oznaczonéj postawie, zdawała się malować radość ochocza, że nakoniec zapału i żądzy swobody rumaka uprzykrzone niehamuje wędzidło.

Z powabną postawą konia harmonizował niewymuszony wdzięk doświadczonego jezdca. Zdawał się on zupełną pokładać ufność w żelaznych nogach bieguna. Pochylony na bok, z prawą ręką przy czole dla zasłonienia się od blasku promieni słońca, całą zwracał uwagę na kierunek biegu widzialnéj w oddaleniu hordy; spokojny acz szyderski uśmiech odznaczył się na ustach Starosty, gdy się przekonał że był właśnie z towarzyszem przedmiotem pogoni Tatarów. Zaciemniająca widok błękitu nieba chmura kurzawy, już teraz dwóma pędziła szlakami, stosując widocznie kierunek biegu do zmiany położenia ściganych nieprzyjaciół; lecz z każdą chwilą wyraźniéj osłaniała się niebieskawą mgłą oddalenia. Pretwic wzrok malujący zadowolenie, obrócił na towarzysza, gdy nagle czoło jego zasępiło się wyrazem najżywszéj niespokojności. Młody jeździec nieustępował

w szybkości biegu Staroście, ale w każdém poruszeniu konia, odznaczała się ta bliska chwila upadku sił, która więcéj bodźca niż hamulca zdaje się wskazywać potrzebę.

Widząc że odtąd nadzieja ucieczki spoczywała jedynie w najoszczędniejszém użyciu tak niewytrzymałych sił drugiego rumaka, Pretwic przykrócił wodze mówiąc:

—Boję się abyście zaufania w rączość waszego bieguna, ofiarą wolności lub życia nieprzypłacili. Dajcie mu długie wytchnienie, gdyż inaczéj ani ucieczki przed pohańcem, ani nawet śmierci z pomstą za krzywdę naszę karmić się niemożemy nadzieją. Dałby Bóg aby bliżéj niż mi się zdaje znajdowały się hufce hetmańskie; bez téj bowiem pomocy, tylko od losów opatrznych ocalenia wyglądać możemy!

Ze zwolnionym biegiem dwóch jezdców, rozjaśniał się stopniami widok ścigającéj za nimi kolumny; jednostajność jéj postępu, żadną niezachwiana przygodą, w nadprzyrodzonéj sile zdawała się czerpać nastanie. Jak żywioł nadludzkim prawom uległy, horda dziczy, pewna celu pogoni, z okrytéj mgłą odległości, natrząsać się zdawała z tak skutecznych na pozór usiłowań dwóch wojowników uniknienia ohydnego jassyru. Zwycięztwo w zapasach gonitwy, widocznie już na stronę ścigających odnosiło przewagę; bo aczkolwiek za każdém puszczeniem się w zawód naszych jezdców, w mgnieniu oka dwoiła się przestrzeń oddalenia, w każdéj atoli przerwie dla nabrania tchu przez ściganych udzielonéj rumakom, nie-

tylko pędząca horda pierwsze odzyskiwała położenie, ale nawet widoczne skrócenia mety objawiała oznaki. Już teraz tuman kurzawy, ciemnym u dołu oznaczony szlakiem, dla najmniéj doświadczonych oczu, widoczną swego nastania okazywał przyczynę; a huk zrazu niewyraźny i głuchy, odznaczał się w téj chwili owém przeciągłém brzmieniem, które bieg przyśpieszony po twardym gruncie mnogiéj jazdy cechuje.

Z dojrzałém doświadczeniem na tylu zapasach, utarczkach, gonitwach w tatarskim harcu odbytych, Starosta pojął ważność niebespieczeństwa, które jeszcze dla pierwotnych pojęć w rycerskiéj sztuce młodego wojownika nic nieobjawiało groźnego. Z całą więc rezygnacyą gotowéj na wszelkie pociski losu wielkiéj swéj duszy, poddał się nieuchronnéj kolei przeznaczenia, a wzniosłszy myśl pobożną ostatniéj doby istnienia ku Bogu, przemyślał przez jakie jeszcze środki ocaliéby można tak piękne pierwszéj zorzy życia dni drogiego mu z tylu względów młodzieńca.

Melancholiczny wyraz oblicza Starosty i czoło głębokim zachmurzone namysłem, wymowniéj odmalowały wielkość niebespieczeństwa młodemu wojownikowi, jak to co własném pojęciem rzeczy był zdolny ocenić. Z rozważniéjszem zastanowieniem zrozumiał że nietyle brak środków ocalenia niecofnioną groził dolą Staroście, ile raczéj szlachetne postanowienie dzielenia z nim samym wszelkiéj kolei losu.

—Rumak wasz całą zachował rzeźwość, rzecze doń młody wojownik, a szybkosc jego biegu niewątpli-

wie zapowiada wam ocalenie. Niehamujcie go dłużéj, ja zaś uczynię na co pozwolą zwątlone siły mojego bieguna, a w ostatniéj przygodzie dzielność ramienia i mojéj hartownéj demeszki.

—Ta mowa dotkliwą we mnie wzbudziłaby urazę, odpowie Starosta, gdyby w mém sercu znaleźć się mogło miéjsce dla nieprzychylnych uczuć ku młodzieńcowi którego całą duszą miłuję. Niesądźcie abym był zdolny prostego nawet draba, pachołka ze krwi współziomków, w ostatniéj przygodzie pozbawić obrony mojego ramienia.—Zaniechajcie więc nalegań które jątrzą i zasmucają me serce; błagam was tylko o to abyście oporem i męztwem przeciw tak mocnéj liczbie niewczesném, złéj waszéj doli na gorszą nie pomieniali. Dobrowolnie oddajcie się w jassyr; a jeśli Bóg w téj wojnie orężowi naszego rycerstwa pobłogosławi, niewątpię że Pan Hetman dołoży starań usilnych aby zbawił rospaczy ze straty jedynego potomka wiek sędziwy waszego rodzica.

— Dzieląc niebespieczeństwa Starosty Barskiego, mogęż się zastanawiać nad tém jak w rycerskiéj przygodzie rycerzowi postąpić wypada? odpowie Wojewodzic. Co tylko uczynicie, to będzie niewątpliwie godném szlachetnego wojownika, i to za godne naśladowania poczytam.

—Tego bynajmniéj wam czynić nieradzę, rzecze z żywością Starosta, a nawet zaklinam was na czcigodną ojca waszego siwiznę, abyście za wzór dla siebie niebrali tego co mi niecofniona konieczność nakazuje uczynić. Dola nasza jest zupełnie odmienną. Wiedz-

cie że jak szeroka i długa Tatarstwem zaludniona Tauryka, tak szeroko i długo imie Pretwica brzmi w koczowiskach pogańskich. Wiedzcie, że ani jedna horda nieplądruje sarmackiéj krainy, którąby nieliczyła kopami pohańców dobrze świadomych oręża Starosty Barskiego i rysów jego oblicza. Zwyciężający Tatar niechce mieć brańcem wojownika, który postrachem plemie jego napełniał. Za chwilę, każdy z barbarzyńców hordę tę składających, jak skarbem drogim, jak relikwią świętości cieszyć i chełpić się będzie kawałkiem ciała moiego, albo chustą we krwi moiéj zmaczaną, niewątpiąc że tym sposobem męztwo i chwała pokonanego rycerza własnym stanie się jego udziałem. W spotkaniu z wrogiem obmierzłym krajowi do którego należę, gdy ma się rozwiązać koléj nieugiętych wyroków przeznaczenia, mogęż jak skrępowana na pogańskich ołtarzach ofiara nachylić karku pod żelazo niewiernych? Nie! pamiętną w gniazdżie tatarskiem będzie cena za którą żywota Starosty Barskiego dostano! Co do was, wasza młodość, powierzchowne pochodzenie dostojnego oznaki, dla walczącego jeno o łupy i brańce Tatara łakomą was czynią zdobyczą. Jeżeli więc drogie dla was wspomnienie czcigodnego rodzica, — tak czule kochającéj was siostry; jeżeli znacie cenę dla ostatnich w życiu nalegań wiernego wam przyjaciela, złą dolę krótkiéj w jarzmie niewiernych niewoli, niemieniajcie na gorszą zerwania nici pięknego żywota w samém jego nastaniu. Żyjcie choćby dla tego, dodał z czułym uśmiechem, aby przez wasze usta dowiedziała się

Wojewodzianka, jak jéj imie było ostatniém po Bogu wspomnieniem Pretwica, jak obraz jéj wdzięków, dobroci, czułości, stał się dlań osłodą bolesnéj do wiecznego żywota przeprawy.

W tych wyrazach, z niezwykłą hartownéj duszy rycerza wyrzeczonych tkliwością, tak szlachetnie odbiło się godne bohatéra poświęcenie własnego życia dla podzielenia doli przyjaciela, że łez rzęsistych potoki wzrok Wojewodzica zaćmiły; ale postanowienie uprzedzenia losu któremu się dobrowolnie poddawał Starosta, powzięte w cichości aby nowych uniknąć nalegań, rychło tę oznakę słabości stłumiły, wywyższając młodzieńca do równéj w tych zapasach wspaniałomyślnego serca godności.

Już też niewiele obaj rycerze nad własném położeniem mieli czasu czynić postrzeżeń i narad. Mimo kilkakrotne usiłowania w ciągu rozmowy którą przytoczyliśmy wzięcia przewagi w gonitwie nad ścigającą hordą, znacznie już zbliżona przestrzeń jéj oddalenia, i wyraźne górowania w szybkości biegu oznaki, stały się w téj chwili dla ściganych dowodem zupełnéj próżności dalszego kuszenia się o zwycięztwo. Jakoż, w zwolnionym odtąd ruchu ich koni, malowała się wola jezdców poddania się bez dalszych zabiegów grożącéj im kolei przeznaczenia.

Ścigająca horda już się rozjaśniać zaczęła w niknącéj stopniami mgle jaka ją powlekała dotychczas; już dwaj rycerze wyraźnie ocenić mogli jéj siłę, porządek szyku, a nawet barwę jezdców i pojedyncze znamiona. Znieprzenoszącéj tysiąca ilości koni, wniósł

Pretwic iż był to tylko podjazd jaki najezdcza horda, splądrowawszy szeroko opanowaną krainę, wysyłać zwykła na czaty nieprzyjaciela, albo śledzenie czyli gdzie jeszcze jaki zakątek nieuszedł drapieżnéj łupieżców chciwości; ale górująca w środku gromady nad ukazującemi się tu i ówdzie buńczukami z włosienia końskiego wielka zielonéj barwy chorągiew, świadczyła iż sam wódz barbarzyńców, sprzymierzony z Wojewodą Wołoskim, Aslan Han panujący Tatarom podjazdowi przywodził.

Z hukiem biegu jazdy, mięszało się rzenie koni, i przeraźliwe okrzyki: »*Atta! Atta!*" będące hasłem spodziewanego przez Tatarzyna tryumfu nad nieprzyjacielem. Jednostajność białéj barwy skór owczych, okrywających jezdców zwyczajnych, urozmaicał tu i ówdzie blask zbroi którą celniéjsi przywódzcy byli okryci.

Pretwic, z najżywszą przyglądający się uwagą wszystkim tym szczegółom, dla odkrycia każdéj jakaby się nastręczyć mogła sposobności sprzedania drogo barbarzyńcom żywota, lub zbawienia przyjaciela, postrzegł że w obrębie zieloną oznaczonym chorągwią, w znacznym od szeregu jezdców odstępie, pędził na małym bachmacie zaledwie wychodzący z dzieciństwa młodzieniec. Kosztowny ubiór jego i przodkowanie przed Hanem, nauczyły bacznego postrzegacza, iż to był syn władcy Tatarów. Ostatnią jednak tę miał czas uczynić uwagę, bo w téj chwili przeraźliwy wybuch dzikich okrzyków dobiegającéj hordy, przypomniał mu nadeszłą koléj niecofnionego losu. Z szyb-

kością błyskawicy zwrócił ku wrogom rumaka i zbrojną obnażoną szablą wzniósł do góry prawicę, gdy nagle postrzegł jak uprzedzający go Wojewodzic, zwaliwszy z konia wystrzałem z pistoletu pierwszego który mu się nawinął Tatara, w sam środek dzikiej zgrai z zapamiętałą uderzył odwagą.

Sto krzywych lecz ostrych jak brzytew miesiąców, wzniosło się nad bezbronną głową młodzieńca.... chwila tylko od niecofnionéj dzieliła go już wieczności; ale ta chwila była dostateczną dla rozpaczy wiernego mu przyjaciela;—jak grom przerzynający chmurę dla ugodzenia w przedmiot obrany, silną piersią rumaka obalił Starosta bachmata na którym siedział syn Hana, a ująwszy go muskularną dłonią za długi pęk włosów spływających z wierzchołka zgolonéj głowy na plecy, wzniósł nad siodło przed siebie, i przykładając do nagiéj szyi ostrze jatagana, grzmiącym zawołał głosem:

» Śmierć jego za kroplę krwi towarzyszącego mi rycerza!"

Na ten widok osłupiał wódz dzikich Tatarów. Wzniesioną ręką dał znak ocalenia;—ale już w téj chwili potoczył się z konia młody Ostrogski, zalewając obfitemi krwi potokami przestrzeń na któréj ciało jego zaległo. Gdy zwrócił znowu Han oczy na syna, wzrok jego zaćmił się tém sroższą boleścią, iż ta z jedynego w dzikiém sercu barbarzyńca płynęła uczucia. Długa struga czerwona broczyła piersi rumaka Starosty, i zaraz pod nogi jego upadł bezwładny Tatarzyn.

Z wrzaskiem barbarzyńskiéj wściekłości cała tłu-

szcza rzuciła się na obcego trwodze rycerza, usiłując widocznie pochwycić go żywcem dla wymiaru sroższéj pomsty nad śmierć z orężem w ręku do któréj zawsze jest przygotowany wojownik; ale zamiar ten niełatwym był do spełnienia. Starosta władając zręcznie zwinnym rumakiem, uprzedzał wszelkie usiłowania rozbrojenia siebie rąk mnogich przemocą; co tylko zaś na pocisk jego oręża nadbiegło, to wszystko martwem padało w około.

Długo o pomstę tylko walczący nasz rycerz, uczuł nakoniec znużenie ręki, i mniéj posłusznego cuglom i ostrodze rumaka; a gdy na próżno wielekroć razy rzuceniem się wsam środek zgrai wystawiał się na cios śmierci, którego mu zawsze odmawiała dzicz rozkazom Hana posłuszna, w ostatniém wysileniu broń rzucił na ziemię, i w téjże chwili z konia zwleczonym został.

Z przeraźliwemi okrzykami radości i tryumfu, dumna z podłego zwycięztwa horda silnemi go krępowała więzami, gdy niespodzianie postrzegł opanowany braniec niezwykłe w skupionéj tłuszczy poruszenie i trwogę. W téjże chwili ukazał się oddział ciężkiéj jazdy wołoskiéj, i tratując barbarzyńców bez względu na więzy przymierza jednoczącego jéj władcę z Hanem Tatarskim, wydarł z rąk zwycięzców niewolnika, a wsadziwszy go na ujętego rumaka, szybkim pędem pognał wsteczną drogą ku swoim.

II.

WIEŚĆ NIESPODZIEWANA-BITWA.

Pierwszy blask zorzy porannéj dnia następnego po wypadkach które przytoczyliśmy, nierozpędził jeszcze ciemnych tumanów, i zaledwie rozjaśniać się poczynały światłem szarawém malownicze nad Prutem okolice Pokucia, gdy samotność nocy i opustoszonéj w około krainy ożywiać zaczął szmer z legowiska w pochód ruszającego rycerstwa. Swietna jak soliter czarną obwiedziony emalią poranna jutrzenka, z całą siłą zionęła jeszcze swe fosforyczne światło, a już potoczysty dźwięk trąby wzruszył zawarte powieki spoczywającego w obozie żołnierza, i echem powtórzoném odbił się o pasmo gór dalekich.

Czas niejaki głuchy gwar rozlegał się w dźwiękach stłumionych, i jaśniały gdzie niegdzie w rozpiętych

namiotach między spoczywającém pod otwartém niebem żołnierstwem poiedyncze światełka. Lecz jak tylko wschód okrył się złocistą purpurą, zaraz w szykownych rozmiarach długą przestrzeń zbrojne zajęły szeregi.

Postawa żołnierza pod bronią, szyk i równość wyprowadzonych linij, wszelki kruszec u zbroi zwierciadlaną powierzchnią odbijający poranne promienie czystego wschodu, cichość niezachwiana żadnym niewczesnym dźwiękiem, słowem wszystko za każdém spójrzeniem, doskonałéj karności i wprawy w zawód marsowy młodego po większéj części żołnierza objawiało oznaki.

Jakkolwiek nieodpowiedniém epoce naszéj powieści być się widzi twierdzenie, aby jakiekolwiek wojsko w wieku XVI, a tém mniéj owe tłumy niesforne które nierządna Rzeczpospolita z taką trudnością i mozołem rzadko inaczéj jak w najniebezpieczniéjszych wypadkach stawić przed nieprzyjacielem zdołała, — mogły nosić na sobie te cechy mechanicznego do geometrycznych wymiarów w zbiorowych obrotach nawyknienia, tę cześć bałwochwalczą dla najdrobniéjszych cząstek rynsztunku i uzbrojenia, tę bierną uległość dla wszystkiego co się zwierzchnością w hierarchii wojskowéj nazywa, te nakoniec w ogólnych wyrazach karność i wyćwiczenie które być się zdają zagadnieniem wieków upłynionych w obecnym zaledwie rozwiązanéem, nieobawiamy się jednak zarzutu prześcigania wieku w rysach fałszywą barwą oddanych, i nieodstępujemy raz w bieg puszczonego opisu.

Przywodzący wyprawie wołoskiéj Wielki Hetman koronny Jan Tarnowski, wyższe nad światło wieku w rycerskiém rzemiośle rozgarnienie, winien był gorącemu chwały pragnieniu, i swym niepospolitym zdolnościom które dzielnie wspierało doświadczenie niejednéj wojny odbytéj w latach młodzieńczych za sprawą nietylko swego lecz nawet obcych Monarchów. Jakoż, chwała młodego jeszcze wodza prześcignęła obręb ojczystéj zagrody; a gdy íslamizm wydał chrześciańst wu walkę o śmierć lub życie, gdy niezliczone bandy Solimana groźbą dla całego zachodu się stały, trzy narody Niemców, Węgrów i Czechów ubiegały się oto aby ich zastępom wódz polski hetmanił. Nieprzyjął ofiarowanego sobie zaszczytu Tarnowski; nieobojętny jednak sprawie Chrześciaństwa, na czele sześciu tysięcy jazdy, na odsiecz Ludwikowi Królowi Węgierskiemu i Czeskiemu pośpieszył.

Łatwiéjszém wszakże było powołaniem przywodzić obcym hufcom jak swoim, których ta wątpliwa w istnieniu uległość dla władzy hetmańskiéj, a tak groźna w nastaniu i rozpasana na wszystko bezkarność, obok właściwego zbrojnym naszym zastępom męztwa, niejednéj chwały przed Tarnowskim i po nim stały się przepaścią i grobem.

Gdzie dla osiągnienia skutku zamierzonego jedna wola samowładnie podbić musi moc wszelką indiwidualności w massach skupionych, i kierować niemi jakby potężną machiną działaniu głównéj sprężyny uległą, tam moralna bezwładność wcielonego w te

massy człowieka jest pierwszym i nieodzownym warunkiem.

Pojęciem wybiegłem za obręb wieku, w którym wojna uległa z przykładów bitnego wówczas wschodu, była tylko rozbojem, czuł Tarnowski że siła muskułów, w działaniach mass na massy, nieinaczéj jak pod kierunkiem siły ducha brać może przewagę, a za najprostsze do tego celu drogi, uważał nawykłą do szybkich i szykownych działań karność powierzonego swéj władzy żołnierza.

Ile razy stany Rzeczypospolitéj uchwaliły wojnę, a Król zgromadzone hufce powierzał buławie Tarnowskiego, wódz ten otaczał się najdoświadczeńszą wojskową starszyzną, i obywatela potrzebą kraju uzbrojonego, pilném a umiejętném ćwiczeniem, na biegłego do marsowych dzieł zapaśnika przekształcał; a gdy władzę hetmańską rozwinął, mąż słodkiéj i ulegléj w życiu domowém natury, nieubłaganą dla winowajców srogością, ujmował wszystko w karby żelaznéj karności, i w samym zarodzie pochopną do nierządu ówczesnego żołnierza wytępiał niesforność.

Powinowaty Tarnowskiego Wojewoda Podolski i Marszałek Koronny, Mielecki, taki nam rys charakteru tego wodza zostawił: »Gdym ja, powiada, na wuja swego patrzał, w wojsku na jakiéj sprawie, albo na sądzie hetmańskim siedzącego, drzałem jako przed obcym i nieznajomym groźnym władcą jakim, a gdym za się na pokój jego przyszedł, strach mię on omijał, i nic milszego ani układniéjszego nadeń

w oczach moich niebyło." Współczesny rys biograficzny Tarnowskiego, który nam te wyrazy siostrzeńca jego przekazał, w dobitniéjszych jeszcze kolorach dziwną mięszaninę srogości w potrzebie z wrodzoną łagodnością temu znamienitemu wodzowi wyraził w słowach: »Gdy srogi był, widziałeś jawnie iskry w oczach jego: twarz pałała, kark się jako na lwie odymał, szyja się trzęsła, wstawały na nim włosy. A gdy za się łaskaw był, anioł z nieba a nie człowiek z Tarnowa by się widział."

Tak tedy przezorném i mądrem postępowaniem uniknął Tarnowski ile razy szeregom krajowym przywodził, owego uzbrojonego nierządu gdy rozprzężone żołdactwo łupieztwem żołd sobie zaległy płaciło, a spokojnego i uległego swéj władzy żołnierza siedzibom domowym powracał.

Lecz wróćmy do biegu zdarzeń tym ustępem przerwanych.

Jeszcze się niezłamały szyki gotowych do opuszczenia chwilowego stanowiska szeregów, gdy oddział stukonny towarzystwa Hussarskiego odłączył się od zbrojnéj gromady, i ruszył w marsz krokiem umiarkowanym. Ten szczupły hufiec widocznie stanowić miał straż przednią w pochodzie; ale poprzedzający go jeździec w świetném uzbrojeniu buńczucznego hetmańskiego, nad którym unosił się bogaty buńczuk spływający na utwierdzoną u drzewca tarczę z wizerunkiem herbu Leliwy, dowodził, iż sam Hetman oddziałowi przodkował. Jakoż, postępujący tuż za nim jeździec tchnącéj godnością postawy, na

piérwszy rzut oka wzbudzał to żywe a jednak uszanowaniem oddalające wzruszenie ciekawości, z jakiém zwykliśmy przybliżać się do ludzi urokiem chwały i znaczeniem władzy obdarzonych.

Na twarzy jego któréj wąs gęsty i broda podnosiły powagę, wyrytą była ta cecha czucia wewnętrznéj wartości i nałogu rozkazywania, jaką wyższość położenia towarzyskiego na owém zwierciadle duszy zwykła odbijać; a lubo wzrok zachmurzony widoczną był skazówką troski i niepokoju, w pełnych atoli ognia a razem pewnych i niezachwianych spójrzeniach wyczytać można było wszelką ufność w swe siły, która w ostatniéj nawet toni jeszcze nad środkami zbawienia rospaczać niezwykła.

Z godnością oblicza wszystko w doskonałéj było harmonii i zgodzie. Długa i szeroka opończa z pod któréj błyskała gdzie niegdzic stal świetna, całą wodza osłania postawę, a raźna Ussarska misiurka ze spadającą na ramiona siatką żelazną, przykładała się do marsowego wyrazu twarzy. Koń Hetmana zdawał się rozmyślnie pod wodza wojsk przez szczodrą utworzonym naturę. Wzrost, długość, szerokość piersi, kark wzniosły i okazały, głowa sucha i raźna, ożywiona okiém wypukłém świetnéj i ogniem iskrzącéj czarnosci, w każdém poruszeniu malująca się z wdziękiem, już nietai niecierpliwości hamowanéj wędzidłem porywczéj do bujania ochoty, ale raczéj wyzywająca uwielbienie duma pełna okazałości, słowem wszystko objawiało w nim pochodzenie tak bliskiego typu stad andaluzyjskich plemienia polskich

rumaków, dziś już w skutku niegospodarności wieków upłynionych zaginionego (1)

Z lewéj strony wodza, strojny ozdobném ubraniem pazia, lecz nie bez oręża i zbroi młodzieniec, trzymał w prawéj ręce wspartą o przód siodła buławę Hetmana, za którym prowadził oddział przedniéj straży tchnący w całéj postawie męztwem i wytrawném na harcach polowych doświadczeniem, przywódźca chorągwi Ussarzów, Rotmistrz Mikołaj Sieniawski. Uzbrojenie jego nosiło na sobie wszelkie cechy téj sławnéj kohorty, a od zwykłego towarzysza odróżniał go przekładany złotem kruszec u zbroi i delikatność futra kuny, które zamiast ciężkich wilczur, skór lamparcich, lwich i niedźwiedzich, okrywało barki powierzchnie zbroi Rotmistrza.

(1) Przed kilkónastu laty, w majętności Łyczkowice, w powiecie Lidzkim Gubernii Grodzieńskiéj, będącéj własnością byłéj Łowczynéj Litewskiéj Pani Alexandrowiczowéj, utrzymywaną była bogata czystéj rasy polskiéj stadnina. Nieszczęściem próżność właściwa prowincyalnym posiadaczom osobliwości, czyniła niepodobném upowszechnienie tego gasnącego rodzaju. Co tylko schodziło z pola, wszystko niemiłosiernie było zabijaném, i nic prócz wałachów niemogło właściciela zamienić. Płodna atoli w sposoby usilność dokazała tego, iż do domu mojéj familii, nabyto od Masztalerza na śmierć już skazanego ogiera, który liczne jeszcze zostawił po sobie potomstwo, i na długo chowane tam stado koni poprawił.

Wszystko to szanowało posępną zadumę Hetmana. Głębokie milczenie przerywał tylko rozlegający się w massach za przednią strażą postępujących chrzęst zbroi z głuchym turkotem armat i wozów; ale wiatr przynoszący te dźwięki, świadczył że żadne usta nieśmiały wznieść głosu nad miarę powszechnéj cichości. Silnie już dogrzewało słońce nad poźiom wzniesione, i znikły unoszące się na nizinach mgliste tumany, gdy z prawéj strony naszego rycerstwa, w miéjscu gdzie widnokrąg niebieskawą przyobleka się barwą, ukazał się punkt ciemny z mgły oddalenia stopniami rozjaśniający się. Wnet poskoczył naprzód Sieniawski, lecz postrzegłszy że Hetman z przysłonionemi ręką oczyma pilnie się w to zjawienie wpatrywał, zwrócił konia i znowu piérwsze zajął swe stanowisko.

Wszystkie spójrzenia w jeden punkt skierowały się razem; wzajemny lubo ukośny postęp ku sobie patrzących z wypatrzonym przedmiotem, rychło położył koniec wszelkim względem natury jego domysłom. Był to oddział zbrojnéj jazdy na przeciw hufcom naszym śpiesznie postępujący. Siła jego trzystu koni zdawała się nieprzenosić; a gdy widocznie zmierzał w kierunku tak groźnéj przewagi rycerstwa, gubili się wszyscy w domniemaniach jakie mógł mieć zamiary i chęci.

Hetman wzruszył ramionami,i obróciwszy w tył głowę, rzekł głosem podniesionym i dźwięcznym:

— Weźno Waszmość, Panie Rotmistrzu, parę dziesiątków Ussarzy, i szepniéj nie językiem lecz kordem

do ucha téj niesfornéj gawiedzi, czém to pachnie gdy wróg Króla i Pana naszego miłościwego, śmie zbliska przyglądać się rodzinnéj Jana z Tarnowa Leliwie.

Krótką chwilę zabrało oddzielenie pół hufca z eskorty Hetmana; poczém warknęły u długich kopii proporce, zaszumiały skrzydła ussarskie i wzniósł się tuman kurzawy z pod kopyt rączych rumaków, a silny męztwem nie liczbą oddział, z ochoczym pognał zapałem w kierunku nadchodzącego nieprzyjaciela. Pierwsze tylko wzruszenie właściwego sarmackiemu rycerstwu ducha, zdawało się być podniętą do wyprawienia tak nielicznego oddziału; bo w téj chwili jeden z jezdców ruszył z kopyta ku głównym siłom, niosąc rozkaz Hetmana aby dwa stukonne oddziały szeregowych, z dwóch stron zająwszy nieprzyjaciół, żadnemu z nich uiść z pola nie dały, a jeńców ujętych wnet przed wodzem stawiły.

Tymczasem garstka doświadczonego męztwem Ussarzy, pod wodzą walecznego Rotmistrza, zdolną była zabawić nieproszonego gościa do czasu nadéjścia sił stosowniéjszych; ale z zadziwieniem Hetmana, zatrzymał się o kilka stai od Wołochów Sieniawski; i rozmówiwszy się z jezdcem który z ich szeregów wystąpił, z nim razem ruszył na powrót ku swoim dozwalając bez przeszkody tył sobie podać nieprzyjaciołom.

Z niespokojną ciekawością oczekiwał Hetman objaśnienia tak niepojętego postępku; lecz gdy z oddalenia poznał że przybylcem przez Wołochów odpro-

wadzonym był Pretwic, który wtéj chwili ożywioną z Sieniawskim toczył rozmowę, sparł konia ostrogą, i sporym galopem, sam ku nadchodzącym pośpieszył.

Jak tylko dozwoliła przemówić zmniéjszona odległość, zaraz silnie zawołał Tarnowski:

—Nie z obłoków lecz z groźnéj spadasz nam chmury, panie Starosto. Waszmość jak widzę, za pan brat z Wołoszynem. Czy nie będzie wola nauczyć mię bez przewłoki, co znaczy to poufałe z łupieżcą ziem królewskich bobrowanie pod moiem okiem?

—Obszerną zdać winienem sprawę Waszéj Wielmożności, rzecze Pretwic, z nader płodnéj w wypadki acz krótkiéj wyprawy mojéj. Dzienny obieg słońca widział spotkanie moje z Tatarzynem, chwalebną śmierć potomka domu Ostrogskich, jassyr Starosty Barskiego, zamianę niewoli na pęta innego wroga, i nakoniec oswobodzenie z pobudek i przyczyn których ważność skłania mię do proszenia Was, miłościwy Hetmanie, abyście do konferencyi ze mną, właściwsze obrać miéjsce raczyli.

—Jakże bolesną sercu mojemu przynosisz waszmość nowinę! zawoła Hetman wzruszony. Życie młodego Ostrogskiego jak krew własna było mi drogie. Śród nieukojonych jeszcze niesnasek ze mną domu jego rodzica, jam wziął za świętą powinność oszczędzenie dni tak porywczego do szukania przygód marsowych młodzieńca. Lecz mogłżem przewidzić ten nieszczęsny wypadek?.... Wszakże zlecenie wam dane nakazywało unikać wszelkiego spotkania. Jam polegał na

znaną światu wprawę waszmości w rycerskie rzemiosło, i do zaufania ścisłości waszéj w spełnieniu danych rozkazów miał najlepsze powody. Z resztą z bliższych sercu Starosty Barskiego pobudek, gorliwośći jego dla dobra domu Ostrogskich mogłem całkowicie zawierzyć.

—Życie Wojewodzica droższem mi było nad własne, odpowie Starosta, a jednak żałość moję osładza to przekonanie że straszliwa przygoda wyższéj nad ludzką mocy być tylko mogła zrządzeniem. Jam wolny wyrzutów własnego nawet sumienia, któreby mi najmniéjszego udziału w tym srogim dla serca tylu pocisku nieprzepuściło. Owszem, goniłem za śmiercią, przelałem najszacowniéjszą krew wroga, aby po rycersku zgon ponieść i jedno z przyjacielem pole chwały zalegać. Lecz cóż czynić! dziki barbarzyniec sroższą przeznaczył mi dolę, a los okrutniéjszy nad niego gorzkie mi życie zachował.

—Prawda, cóż czynić! rzecze Hetman, jak poddać się bez szemrania niedościgłym wyrokom Bożym, i czekać kolei gdy nas samych głos chwały i obowiązków dla kraju tam gdzie teraz potomek Ostrogskich powoła. Lecz dosyć tego; ten sam głos nakazuje nam czułość serc naszych kamiennym obwarować pancerzem. Gdy sierzp chwały drogich nam zabiera współziomków, pomsta za kraj i za nich całém w téj chwili być winna serc naszych uczuciem. Żałobę odłóżmy do czasu gdy zabespieczone orężem domowe zacisze, kirem boleści naszéj powlec spokojnie zdołamy. Teraz, do rzeczy, rzekł Hetman odjeżdzając na stronę,

z któréj głos rozmawiających przez nikogo usłyszanym być nie mógł; złóż waszmość w me ręce ciężar swych nowin, abyśmy go zważyć należycie zdołali.

Krótka, lecz w dobitnych oddana kolorach relacya Pretwica, najżywsze na Hetmanie uczyniła wrażenie. Sam niezwłocznie skierował się ku wojsku które wnet skupiać zaczęło wyciągnione do marszu linie, przybierając postać gotowego do użycia sił swoich w potrzebie zbrojnego kwadratu. Wybiegli ku wzgórzom wkoło stanowiska konni jezdcy na czaty, a służba obozowa, w środku opasanéj rycerstwem przestrzeni, rozpięła namiot obszerny. Okrążyli go ze wszech stron zbrojni w rusznice hajducy, broniąc przystępu do obwiedzionéj lekkiem płótnem przestrzeni; w któréj rada Hetmańska zasiadła.

Zasłonieni egidą trzech przeszło wieków od słusznéj za niedyskretną ciekawość zapalczywości naszych wojowników, podnieśmy krawędź płótna, i chciwym wzrokiem zajrzyjmy do téj świątyni narad wojennych.

Stały w półkole naprędce urządzone siedzenia. Po prawéj ręce Hetmana siedział poważny wiekiem zgięty pod ciężko ukutą zbroją Regimentarz wojsk koronnych Jan Kmita. Lewą stronę wodza zajmował znany nam Starosta Barski, którego przygody i wieści były powodem narady! Daléj zasiadywali koleją starszeństwa Rotmistrze: poważni wiekiem przywódzcy rot pieszych, herbu Topor Balicki i Andrzéj Trojanowski, herbu Seliga, obaj Sandomierzanie; przełożony nad działami i puszkarzami herbu Bogorya Stasz-

kowski; dzielny wódz sławnéj chorągwi Hussarzów Mikołaj Sieniawski Leliwczyk, wraz z dwóma braćmi Alexandrem i Prokopem, przywódzcami pułków w tejże kohorcie, i nakoniec Maciéj Włodek Prawdzic, piastujący buławę lekkiéj jazdy kozackiéj.

Poważny marsową postacią trybunał głębokie chował milczenie, czekając aż Hetman posiedzenie zagai, i przedmiot zgromadzenia pod naradę przedstawi.

Po krótkiéj chwili uroczystéj cichości, zabrał głos poważny Tarnowski:

—Nie tajno waszmościom, rzekł, ile trudności mieliśmy do zwalczenia od początku zwierzonéj nam przez Stany i Króla Jegomości ważnéj sprawy odebrania z rąk łupieżców ziem pokuckich, i skarcenia zuchwałości zbuntowanego lennika. Męztwo i doświadczenie wasze dotąd za liczbę starczyło. Wydarty Wołoszynowi Gwóźdź, Grudziec, Halicz; podwakroć w otwartém polu rozbite nieprzyjaciół szeregi; wróg w swe siedziby zagnany, — wszystko to dozwoliło mi nakoniec myśléć o dokonaniu dzieła przez osadzenie zamków liczniejszą załogą, abym zostawiwszy ich opiece oswobodzone Pokucie, mógł udać się do Krakowa dla wyjednania sił tyle przeważnych, iżby wojna w gniazdo niekornych jeszcze Wołochów przeniesioną być mogła. Do uważania tak dokonanéj wyprawy za dostateczną i chwale naszéj i włożonym na nas przez kraj obowiązkom, wszelkie miałem powody, gdy głucha wieść i wam zapewne, mościwi panowie, nietajna, obiła się o me uszy, jakoby Wojewoda Petryło sam w swojéj osobie na czele niezli-

czonych hufców marsz ku nam rozpoczął, i o dwa dni drogi od nas się jeno znajdował. Niepodobne stwierdzenie téj pogłoski w krainie zamienionéj w pustynię, w któréj człek jest fenixem, wtrąciło mnie między dwie ostateczności: albo narażenia na zgubę szczupłéj garstki rycerstwa, albo zaćmienia blasku drogo nabytéj chwały pierzchaniem z pola przed bezzasadną plotką. W téj alternacie, dzielący trudy nasze tu nam obecny Starosta, podjął się dotarcia do żrzódła szerzącéj się wieści. Skutek, aczkolwiek drogo nabyty, przewyższył oczekiwania moje. Ufny w swe niezliczone siły i słabość naszę Hospodar, wydarłszy z rąk tatarskich pochwyconego przez Hana Starostę, za jego pośrednictwem chce nas trwogą przerazić, i do kuszenia się nawet o zbawienie odwrotem szczupłych hufców naszych, wszelkiéj pozbawić otuchy. Sam obwiódł brańca w koło swych niezliczonych szeregów; okazał mnogość dział ogromnego kalibru, a wymieniwszy położenie i liczbę szczupłych sił naszych, oświadczył z butą, iż jeżeli w ciągu jednéj doby, ja, Wielki Hetman Koronny, niestanę przed nim boso, z korną i obnażoną głową, niosąc mu zapewnienia lenniczéj uległości naszego Króla i Pana a jego władcy prawego, wtenczas obróciwszy mnie w proch jednym zamachem, śmierć i pożogę aż pod mury Krakowa poniesie. Niewątpię że w hufcach buławie méj powierzonych, niemasz najmniejszego pachołka, któryby wszelkich nieszczęść nieprzeniósł nad podobną sromotę, i daleką odemnie myśl wyrządzenia wam zniewagi powątpiewaniem, jakbyście

chcieli postąpić, gdy między hańbą a śmiercią chwalebną wybierać należy; ale zastanówmy się dojrzale, czy lepiéj cofnąć się pod ogniem nieprzyjaciela do osadzonego załogą naszą Halicza, czy też zasłoniwszy się szańcem polowym, w tém miejscu czekać roztrzygnienia doli jaką nam los wojny przeznaczył; nadmienić tu jeszcze widzę potrzebę, że samych Wołochów siły, więcéj jak w dziesięcioro hufce nasze przenoszą; ale liczniejszy jeszcze Tatarzyn, który w przymierzu z Wołoszynem tę krainę plądrował, urażony odmówieniem wrócenia wydartego ze swych więzów Starostę Barskiego, na którym dawną nienawiść i świeżo w polu otrzymaną zniewagę, srogim pomścić chciał obyczajem, wypowiedział wiarę Hospodarowi, i z całą swą dziczą w domowe koczowiska wrócić zamierzył.

Gdy zamilkł Hetman, każdy z obecnych koleją objawił swe zdanie. Sam tylko Regimentarz Kmita radził porzucić działa i wozy, a wsadziwszy za jeźdźców drabów pieszych na konie, śpieszny wykonać odwrót ku zamożnemu w artylleryą i wszelkie wojenne przybory Haliczowi. Inni nietylko za tém zdaniem nie poszli, ale owszem domagali się z zapałem aby ruszyć niezwłocznie ku nieprzyjacielowi, i mężnie na jego obóz uderzyć.

Gdy rozdwojone zdania gorecéj zaczęły się ścierać, powstał z miéjsca Tarnowski, i rzekł:

— Zaniechajcie sporów. — Nie słowy lecz bułatem rychle walczyć będziemy. *Nie daj tego Boże!* rzekł do Regimentarza, *abym ja miał klejnota Pana*

mego odbieżeć, a niewidząc nieprzyjaciela, tył jemu sromotnie podawać. Niechcę również, dodał obracając się do Rotmistrzów za wstępnym głosujących bojem, krwie szacownéj sarmackiéj bez nadziei skutku na istną zgubę przelewać. Dzielna rycerstwa mojego otucha, i rozsądek który dziełmi dbałego o sprawę Hetmana przewodniczyć powinien, jednę tylko wskazuje mi drogę, i tą jeno do chwały Jan z Tarnowa poprowadzi waszmościów. Teraz na koń co żywie, i naprzód za memi ślady.

To rzekłszy śpiesznie z całém zgromadzeniem miéjsce narad opuścił.

Przenieśmy teraz czytelnika na bliskie scenie téj miéjsce, chwałą naszego rycerstwa w potomne wieki pamiętne.

Kryjące się za łańcuch stromych Karpatów słońce dnia tego, ostatnim jaskrawych promieni orszakiem w malowniczéj oświecało postaci rozciągającą się od wsi Obertyna ku wzgórzom pobliskim dolinę, śród któréj w skupionych szeregach, za urządzonym z ładownych wozów i pasiek nagromadzonych rondelem, okiem w pół zawartém, z ręką na kordzie, chwilowego używali spoczynku żołnierze. Na pierwszy rzut oka widać było, że obrońcy chwały narodu pole obertyńskie za teatr do rozwiązania krwawego dramatu obrali.

Garstka rycerstwa zaimprowizowaniem twierdzy polowéj, wszelkie rozwinęła środki wzmocnienia szczupłych sił swoich. Śród wiązań ruchoméj zagrody, za jéj obręb tu i ówdzie wyglądały w przyzwoi-

tych odstępach wyloty dział i hakownic, za któremi spoczywali do ich usługi przeznaczeni puszkarze.

Dwie bramy w dwóch przeciwległych bokach obwarowanego obozu, otaczały silne roty pieszego żołnierza, a w okrąg całego szańca tworzyli dwie linie celni drabowie i hajducy, których rusznice wspierały się na wbitych w ziemię widełkach, do trafnego wymierzenia strzelby służących. Srodek przestrzeni zajmowała Hussarya i jazda Kozacka; te lubo za obrębem tylko warowni użyte być mogły, odznaczały się jednak wszelką gotowością do boju. Konie z całym swym rzędem, rozkiełznane na chwilę i uwiązane do wbitych w ziemię kołów, posilały się z torb zawieszonych na głowach obrokiem; każdy zaś jeździec z orężem i zbroją stał lub leżał na ziemi w bliskości swego rumaka.

Skupioną w szczupłym obrębie czterotysięczną ludność, cechowała ta uroczysta i pełna charakteru cisza, jaką tylko w rzadkich zdarzeniach prawdziwie mezkiéj determinacyi postrzegać można. Zdawało się że iskra ognia którym dusza wodza płonęła, ten pożar męztwa zatliła; na każdéj bowiem twarzy odbijało się w żelaznych rysach godło znamionujące w téj dobie oblicze Hetmana: »*Smierć lub zwycięztwo!*«

Nic silniéjszego nad sympatyą odwagi. Jeden mąż wielkiego ducha, przykładem zimnéj wzgardy dla śmierci, krocie serc truchlejących bohaterskiém natchnąć umie uczuciem, i do spełnienia czynów wyższych nad miarę podobieństwa nakłonić potrafi. Tym duchem i przekonaniem przejęty nasz Hetman, z bra-

terską poufałością obchodził zbrojne szeregi; wszędzie pogodném i ufném w moc duszy obliczem szerzył dzielną serca swego otuchę; młodzież niedoświadczoną elektryzował wyrazami do męztwa zagrzewającemi, które w ustach wodza chwałą znamienitego, dzieci na bohaterów przekształcać zwykły; jeżeli dostrzegł znaną twarz weterana z którym dawne dzielił niebespieczeństwa, tego pochwałą męztwa i zręczną wzmianką czynów spełnionych, natchnął wnet żądzą zasłużenia na zaszczytniéjsze jeszcze wspomnienie wodza ulubionego. Słowem, ogniem własnego męztwa i spokojem zimnéj determinacyi całe swe ożywił rycerstwo, poczem wsiadł na koń z Pretwicem i wyjechał za obręb obwarowany dla obejrzenia stanowisk do czuwania nocną porą nad bespieczeństwem obozu przeznaczonych.

Objechawszy w około ostatni łańcuch wart pojedyńczych, rzekł do Pretwica:

— Niemogę czat moich rozciągać do téj odległości z któréjbym chciał mieć języka o obrotach nieprzyjaciela. Radbym więc wyprawić oddział któryby nocną porą dalsze czynił objazdy, i był niejako ostatnią mą nicią kommunikacyjną. Tę wyprawę, jako doświadczonéj wymagającą przezorności, wam znowu powierzam, Starosto. Staniecie na czele dwuchset kozactwa, i spoczynek nocy dzisiéjszéj *ad tempora pacis et quietatis* odłożyć raczycie.

Wnet wystąpił z warowni hufiec lekkiéj jazdy pod przewodem Prokopa Sieniawskiego. Pretwic objął

jego dowództwo i zaraz mrok szary widok odjeżdżających pochłonął.

Po chwili całą przestrzeń ogarnęły ciemności, a głębokie milczenie przerywały tylko stłumione oddaleniem okrzyki czat nawołających się, i ruch w długich przerwach w obozie, gdy dla zluzowania stanowisk występowały w pole oddziały. W śród ciszy ponuréj nocy, sen głęboki zamroczył oczy rycerstwa. Sam tylko Hetman, na twardém węzgłowiu odpowiedzialności wodza w chwili stanowczéj spoczywający, powiek ani razu nieskłonił. To rozmyślał i dumał leżąc na rozesłanym kobiercu; to znowu zrywał się nagle jakby dotkliwą myślą zbudzony, i wstępując na jeden z wozów u szańca, niespokojne spójrzenia w otchłań ciemności zatapiał; a gdy uczuł poprzedzające poranek tchnienie świeżości w powietrzu, już więcéj stanowiska swych obserwacyi nieopuścił na chwilę. W oczekiwaniu upragnionéj zorzy, zdało mu się jakoby wiatr przynosił zdala szmer głuchy, harmonią powszechnéj cichości przerywający. Jakżeby rad przedarł czarną nocy zasłonę, dla stwierdzenia wzrokiem czyli go czucie słuchu nie ułudziło! Lecz już wschód ubarwiać się zaczął pasem purpurowym; a lubo jeszcze niezdarł okrywającéj widnokrąg czarnéj szaty nocnéj, już jednak w szarych kolorach ukazywał rysujące się na tle swojém obrazy. Cóż znaczy ów szlak ruchomy i ciemny na purpurze jasnego świtu odbijający się?... miałyżby to być gęste ziemi wyziewy.... ale nie.... nic się nad poziom nie wznosi. Tak; to nie obraz złudzenia bezsennéj zrzenicy.... Wystrzał z rusznicy na

łańcuchu warty zewnętrznéj, przerwał myśl rozpoczętą; za nim potoczył się huk przerywany strzelby i nadbiegły parte oddziałem jazdy wołoskiéj przednie stanowiska wojsk hetmańskich. Zaraz u dział stanęli puszkarze, i zmierzyli wsparte na widełkach strzelby celni drabowie; ale hufiec nieprzyjaciela rozsypał się w okrąg obozu, i pojedyńcze czyniąc ku rycerstwu polskiemu podjazdy, szyderstwy i złorzeczeniem usiłował wywieść je za obręb obwarowany. Ciszą wzgardliwą przekonany o próżności tych usiłowań, zebrał się znowu w hufiec i śpiesznym galopem wrócił ku swym szeregom, które już rozwinęły się w około obozu, skupiwszy w miejscu wzniesioném ogromną swą artylleryą.

Niepewność cechowała poruszeniami tak mnogiego w porównaniu ze szczupłą garstką hetmańską nieprzyjaciela. Postać cichéj i spokojnéj w obec niebespieczeństwa determinacyi groźniéjszą jest nad najsilniéjsze otwartego boju wrażenia. Postępujące w zbitych massach niezliczone hufce Wołochów, zachwiały się przed uroczystą i niewzruszoną powagą naszego rycerstwa. Rozwinięte już szyki dalszy postęp wstrzymały, i znowu wybiegł ku obozowi oddział aby uszczypliwemi słowy za niedostępny szaniec wywabić rozdrażnionego żołnierza. Ale tym razem nie zdołał myśli powziętéj dokonać. W środkującéj między dwóma stanowiskami zarośli, ozwał się huk strzelby z rusznic zaczajonych hajduków, i wnet upadło z koni kilkadziesiąt Wołochów, a cały oddział, jak

spłoszona owiec pierzchliwych gromada, w nieporządku śpieszny odwrót wykonał.

Nagle zajękła ziemia pod salwą mnogich dział nieprzyjaciela. Obłoki dymu powlekły cały widnokręg, a grad żelaza z rykiem przerażającym przeleciał nad głowami obwarowanego żołnierza. Odurzona na chwilę młodzież naszego rycerstwa, widząc bezskuteczność próżnéj wrzawy dzielniéjszéj nabrała otuchy, i zaraz pod rządnym kierunkiem Staszkowskiego jęli się do dzieła puszkarze. Huk przerywany pojedynczych wystrzałów artyleryi hetmańskiéj, ginął wśród wrzawy potężnéj nieprzyjaciela; ale każdy pocisk niosł śmierć i zniszczenie Wołochom, których niezręczna służba umieszczonym na wzgórzach swym działom nieumiała przyzwoitego nadać zniżenia. W tém runęła celnym w oś ugodzona pociskiem dwónastokonna Wołochów armata, i zaległy przy niéj ciała kilku ubitych puszkarzy. Świadek naoczny rosprawy stojący w oddaleniu sam Wojewoda Petryło, widząc gasnącą swoich odwagę i zawsze niewzruszoną postawę nieprzyjaciela, rozkazał nakoniec połączonemi siłami szturm ogólny na szaniec hetmański przypuścić. Dźwignęły się nieruchome dotychczas massy, i żwawie ze wszech stron na oboz polski natarły; ale zimna i rządnie kierowana odwaga obwarowanych, po kilkakroć silne lecz niesfornym tłumem kierowane zapędy odpierała ze stratą, goniąc za każdym razem po za obręb obozu w zgiełku cofającą się tłuszczę.

Po bezskutecznych usiłowaniach złamania frontu warowni, całe siły Wołochów wymierzyły natarcie

na tylną jéj bramę, mniéj u téj strony spodziewając się rządnego do odporu przygotowania. Ale baczne oko Hetmana, cel każdego obrotu nieprzyjaciela odgadywało natychmiast, i rychło osada téj bramy, świeżemi posilona rotami, zwarła potyczkę pod osobistym przywodem sercem dzielnego acz podeszłego wiekiem Rotmistrza Balickiego, ze stratą kilku towarzyszów odparła napad, a pognany daleko nieprzyjaciel, w całych szeregach rozszerzył popłoch i trwogę.

W pięciogodzinnéj walce, oręż hufców hetmańskich stale niweczył usiłowania zdobycia warowni; a lubo zasłane ze wszech stron pole trupami, świadczyło o odniesionéj w każdém natarciu przewadze, dotąd jednak górowały liczbą na piérwszych stanowiskach szeregi, i bitwa w jednostajnéj z obu stron wiodła się losu kolei.

Lecz zwróćmy wstecz przywiedzionych wypadków uwagę czytelnika, i zobaczmy dla czego hufiec pod wodzą Pretwica, ani dopełnił Hetmańskiego zlecenia, ani nawet dotąd niebezpieczeństw bratnich szeregów niedzieli.

Długo rozlegające się w dali okrzyki czat hetmańskich, całą były skazówką położenia błądzącego w ciemnościach oddziału; lecz gdy przebył pasmo wzgorza nad poziom wzniesionego, i tę nakoniec postradał oznakę.

Pretwic wystąpił z szeregu, i złączywszy się z przednią strażą, sam czuwał nad bespieczeństwem i kierunkiem dążenia oddziału. Już upłynęło kilka godzin

jak osłonieni ciemnością błędne stawiali kroki, gdy śród poźiomych zarośli wstrząsnął się pod Starostą znany już nam z wytrwałéj chyżości rumak, i przeciągłem chrapnieniem dał znak niepłonnéj trwogi. Rychło potém przyniosł wiatr z oddalenia dobrze znaną bohatérowi naszemu ostrą i odrażającą wonię niechludnéj dziczy tatarskiéj.

—A tuś mi, odwieczny mój wrogu! rzekł w roztargnieniu do siebie Pretwic.—Toć widzę przeznaczeniem mojém abyś mi każdy krok zastępował rycerskiego zawodu. Lecz bierzmy udział chwały jaki nam nieżyczliwa przeznacza fortuna. Jeżeliś takim na tym tu krańcu rodzinnéj ziemi, jakim cię zawsze znałem na równinachUkrainy i w twéj jałowéj Hańszczyźnie, nawet w ciemnościach mroku niezadrży przed tobą serce Pretwica. Bież bez przewłoki, dodał podnosząc głos do jednego z jezdców, i proś pana Sieniawskiego aby zatrzymał oddział, a w koło na sto kroków jazdę pojedynczą rozesłał. W gotowéj postawie do odparcia napadu chyłkiem walczyć nawykłego Tatara świtu oczekiwać musimy, jężeli niechcemy kośćmi naszemi tego wzgórza ubielić; w dzień jasny niewynajdzie przebiegły dowcip Tatarski zdrady któréjby Pretwic niepotrafił uprzedzić.

W rządnym gotowością szyku, więcéj godziny stał oddział nasz niewzruszony na miéjscu, żadnéj niedoznawszy przygody; lecz gdy półjasna szarość wschód powlekać zaczęła, zabielił się w dali rozległy tabor spoczywającego po błoniu Tatara. Wzajemny okrzyk

podziwienia oznaczył obustronne poznanie się, i zaraz długą linią wyciągnęła horda, zbliżając się ku gotowemu do boju hufcowi.

W miarę jak się skracała odległość, wzmagał szybkość postępu Tatarzyn, i wyprzedzając obu końcami środek swéj linii, przybierał stopniami szyk półmiesiąca z rogami na nieprzyjaciół wymierzonemi. Ale w pół drogi uprzedził go oddział Pretwica, a pędząc w zbitéj kolumnie, w saméj chwili natarcia rozdzielił się na dwie części, rozbił oba rogi krzywego szyku, i za nim znowu w jednę połączył się massę, zostawując na przód bez ładu i celu pędzącego nieprzyjaciela.

W téj chwili obił się o uszy walczących huk dział i strzelby ręcznéj szturmu na oboz Obertyński przypuszczonego.

Nic niezdoła wystawić rospaczy bohatera naszego.—Tak że się to uiścił z położonéj w sobie ufności? Czyliż mieć można nadzieję aby wyrozumiałość ludzka przypisać to chciała losowi, co istotnie ślepego losu było zrządzeniem?

Po chwili milczenia nagle zawołał Starosta;

—Choćby całego świata szeregi oboz otaczały hetmański, przedrzeć się przez nie potrafię i wczas jeszcze stanę Hetmanowi na oczy.—Daléj, bracia, z kopyta!—ta wrzawa krwawego boju będzie drogi naszéj skazówką!

Cały oddział wielkim pognał galopem, lecz zjeżdzając ze wzgórza, postrzegł inną hordę szybkim nań pędem nacierającą.

Krótką chwilę zabrała rosprawa z tym nowym nieprzyjacielem; ale w pewnym oddaleniu znowu takąż napotkał przeszkodę, i coraz z nowemi ścierając się oddziałami, krok każdy postępu nowém okupywać musiał zwycięztwem.

Jak chciwa żeru gromada szakali, czająca się wokrąg pola na którém słoń z nosorożcem zaciekły bój toczą, tak horda tatarska, zerwawszy z Wojewodą przymierze, nadzieją łupu znęcona, plac bitwy stanowczéj w mnogich otaczała oddziałach.

Po kilku godzinach walki z rozsypaną tu i ówdzie i co krok ziawiającą się dziczą, Pretwic tę tylko zdobył przewagę, iż znacznie zbliżył się ku dolinie na któréj wrzał bój zacięty; a gdy rosproszył ostatni oddział który mu od Obertyna drogę zabiegał, już nieśmiał pohaniec stawić oporu dalszemu postępowi bohatera naszego; stanął więc bez przeszkody u górzystego pasma za którém rozciągała się dolina teatrem bitwy będąca, i zatrzymawszy swój hufiec dla wytchnienia znużonych jezdców i koni, czołgając się wlazł na wierzchołek wzgórza, i pilnie przyglądać się zaczął kolejom toczącéj się walki.

Była to właśnie chwila w któréj Balicki, odparłszy napad na tylną bramę, i wybiegłszy za obręb warowni, sprawił chwilowy nieład w szeregach wołoskich,

Pretwic wskoczył na konia, słów parę przemówił dla nadania żołnierzowi otuchy, i zwarłszy ostrogami rumaka, jak piorun uderzył w bok niezliczonych hufców nieprzyjaciela.

Niepodobna wysłowić zgiełku i wrzawy jaką to niespodziane sprawiło natarcie.

Chwila odurzenia powszechny sprawiła odmęt i zamięszanie. Rychło jednak postrzeżono jak szczupłéj garstki był dziełem ten pocisk, i w okrąg obległy niezliczone roty śmiałego w swem łonie nieprzyjaciela: — ale przerwa w boju i zamięszanie nieuszły bystrych oczu Hetmana.

W mgnieniu oka rozrzucono przedni szaniec obozu, i puścił się na nieprzyjaciela w skupionéj kolumnie hufiec niezwalczonéj hussaryi. W zgiełku niespodziewaném natarciem Pretwica sprawionym, niemógł zdumiały Wołoszyn zjednoczyć środków odporu, na których w przytomném działaniu zbywaćby mu niemogło. Jak potężny huragan, gruzami spustoszenia każdy krok swego przelotu oznaczający, tak silna kohorta wproch obracała wszystko co jéj jakikolwiek opor stawić usiłowało. Nim pocisk ugodził, już łamały się szyki przed wrzawą, szumem, warkiem proporców, i wrażeniem groźnego uzbrojenia olbrzymiéj postawy rycerstwa.

Gdy trwoga i zamięszanie owładły hufcami nieprzyjaciela, działanie nadbiegłych rot pieszych i lekkiéj jazdy najzupełniéjszego dokonały zwycięztwa. Pierzchnął, widząc swą niecofnioną zagładę Hospodar Wołoski, i w rączości rumaka szukał zbawienia od więzów zasłużonéj niewoli. Rozbite hufce jego albo broń rzucały pod nogi zwycięzców, albo padały jak podcinane kłosy pod razami hussarskich kopii i koncerzy.

Pięćdziesiąt dział z całym przyborem i służbą; przeszło tysiąc jeńców, niezliczona moc oręża i zbroi, całe pole zasłane trupami nieprzyjaciela, przyzwoicie skarcona buta i niewiara lennika, oto pamiętne owoce trudów i niebespieczeństw dnia tego.

Hetman objeżdżając plac boju, i kierując pogonią rot swoich, rozkazał nakoniec dać znak odwrotu i zbioru w około siebie hufców za nieprzyjacielem rozbiegłych. Zabrzmiały trąby, i zaraz wporządnych szykach skupiać się zaczęły zwycięzkie chorągwie. Gdy nadszedł szczupły hufiec Pretwica niewczasem i długiemi znużony trudami, wystąpił naprzód Hetman, ujął przyjaźnie rękę Starosty i rzekł:

— Najpiérwszy udział chwały dnia tego wam się słusznie należy, Starosto. Waszéj wieści winienem rządne na nieprzyjaciela przygotowanie; waszemu męztwu i bezprzykładnéj śmiałości, piérwsze zachwianie się rot niezliczonych, które na mą stronę przechyliło szalę zwycięztwa. Przyjm dziękczynienia jakie wam na tém polu chwały składam imieniem Pana naszego miłościwego. A gdyś się najlepiéj w bójce wołoskiéj przysłużył, przypomnij wyrazy Wojewody Trockiego, i miéj niepłonną z hetmańskiego słowa mojego otuchę do najmilszéj sercu Waszmości nagrody.

III.

MIŁOŚĆ. — JESZCZE BURZA. — PORT.

Czyliż w ciągu dwóch obszernych rozdziałów odpowiedzieliśmy by z mała założeniu naszéj pracy? Czyliż możemy tuszyć się nadzieją pobłażania czytelnika, którego zamiast obdarzenia rzewnemi wrażeniami powieści kroju tegoczesnego, zamiast zachwycenia umiejętną anatomią serc ludzkich w dzisiejszym bycie społeczeńskim wzrosłych i ukształconych, wiedliśmy przez pola walk i twardego znoju, odurzając pieszczone nerwy szczękiem oręża i wrzawą nieczułéj wojny? Czyliż nakoniec złagodziliśmy

ciężar śmiertelnego grzechu by najmniéj powikłaną intrygą, z niewieściego serca, przez ustronia miłośnych poszeptów, przepaści współzalotnictwa, kręte drogi dążenia po wieniec szczęścia upragnionego, wrzawę weselnych komnat, słowem przez róże i ciernie naprzemian snującą się? Niestety! nie; i już zaspaliśmy porę zbawiennéj skruchy. Brnijmy więc daléj nim nas wir potępienia pochłonie, i z bólem serca zrzekając się najsłodszéj dla twórcy romansu nagrody, gdy łza rozczulenia zawiśnie na rzęsach chciwy wzrok w karty jego wlepiającéj piękności, pędzlem w zwiędłych przedtrzechwiecznych kolorach maczanym, ścigajmy do kresu jałowéj pracy.

W odległy czas i miejsce wypadkom które nas zaprzątały w poprzedniem opowiadaniu, przenosimy nasz obręb działania. Rok z nakładem upłynął jak syte chwały rycerstwo, zdobyte wawrzyny w domowém złożyło zaciszu, a rany serca osieroconego w nadziejach całej imienia i domu przyszłości Xięcia Wojewody Ostrogskiego, żadnego w balsamie czasu niedoznały ukojenia.

W ustronie zamku Winnickiego przeniósł Wojewoda swą żałość, po wyczerpaniu piérwszych wzruszeń zamienioną w martwą i skrzepłą na wszystko co go otaczało melancholią.

Względne do położenia towarzyskiego usposobienie duszy człowieka, silnie to wspiera twierdzenie, że wkrótkiéj pielgrzymce życia wszystko jest jak najlepiéj. Kto od kolebki nękany niedolą wpoił w swe jestestwo wiarę bytu lepszego, ten nie bez pociechy

i osłody najboleśniéjsze znosi pociski; lecz komu świat ten jest niebem, czyjéj myśli i żądz wgłębi duszy ukrytych, nawet gruntowna wiara nigdy nieprzeniosła za obręb szczęścia dożywotniego, jakże ten drogo płaci za roskosze różanéj ścieżki życia, gdy go los nieubłagany najmilszych sercu pozbawi nadziei! Wawrzyny i róże stroiły naprzemian błogi chwalebny żywot Wojewody. Ubielony siwizną, stałość szczęścia wpoił w nałóg swéj duszy, i nigdy myślą o nadbiegającéj wieczności, niezachmurzył pogody życia, bo widział wieczność szczęścia i chwały w spadającéj na drogiego sercu potomka puściźnie.

Okrutnym ciosem zepchnięty w przepaść nicości wypieszczonych zdawna nadziei, zawarł w duszy swą boleść, i w osieroceniu po najsłodszéj myśli, zamknął serce dla wszelkiéj z pozostałéj mu jeszcze córki osłody. Ach! czyliż trzeba aby strata tego jedynego dobra, dała mu poznać jego wartość nieocenioną?

W jakichże kolorach wystawić zdołamy anielską postać téj nadobnéj dziewicy? Piérwszy rzut oka na jéj oblicze, rozwijał w umyśle postrzegacza pojęcie powziętego duszą genialnego mistrza wyobrażenia, gdy dla stworzenia arcydzieła, w boskiém natchnieniu ujmuje pędzel lub dłóto; lecz gdzież wcielenie w głaz lub na płótno téj twórczéj myśli któreby piękności naszéj godnym było obrazem, bo gdzież rzetelne naśladowanie uroku życia i duszy?

Urok ten przepełniał całą postać Wojewodzianki, malując duszę równie daleką płochéj i wymuskanéj pieszczotliwości niewieściéj, jak przesytu wrażeń miękkiego serca i wrzawy światowéj. Urok ten uszlachetniał wdzięki niewysłowionego powabu, jaśniejąc najżywszym blaskiem w tkliwych lecz pogodnych spójrzeniach niebieskiego oka, w którém cała jéj odbijała się dusza.

Wśród tłumu wielbicieli o jéj rękę ubiegających się, Teresa Ostrogska wzruszyła się tylko dla tego, co nie świetnością światowego powabu, lecz chwałą i zasługami dla kraju drogę do jéj serca utorował.

Ileż razy słyszała jak wyzwoleni z jassyru mieszkańcy Podola, imie Pretwica zawdzięczeniu niebios przekazywali. Jakże wymownie przemawiały do jéj duszy błogosławieństwa jéj rodzinnéj prowincyi, która współziomka bohatera tarczą swych rodzin i mienia od nabiegów drapieżnego sąsiedztwa jednogłośnie mieniła? Jak słodkim zapałem wzruszało się serce dziewicy, gdy wieść pełna chwały, roznosiła czyn szlachetny Starosty, jak uprzedzając przewidywany najazd Tatarów, wniósł trwogę w ich koczowiska, i klęską szeroko zadaną, na długo dzikim zamysłom hartowne położył wędzidło.

Głośna sława Pretwica poprzedziła znajomość jego z domem Ostrogskich, i już imie Starosty ubarwiało rumieńcem zapału czoło Wojewodzianki, nim go jeszcze poznała,

Piérwsze zbliżenie się niestarte na umyśle i sercu

dziewicy zostawiło wrażenie. Było to właśnie potem gdy na równinach Tulczyna rozbił Starosta potężną hordę tatarską, która w sam środek Ukrainy wniosła krwawe zagony. Krwią barbarzyńskiéj dziczy krwi rodzinnéj ślady zalał Starosta; a tysiąc przeszło jeńców, łup cały odbity, tłumy wyzwolonych brańców, mnogość buńczuków i znamion, były owocem świetnego czynu.

Właśnie w tenczas Wojewoda Ostrogski, po nieustannych trudach życia publicznego, otoczony rodziną w zamku Winnickim używał wytchnienia, gdy łup zwycięztwa w dom jego, jako jednego z piérwszych dygnitarzy kraju, miał przywieść i ofiarować Starosta.

Nieobojętny na głos chwały Wojewoda, chwilę przybycia bohatéra, świetną i jaśniejącą przepychem oznaczył uroczystością. Zabłysnął dworzec tysiącem świateł; u wjazdu do zamku stanęła tryumfalna brama, uwieńczona kwieciem i znamionami zwycięztwa, a tłumy dworzan w świetnych szatach uroczystości napełniały krużganki pałacu. Gdy przybył Starosta, spotkał go u wnijścia Wojewoda, i powiódł do oświéconéj rzęsistym światłem komnaty, w któréj otoczona orszakiem dworowych niewiast, jaśniejąca wdziękami i przepychem Wojewodzianka, u drzwi przyjmowała gościa znamienitego.

Blask chwały; męzka i szlachetna postać bohatera; tchnące ufnością w swą odwagę i wzgardą niebezpieczeństw oblicze; wzrok przyćmiony skromnością,

która tak wysoko podnosi istotną zasługę, cała postawa oddalająca wszelkie wyobrażenie miękkości w światowéj pogrążonéj roskoszy, roztliły w sercu dziewicy uśpioną iskrę uwielbienia, niecąc pożar niewygasłej miłości.

Niedostępne aż dotąd tkliwym wrażeniom serce wychowańca wojny, zadrżało pod urokiem wrażenia zachwyconéj i zachwycającéj dziewicy. Moc wrażeń pierwotnych na duszach twardemi kolejami rycerskiego rzemiosła zahartowanych, silniéjszą i trwalszą jest nad wszelkie serc wypieszczonych wzruszenia. Bohater nasz uczuł się w inne przeniesionym jestestwo, a w zdumieniu nad nowym stanem swéj duszy, stał oniemiały i drżącém spójrzeniem przebiegał skarb niezrównanych wdzięków, który odtąd całém miał być jego pragnieniem, jedynym celem istnienia.

Po długiéj przerwie zapomnienia się w opojeniu wrażeń niezwykłych, odzyskał nakoniec myśl przytomną Starosta, i z zapłonieniem zgiąwszy kolano, złożył przed ubóstwioną chwilą zachwycenia istotą, znamie które niegdyś krwią i pożogą groziło krajowi, a teraz ręką zdobywcy złożone u nóg owładającéj sercem jego dziewicy, męztwa i uczuć bohatéra było tłómaczem.

Podniosła z zapałem Wojewodzianka dar chwalebny i tkliwym głosem wynurzała z serca płynące dziękczynienia; ale przerwał jéj Wojewoda mówiąc:

— Nietakiéj podzięki godzien dar szlachetnéj odwagi. Nieleń się Waszmośćpanna przyciśnieniem

ust zawdzięczyć hołdu który tyle ci chluby przynosi. Piękność nagradza męztwo. Na ten raz przyjmij Waszmość jéj prawa, i godnym dziewicy mężnego plemienia obyczajem, pocałunkiem chciéj zawdzięczyć zaszczyt jaki Pan Starosta tobie i domowi mojemu przynosi.

Odtąd nowe zaczął życie Starosta. Uczucia jego rozwinęły się z całą żywością serca którego jeszcze żaden przedmiot niewzruszył. W szczerości wojaka obcego dla dróg skrytych tajenia głosu serca wyszukaną rachubą postępowania, w każdym kroku zdradzał tajemnicę swych myśli; a ile razy z żalem radby cofnąć zbyt wymówną oznakę, poznał po opojeniu swéj duszy, iż ją z wdzięcznością i odpowiedniem uczuciem przyjęła Wojewodzianka.

Czyliż uszły uwagi Wojewody te wzajemne rozwijającéj się miłości znamiona? przeciwnie; jakżeby rodzicielskie serce obcem być mogło temu na czém los i przyszłość dziecka się wspiera? Był świadkiem nastania i wzrostu skłonności dwójga kochanków; a lubo nigdy nie wynurzył swego w téj mierze mniemania, nigdy przecież chmurą czoła niezaćmił pogody zobopólnego uszczęśliwienia, — nigdy przeczącym wyrazem oblicza niezniszczył powziętych nadziei.

Głos ciężkiéj kraju potrzeby, gdy Hospodar Wołoski krwią całéj prowincyi swą niewiarę oznaczył, przerwał to bespieczne krzewiących się uczuć pod niebem rodzicielskiego pobłażania istnienie. Sędziwy Wojewoda pośpieszył służyć radą; waleczny Pretwic ramieniem; a gdy Król żegnał w Krakowie podle-

głe buławie Tarnowskiego rycerstwo, Xiąże Ostrogski, iakby w umyślném dla świadomych sobie uczuć Starosty znaczeniu, tonem pół rzetelnym, pół żartobliwym, ręką nadobnéj córki, najcelniéjszą w sprawie pokuckiéj zasługę wynagrodzić przyrzekał.

Widzieliśmy jaki wziął udział nasz rycerz w téj chwalebnéj wyprawie. Cóż więcéj sprzeciwiać się mogło uszczęśliwieniu tego, którego nowa najzaszczytniéj przez Hetmana poświadczona zasługa, ostatecznie zdawała się ukrzepiać nadzieje i prawa?... Niestety! —wszystko. — Chwała domu, jedyny cel istnienia i nadziei podeszłego Wojewody, młody Ostrogski poległ w ciemnéj i niechwalebnéj wyprawie. Czyliż mu nietowarzyszył Starosta? Czemuż więc własne tylko uniósł życie z niebespieczeństwa? Czemu przynajmniéj swém doświadczeniem nieosłonił porywczego zapału młodzieńca? W uprzedzeniach boleści, całą swéj niedoli przyczyną rospaczający starzec w głosie serca mienił Pretwica, a zimny w ponuréj melancholii dla córki i wszystkiego co go w dniach szczęścia wzruszało, niemógł utaić swéj odrazy na widok tego, którego niegdyś synem swym nazwać był gotów.

Pogrążony w posępnéj zadumie i skrzepłéj na wszystko odrętwiałości, mógł wzbudzić mniemanie iż nieżyczliwe dla Starosty oznaki były dziełem ogólnego usposobienia starca, pod ciężarem niedoli zgiętego. Mniemali nawet kochankowie, iż odwołanie się do ojcowskiego serca w rzeczy ostatecznego rozrzą

dzenia ręką i losem jedynéj córki, zbawiennėm dla duszy strapionéj roztargnieniem, wróci go na łono nadziei i szczęścia. W nieśmiałych wyrazach do kolan starca przynieśli cel upragnionych życzeń serc swoich.

Jakiż grom uderzył Pretwica!... Zachmurzył i tak już troską zorane oblicze Wojewoda, powstał na nogi i rzekł głosem przerywanym gniewem i boleścią na przemian.

— Zapomniałem w utrapieniu srogiego ciosu, że jako bliski tronu dygnitarz, za świetne w sprawie wołoskiéj czyny Waszmości, winienem dziękczynienia. Odbierz je Waszmość w téj dobie. Lecz niezapomniałem jako ojciec osierocony, com ci winien za tę chlubną dla kraju, a boleśną dla serca mojego zasługę. Czyś mógł lub niemógł sędziwe lata moje zbawić najsroższych tego życia katuszy, niech Pan Bóg osądzi Waszmości. Wiedz jono, że jak jest niepodobném abyś mi wrócił syna poległego bez chwały, tak równie niepodobna abym cię jako syna do łona mego przycisnął.

Padł w wyczerpaniu boleści na swe siedzenie, i znowu w martwą pogrążył się zadumę.

Pocisk oskarżenia tak boleśnego, tak obraźliwego dla serca które już tyle razy złorzeczyło niezłomnym wyrokom przeznaczenia, że mu przeżyć zgon młodego przyjaciela kazały, sroższą nad miarę wysłowienia przejął rozpaczą wyzutego zarazem nietylko najsłodszych sercu nadziei, lecz nawet drogiéj dla

miłośnika chwały czci szlachetnego rycerza. Boleść srogiego ciosu, obok rospaczy, obudziła w sercu nieszczęśliwego tę przenikłą do głębi duszy urazę, w któréj wolemy zostawić przekonanie fałszywego zarzutu, jak poniżać dumę godności osobistéj odpieraniem oskarżeń szczebiotliwością wymowy.

Z politowaniem, lecz i z wyrazem wspianiałomyślnego przebaczenia obłąkanéj boleści starca, opuścił Starosta złowieszczą komnatę.... czyliż jednak opuści i siedlisko które go nadziejami szczęścia ukołysało, bez ostatecznego pożegnania jedynego czci swojéj przedmiotu?

Długo nieszczęśliwa córka klęcząc, na kolana starca łzy gorące roniła, a boleść jéj nieprzeniknęła do serca nieszczęśliwego; ani jedném skinieniem nieokazał jéj politowania, by najmniéjszego nawet w srogiém udręczeniu współczucia. Zalana łzami wybiegła z komnaty ojca, i padła zemdlona na ręce oczekującego na nię Pretwica.

Gdy po długiéj przerwie otworzyła oczy, postrzegła u nóg swoich klęczącego Starostę, który widząc wróconą swéj kochance przytomność, rzekł tonem złagodzonéj tkliwością rozpaczy:

— Srogi acz w obłąkaniu boleści wyrzut mnie uczyniony, jest wyrokiem wiecznego wygnania mojego z domu wszystkich nadziei szczęścia dozgonnie wam wiernego czciciela. Przekonany że w anielskiem sercu waszém, niemacie miéjsca dla tych okrutnych i wierzajcie mi niesłusznych posądzeń, unoszę z sobą je-

dyną na resztę żywota osłodę, że bez odrazy imie Pretwica wspominać będziecie, i błagam was o to abyście łzą jedną pamięć moję obdarzyć raczyli, gdy wam wieść zgon mój na polu chwały objawi.

— Gdzież zamierzacie kroki wasze skierować? spyta Wojewodzianka.

— Zamilczałem przed Wami że horda z nad kubanu w granice kraju wkroczyła i szerokie po Ukrainie rozwiodła zagony. Wzywa mię nowe pole chwały, na którém mam nadzieję kresu utrapień moich dostąpić.

Wiadomość ta pozbawiła uciśnioną dziewicę ostatków męztwa, z jakiém rospacz swą wgłębi duszy więzić dotychczas umiała. Gdy ślepą waleczność kochanka podżegną udręczenia niedoli serca, zgon jego niewątpliwém być musi następstwem męstwa rozpaczą kierowanego. Ta myśl wywiodła nieszczęśliwą z granic dziewiczéj przyzwoitości. Podniosła się z okrzykiem strapionéj duszy i zawołała załamując ręce:

— Czyliż być może abyście mi ten jeszcze gotowali kielich goryczy? Czyż w okrucieństwie serca zechcecie rozszarpać tyle strapioną już duszę wiernéj wam przyjaciółki? Nie!.. niemogę mniemać abym się tyle na szlachetności uczuć waszych zawiodła. Smierć codzienną towarzyszką bohatéra, nie czyni więc żadnéj mu chluby. Zaszczytniéj stokroć dzwigać ciężar życia, jak w nieczułości grobu szukać własnego tylko spokoju, wskazując na męczarnie rospaczy tych, którym nie tak łacno trafić do spoczynku mogiły.

O nie! nie!... pozwólcie mi odetchnąć po téj srogiéj pogróżce okrucieństwa waszego. Niechcę ja was z drogi chwały sprowadzać. Niechcę dotkniętych klęską współ-ziomków jedynéj ramienia waszego pozbawiać obrony; ale dajcie mi słowo rycerskie że nie śmierci lecz zwycięztwa szukać w boju będziecie. Osłonię was tarczą moich modłów, i ten raz jeszcze śmierć uszanuje tego, kto już ją tyle razy zwyciężał. Patrz; ten szkaplerz ręką moją uszyty, na cudownym Najświętszéj Matki obrazie, przyjął Boskie błogosławieństwo. Noście go na swém sercu, a miłosierdzie Bogarodzicy zbawi was śmierci dla zbawienia mię sroższéj nad nię rospaczy. Ach! na kolanach o tę jedyną błagam cię łaskę.... Daruj mi twoje życie... Przyrzecz... przyrzecz że je dla mnie zachowasz!

Cóż wyrazić zdoła roskosz uniesienia bohatéra naszego? Zdawna wzajemna miłość Wojewodzianki nie była dlań tajemnicą; nigdy jednak tak wymównym głosem serca mocy swych uczuć nieoznaczyła. W zapomnieniu uroku duszy, przycisnął do łona rozżaloną kochankę, ognisty zamienił z nią pocałunek; padł potem na kolana, z ręką na sercu wyrzekł słowo: Przyrzekam! i uchodząc niebespieczeństwa rozbrojonego czułością pożegnania, śpiesznie wyszedł z komnaty.

Rychło dosiadł rumaka i osłoniony mrokiem zachmurzonego wieczoru, niepostrzeżony przez nikogo zamek Winnicki opuścił na zawsze.

Śród poziomych lecz przestronną dolinę zalegających zarośli w blizkości zamku, czaiła się w dniu

tym horda tatarska, oczekując ciemności nadchodzącéj nocy któreby zdradne jej zamysły osłonić mogły. Rozległą przestrzeń zajmowało kilka tysięcy dziczy, tuląc się do nagiéj ziemi, i pilnie strzegąc się zdradzenia tajemnicy swojéj bytności w tych miéjscach. Wśród rozwiedzionego taboru, na rozesłanym ze skór baranich kobiercu, siedział z podgiętemi nogami wódz oddziału Murza Safar-Ali, posilając się pasem sparzonego pod siodłem końskiego mięsa, które tak zwanym *Kumysem* z przetrawionego mleka kobylego w częstych przerwach popijał.

Jak wilcze ślipia błyskały w szarym mroku zwklęsłości płaskiéj i szerokiéj twarzy małe lecz czarne i ogniste oczy, któremi bezustannie na bielejące w oddaleniu mury zamkowe poglądał, objawiając dziką niecierpliwość zawodzonego oddawna oczekiwania. Nagle szum głuchy rozwiódł się po taborze. Wzdrygnął się czujny Tatarzyn i ucho przyłożył do ziemi, lecz poznawszy że szelest stłumiony zbliżał się ku miéjscu które zajmował, usiadł znowu i z oznaką niecierpliwości jakiegoś oczekiwać się zdawał przybycia.

Po chwili dwaj Tatarzy przywiedli żyda, i oddalili się zostawując go z wodzem sam na sam.

—Jakież wieści? zawołał Murza skwapliwie.

—Wszystko wam, miłościwy Panie, sprzyja najlepiéj. Dziś zaledwie wiadomość o wkroczeniu hord waszych w granicę Podola po zamku rozchodzić się zaczęła. Ani się śni komukolwiek tak blizka wasza obecność. Nigdzie żadnego do odporu przygotowania, i niewiele was zdobycz kosztować będzie. Znane mi są

najłatwiéjsze do gmachów zamku dostępy, któremi gotów jestem wam przewodniczyć.

—Nie zdobycz, lecz zemsta mię wiedzie! zawołał Tatar z dzikością. Pretwic! Pretwic! powtarzał zgrzytając zębami. Tyś mię upewniał że go wydasz w me ręce.

—On ujść ich niemoże, miłościwy Panie; jest w zamku i zatopiony w pięknych oczach Wojewodzianki, dzieli powszechną niewiadomość.

—Wysłuchaj mię, psie niewierny, rzecze Murza z zapalczywością. Śmierć mię czeka w katuszach, gdy się dowie mój władca, wielki Hań ludu prawowiernego, żem opanowawszy zamek w którym najzaciętszy wróg jego przebywał, ujść mu rąk moich dozwolił. Dowiedz się więc co i ciebie czeka w téj chwili. Połowę złota i klejnotów zamkowych tobie przeznaczam za niego; lecz palem zakończyć każę nikczemne twe życie, jeśli mię fałszywemi usty z drogi celu mojego sprowadzisz.

To rzekłszy gwiznął przez palce, i zaraz cała horda dosiadła bachmatów.—Murza sześciu Tatarom otoczyć kazał żyda drogę wskazywać mającego, zaleciwszy aby został rozsiekany na miéjscu za najmniéjszą zdrady oznaką, i cała gromada dziczy milczkiem sunęła ku zamkowi, osłoniona głęboką ciemnością nocy.

Żarliwie w swéj sypialnéj komnacie modliła się Wojewodzianka. Jakieś trwożne duszę jéj uciskały przeczucia. Jestże to tęsknota rozstania się z lubym uczuć przedmiotem?.... nie, trwoga a nie rzewność

dreszczem delikatne przejmuje jéj członki. Czyliż głos serca udręczonego nowe jéj przepowiada nieszczęścia?.... O Boże! wołała w niezwykłem zasmuceniu; jeżeli wszechmocna Twa wola nowe dla méj cierpliwości gotuje doświadczenie, spraw abym za siebie nie za innych cierpiała, lub mię do Twéj chwały wiekuistéj powołaj!... i zawarła powieki wspierając głowę na miękkich węzgłowiach łożnicy.

Niknęła stopniowo przytłumiana wrzawa ludnego zamku, i po chwili głębokie owładło milczenie, przerywane tylko ponurym swistem wiatru jesiennego.

Nagle z łoskotem wypada okno komnaty. Zrywa się na łożnicy Wojewodzianka... Cóż za widok uderza jéj oczy! Zbrojny ostrém żelazem potwór odrażającéj dzikości wzrok szatańskiego wyrazu poił zachwycającym obrazem widzialnych przy blasku gorejącéj lampy wdzięków dziewicy w nocném zaniedbaniu. Zdawało się że głowa meduzy w głaz zamieniła nieszczęśliwą istotę. Klęcząc w martwéj nieruchomości ze złożonemi na piersiach rękami, nieczułem i osłupiałem wéjrzeniem suchéj zrzenicy, przebiegała rozognioną wyrazem sprośnéj lubieżności twarz szpetną dzikiego Satyra.

Długo zachwycony Murza niemógł wzroku widokiem tylu wdzięków nasycić; lucz nakoniec gwiznął zbliżywszy się do okna komnaty, i zaraz czterech Tatarów stanęło obok niego.

— To moja zdobycz, rzekł do nich ukazując Wojewodziankę; gardłem mi odpowiecie za jéj całość i bespieczeństwo. Potém trzykroć powtórzonem gwiźnieniem dał znak rabunku i rzeźi.

Zawyła horda dziczy, wdzierając się z wybuchem łoskotu i wrzawy przez wszystkie wnijścia i okna do zamku. Rozległy się jęki po labiryncie komnat, tu i ówdzie przerywane szczękiem zaciętéj walki. Murza wiedziony przez żyda wpada do komnaty Pretwica.... opuścił ją już od dawna; żadnych poszlak bliskiéj jego bytności.... cóż wyrazić zdoła wściekłość omylonéj słodyczy zemsty? Zgrzytając zębami, rwąc pęk włosów wierzchołek zgolonéj głowy pokrywający, dał rozkaz katuszy żyda, który wnet pod ciosami pala wbijanego kołém do wnętrzności ciała, ducha w męczarni wyzionął. Krew niewiast, starców, dzieci, pokonanych obrońców, wszystkie zalała komnaty, i sam tylko Wojewoda, otoczony orszakiem walecznych, przebojem na dziedziniec zamkowy został odprowadzony, gdzie dosiadłszy koni, zbrojna gromada oczekiwała końca okrutnéj sceny, aby z oddalającą się hordą zwieść ostatnią walkę rospaczy.

Wybuchnął na czterech rogach pożar staréj Ostrogskich dziedziny. Przy blasku szerokiéj łony, ruszyła do odwrotu horda zdobyczą obładowana. Nagle głos boleści wydziera się z piersi Wojewody. Całą strapionéj starości pociechę, jedyne już dziecie unosi dziki Tatarzyn. Zemdloną Wojewodziankę w orszaku Murzy na koniu utrzymują łupieżcy. Już niknie w oddaleniu horda.... ostatnią walkę zwodzi szczupły orszak nieszczęśliwego starca. Lecz odparty przemocą, wraca do opuszczonego Pana. Rychło plac spustoszenia i rzeźi, okrywa głuche trzaskiem tylko pożaru przerywane milczenie.

Tymczasem samotny, w smętnem pogrążony dumaniu, z opuszczonemi na szyję wiernego konia cuglami, wolnym krokiem jechał Starosta. Zdało się że go moc czarodziéjska więziła do miejsc opuszczonych. Co kilka kroków zatrzymywał rumaka, i cisnąc ręką zbolałe serce, zdawał się chcieć wzrokiem nad ciemnością nocy odnieść zwycięztwo, aby raz jeszcze ujrzeć schronienie ubóstwianego przedmiotu.

Znużony bezustanną walką uczuć serce przepełniających, zatrzymał się na koniec u drzwi gospody, i powierzywszy konia staraniom miejscowéj służby, usiadł pod wystawą domostwa, pragnąc z piérwszym blaskiem zorzy raz ostatni powitać i pożegnać utraconego szczęścia siedlisko.

Nic nieprzerywa długiéj i ponuréj samotności zadumanego.... Lecz cóż znaczy ta łona ognista stronę miéjsc opuszczonych niedawno rozjaśniająca?.... To pożar.... pożar w zamku winnickim.... tak jest; żadne inne w téj stronie domostwo, niemogłoby tak przestronnym jaśnieć obszarem płomieni. Piorunem dosiaduje rumaka, porze boki jego ostrogą, i lotem jaskułczym puszcza się ku miejscu nieszczęsnéj przygody. Już zmniéjszona w połowie odległość, utwierdza go w złowieszczym domyśle, gdy przy blasku ognistéj łony, postrzega gromadę zbrojnych jezdców, powolnym krokiem na przeciw siebie postępujących. Rychło poznaje Starosta Wojewodę, którego w odrętwiałéj nieczułości wierna służba rękami utrzymuje na koniu.

Pocisk gromu mężniéj wytrzymałby nasz rycerz, nad cios wydarzonych wypadków które mu służba

Wojewody opowiedziała. Długo w srogiém udręczeniu niemógł zebrać do szyku i związku myśli w nieładzie rozbiegłych. Lecz czyż w niewieściéj bezwładności ma swą rozpacz utopić? Piérwsza myśl przytomna, wróciła mu potrzebniéjszą jak kiedykolwiek dzielność męzkiego serca. Dwóm tylko wiernym hajdukom rozkazał zawsze odrętwiałego starca w bespieczne odprowadzić ustronie; cały zaś oddział z dwiestu koni dworskiéj służby Wojewody złożony, zawrócił wstecz i na czele jego pognał za śladami nieprzyjaciela.

Wiodąc tak szczupłą garstkę, niemógł nasz rycerz łudzić się nadzieją wydarcia łupu tyle przeważnemu nieprzyjacielowi; ale jednym rzutem myśli w przezornéem doświadczeniu objął całą trudność powziętych zamiarów; rozpoznał przeszkody i wszelkie skutku koleje; podobne i niepodobne rozważył następstwa; gruntownie przewidział zaradcze i zaczepne środki, i w krótkiéj chwili plan mądry działania stworzył w dójrzałéj myśli.

Główną jego podstawą był charakter nieprzyjaciela tak dobrze znany bohatérowi naszemu. Uchodzący ze zdobyczą Tatarzyn, stale unikać zwykł boju chociażby najłatwiéjsze w odwrócie mógł odnosić zwycięztwa. Miał więc Starosta sposobność ścigania go i utrzymywania w ciągłej trwodze, pewny iż niebędzie ze swéj przewagi korzystał, aż nim wzmocnione siły dozwolą zaczepne przeciw niemu rozpocząć działania. Tymczasem, rozwinięta przez najsłynniéjszego obrońcę kraju chorągiew pogoni unoszącego łup zrabowa-

néj prowincyi Tatara, przywołać musi ze wszystkich krańców Ukrainy rozpędzonych mieszkańców, i siły rycerstwa pomstę i oswobodzenie brańców mającego na celu pomnażać codziennie.

Najzupełniéjszy skutek myśl tę uwieńczył. W piérwszém wyruszeniu za unoszącym zdobycz zamkową Tatarem, wyprawił Starosta do wsi ludniéjszych i znanych dobrze kryiówek posłańców, aby wieścią o rozpoczętéj przez Pretwica pogoni, lud rozproszony do zjednoczenia się pod chorągiew tak sławnego bohatéra skłaniali, i już o wschodzie słońca widział potrojoną swą siłę nadbiegającém z miéjsc pobliskich zbrojném kozactwem. Wkrótce dognał nieprzyjaciela, a lubo był już w mocy i chęci stoczenia z nim walki, ten jednak niechciał stawić mu czoła, i party pogonią, z właściwą sobie rączością zdobycz do swych siedzib unosił.

Niebędziemy się rozwodzić nad koleją wypadków z jaką bohatér nasz ścigał aż do granic Chersonezu zawsze uciekającego nieprzyjaciela. Jak oderwana ze szczytów Alpejskich cząstka materyi przebiegiem przez zaspy wieczystych śniegów olbrzymią tworzy lawinę, tak szczupły hufiec Pretwica na groźny zamienił się zastęp, gdy połączony już z główną hordą oddział Safar-Alego stanął przy ujściu Boha do Dniepru, i przeprawę do rodzinnych koczowisk rozpoczął.

Kiedyż łatwiéjsza zręczność jak przy nieładzie przeprawy zadania ciosu nieprzyjaciołom?... lecz czyż sama tylko zemsta i chwała były zamiarem bohatera naszego?.... Przedewszystkiém zwykł łupy i brańce

przeprawiać Tatarzyn. Mimo odniesione zwycięztwo, najpierwszy cel życzeń i tylu trudów Starosty zostałby w murach Oczakowa ukryty, i po krótkiéj do nadkubańskich krajów morzem czarném żegludze, zginąłby na wieki w labiryncie pasma Kaukazu.

Zważył te wszystkie koleje przezorny umysł Pretwica, i wnet jedynego w tym razie uchwycił się środka. Zostawiwszy hufiec na placu dla naglenia trwogą przeprawy Tatarów, na dwie części podzielił swe siły; na czele jednéj wykonał przeprawę przez Boh, i przebywszy Dniepr zdala od nieprzyjaciół, w gotowości zabieżenia od Oczakowa czekał aż na nadrzecznéj równinie tabór swój rozprowadzi; gdy tymczasem druga część rozdwojonéj siły, w dole rzeki przeprawiona, w gotowości wspierania działań Starosty, sposobnéj do natarcia chwili oczekiwała.

Naglona z tyłu horda skwapliwie wpław koni przeprawiać się zaczęła przez rzekę. Już powiązani brańcy i ładowne zdobyczą hachmaty obszerny rozwiodły tabor, i otoczyły go hufce zbrojnych Tatarów, łącząc się z zalegającą równinę hordą miejscową która z licznym kobiet, dzieci i jeńców orszakiem powrotu zwycięzców nad brzegiem rzeki oczekiwała, a jeszcze rycerstwo nasze żadnego kroku nieuczyniło. W gotującéj się walce nic ujść niepowinno mściwéj zwycięzców dłoni. Nakoniec ostatnie stanęły na równinie szeregi, i połączone hordy powolnym krokiem ku Oczakowowi ruszyły.

Z dwóch stron wzniósł się tuman kurzawy, i dwa

gromy niespodziewane silném natarciem zgiełk i popłoch w całym rozszerzyły taborze.

Krótka walka wnet na bezbronną w powszechnym nieładzie rzeź zamienioną została. Kobiety i dzieci zarówno z uzbrojonemi padały pod razami zwycięzców. Jęk, wrzawa, krwi potoki okropną znamionowały scenę. Srogość podżeganéj klęskami tylu wieków nienawiści mieszkańców Podola żadnéj miary i granic nieznała.

Jak tylko rzeź bez oporu bój zastąpiła, zaraz Pretwic opuścił naczelne stanowisko, i w tłumie odbitych jeńców szukał jedynego wszystkich życzeń przedmiotu. Próżne usiłowania!.... nawet nikt z brańców oswobodzonych poszlak poszukiwanéj nie był w stanie ukazać. W srogiem udręczeniu już tylko śmierci szuka nasz rycerz. Lecz gdzież ją znajdzie, gdy bitwa na plac katowni zdawna zamienioną została? W tém postrzega jak uzbrojony jeszcze oddział Tatarów, walkę rospaczy zwodził z przemagającą siłą. Rzuca się w tę stronę; na widok wodza wzmaga się męztwo walczących. Rychło padają pod razami Tatary.... gdy śród zgiełku potyczki, postrzega Starosta jak zbroją okryty Tatarzyn na rzeskim bachmacie pędzi ku Oczakowowi, utrzymując przed sobą brankę o przód siodła opartą. Nowa w sercu odżyła nadzieja. Puszcza się pędem strzały, lecz czy na znużonym tylu trudami rumaku, doścignie znacznie oddalonego już wroga; czy nakoniec pokona doścignionego, bo mu towarzyszy Tatar niezwykłéj w rodzie

Nogajców postawy i wzrostu, lubo żadnego w ręku jego niema oręża.

Sił ostatnich dobywa wierne zwierze aż do krwi podżegane ostrogą, i już tylko parę stai dzieli go od uciekających; w tém pada tak rzeźwy niegdyś dzianet, i w niezwykłem wysileniu ducha, na ziemi oddaje.

Złorzecząc nieszczęsnéj doli szarpie włosy z rospaczą zawiedziony w saméj chwili spełnienia swych życzeń nasz rycerz; gdy nagle niespodziewany widok wzrok jego uderza. Rosły Tatarzyn wyprzedza towarzysza brankę unoszącego, i pada z koniem przed jego bachmata, który niespodziewaną splątany zawadą, wywraca się pośród drogi. Rwie się wściekły Tatar na bezbronnego, i odpieraną tylko mocą ramienia wszczyna z nim walkę; lecz w tejże chwili uczuł we wnętrznościach ostrze sztyletu Starosty, i z przeciągłym jękiem martwy upadł na ziemię.

Z drżącem sercem nadzieją, brankę podnosi Pretwic. Ach! cóż zrówna roskoszy téj błogiéj chwili! Była to Wojewodzianka!... Lecz usta jego oniemiały na widok Tatara który zbawczą podał mu rękę. Jakiéż go unosi wspomnienie!.... Tak, w rzeczy saméj.... lecz czy podobna!...

— Czyliż cierpienia barbarzyńskiéj niewoli i ta obmierzła odzież, przerwie mniemany Tatarzyn rodzinną mową Pretwica, tak zmieniły mą powierzchowność, że niepoznaje Starosta towarzysza trudów i niebezpieczeństw Pokuckiéj wyprawy.

Z okrzykiem podziwienia i radości poznany został brat i przyjaciel, a uścisk potrójny oznaczył szczęsną

chwilę wyzwolenia obojga dzieci strapionego Wojewody.

Mamyż wystawić nieporównany obraz radości starca, gdy zwycięzki Starosta do strapionego serca dwoje tak gorąco opłakanych przywiódł mu dzieci? Nie, zamilczmy, bo tyle uszczęśliwienia, żaden nieodda koloryt, i w nieudolności naszéj zostawmy pojęcie téj błokiéj chwili płodniejszéj nad moc wysłowienia naszego wyobraźni czytelnika.

Winniśmy tylko uprzedzić, że wdzięczny Wojewoda, najdroższym darem ręki swéj lubéj córki, w poczet potomstwa policzył Starostę, i zrzekłszy się na długi jeszcze swój żywot trudów publicznego zawodu, z niemi razem zamieszkał w spokoju.

ZEGARY.

SONET.

Ludzie—istne zegary. Rozmaicie chodzą.
Są co pilnują drogi od mistrza osnutéj,
W porę biją godziny i znaczą minuty,
I oblicze swe z dźwiękiem harmonijnie godzą.
Są znowu co postępem leniwym zawodzą,
Mierzą czas jak żyd łokciem swój towar nadpsuty,
I znów takie co mają przyśpieszone rzuty,
I niedoźrzałą przyszłość w obecności rodzą.
Lecz ze wszystkich najgorsze są takie zegary,
Co inaczéj wskazują a biją inaczéj.
Człowiek ścisłość lubiący, głowę sobie łamie;
Radby słuchając dźwięków skłonić się do wiary,
To znowu na cyferblat patrzy i w rozpaczy,
Niewie, czy młotek zwodzi, czy skazówka kłamie.

Józef Paszkowski.

KOZAK UKRAINIEC

Miesiąc lice schował w chmarze,
A burza świszcze po jarach,
Pierzchły widma na smętarze,
Mary kryją się w czaharach.

Darmo nawet łabądź biały,
Spoczynku szuka u brzega,
Darmo! darmo, i Dniepr cały,
Straszny wojny głos obiega.

Ale nasz kozak nie tchurz,
Spójrzał w koło szablą wtrząsł,
Dopadł czajki, musnął wąs,
I posunął Dnieprem wzdłusz.

Nie na blizki on brzeg skoczy,
Z jego wiosła piana ciecze,
Już ten pewno nieuciecze,
Kogo ten nasz ptak zaoczy.

Dalekie morza, krainy
Słyszą odgłos hura-ha!
Kiedy dzielne stepów syny,
Wpadną na karki wraha.

Kiedy czasem ztrudził nogi,
To z niedźwiedziem w śniegu spał,
Lecz na każdy odgłos trwogi,
Kozak gotów w szyku stał.

A ataman skoro świśnie,
Kozak rąbie, kole, siecze;
A jak konia w nogach ściśnie,
To nawet wiatr nieuciecze.

Aż serce skacze z roskoszy,
Kiedy kozak wroga płoszy,
A jak kozak pieśń zapieje,
Echem niebo się odśmieje.

Och radbym się z nim sprobował,
Jeśli dysze taki smyk,
Coby jak wilk nieczwałował,
Przed ostrzami naszych pik.

My nielubim długo żyć,
Szabli, siwy wąs niebrat
Kozak poszedł wroga bić,
Kula w piersi, upadł chwat.

My z przyrodą żyjem w zgodzie,
Nam step łoże, niebo strop,
Koń przyboku na odwodzie,
Na janczarce wąsów snop.

Och szczęśliwy kto się zrodzi
W stepach naszej ukrainy,
Najszczęśliwszy komu schodzi,
Obok naszéj wiek dziewczyny.

Unas to, u nas dziewice,
Czoło zdobi długi włos,
Oczy siwe, hoże lice,
I rusałki dźwięczny głos.

Komuż znana rozkosz taka
Jakie chwile kozak miewa,
Gdy luba żegna kozaka
I na drogę mu zaśpiewa.

Błogo temu kto się zrodzi,
W stepach naszéj ukrainy,
Błogo temu, komu schodzi,
Obok naszéj wiek dziewczyny.

BRANSOLETKA.

POWIEŚĆ.

I.

„Świat i życie przynoszą naukę dla niewielu. Często powtarzamy o zaletach doświadczenia, ale rzadko kto z niego korzystać umié."

Tę myśl pospolitą, wysłowił nader powabnie młody filozof przy śniadaniu, w liczném towarzystwie u Marego w hotelu Angielskim.

— »Twoje uwagi do mnież się stosują?" zapytał jeden z współbiesiadników, wychylając szklankę szampańskiego wina.

— »Bez wątpienia," odpowiedział filozof, »albowiem w latach czterdziestu i wstąpiwszy do stanu małżeńskiego, nie jesteś dziś mędrszym jakieś był w roku 1818 kiedyś kończył uniwersytet."

Pan Leopold D..... zasługiwał na podobną wymówkę. Nikt bowiem nie nadużył bardziéj jak on, swéj młodości i swojéj fortuny. Liczono go dawniéj do bardzo zamożnéj młodzieży, a jego dowcip nieraz był przedmiotem pochwał mieszkańców stolicy. Po długich latach nieporządnego życia, pełnego swawolnych i niszczących zdrowie wydatków, Leopold przywołany został do rozsądku, przez ból reumatyczny w nogach i list swego plenipotenta.

Cierpienia były dokuczliwe, a list naglący. Plenipotent donosił że kredytorowie przez znaczny czas niezaspakajani, zajęli najpiękniejsze jego dobra za granicą, i takowe na satysfakcyą długów sprzedali. Leopold przeto opuścił nagle stolicę i jéj uciechy, a przybywszy w swe strony, smutnego tylko nabrał przekonania, że z bardzo szczupłych pozostałych mu dochodów, ciężko żyć będzie w Warszawie.

»Teraz kiedy nie jestem już bogaty, ani młody, — rzekł sam do siebie, — trzeba korzystać z pozostałych mi resztek i — ożenić się!"

Temi przejęty myślami powrócił do Warszawy i tłómacząc się niezdrowiem, usunął się od dawnych towarzyszy zabaw i rozpusty, dążąc ciągle do ustalenia i poprawienia bytu swojego przez małżeństwo.

Jakoż nie długo szukał: wynalazł małą, śliczną osóbkę, dosyć posażną i wkrótce się z nią ożenił,

mocne uczyniwszy postanowienie, iż będzie wzorem mężów.

Czuł bowiem potrzebę wypoczynku, i uważał się za szczęśliwego, iż mógł pędzić życie spokojne i umiarkowane, na łonie niewinnéj i szlachetnéj pomyślności. Wkrótce po ożenieniu się otrzymał spadek, który znacznie podniósł jego majątek. Mając ładną żonę i trzydzieści tysięcy złotych rocznego dochodu, mógłby być najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, i w rzeczy saméj był nim — przez dwa lata!

Dwa lata związku małżeńskiego, pówróciły mu zdrowie i siły, a z niemi ożyły i dawne skłonności. Małżeństwo często wywiera ten skutek na niektóre charaktery. Leopold D.... powracać zaczął do kawalerskich nałogów, lecz z ostrożnością i tajemnicą, które powiększały ich powab.

W tym dniu kiedyśmy rozpoczęli naszą powieść, otwarcie już zajadał śniadanie z pół tuzinem dawnych i nowych towarzyszów zabaw. Uczta skończyła się. Leopold dobył zegarka i rzekł: »Druga godzina, próba baletu jeszcze trwać musi, pójdę zobaczyć pannę N....."

—»Jakto! widujecie się z sobą, doprawdy? a więc tak nawet jesteście już zbliżeni?"

—»Tak, nibyto....."

—»A gdyby też twoja żona o tém się dowiedziała?"

—»Niedowié się. Przy staraniu i roztropności, zawsze skryć można przed żoną swe figle."

—»Nie zastanawiasz się nad tém, że swojém postępowaniem, dajesz prawo żonie użycia odwetu.

Cóżbyś powiedział, gdyby ci się co podobnego przytrafiło?"

—»Zgoła się tego nie obawiam."

—»A jednak jesteś w położeniu bardzo do tego wypadku bliskiem; masz wszystko czego ku temu potrzeba, nic ci nie brakuje, nawet młodego kuzyna."

—»Leon! Spokojny jestem z téj strony. Więcéj się go lękam gdzie indziéj."

Na tém się zakończyło. Biesiadnicy byli już na ulicy i tam się rozłączyli.

II.

—»Mój Boże! jakże to wiele pięknych jest rzeczy tego roku na kolędę." mówiła pani D.... która w ówczas właśnie gdy mąż jéj wstawał od biesiady, powróciła do domu, przepędziwszy cały ranek na obieganiu magazynów, a teraz zbierała myślą wspomnienia ze swojéj przechadzki.

» Co za przepyszne meble, co za śliczne kosztowności, przecudowne ubiory! Gdyby mi dano do wyboru, cóżbym wzięła z tych wszystkich przedmiotów które widziałam? W saméj rzeczy byłabym bardzo zaambarassowaną. Jakże są szczęśliwe kobiety, które dostają dużo prezentów w dzień Nowego Roku! Nie jestem z liczby tych! Mój mąż sam tylko daje mi kolędę, i od lat cztérech jakeśmy się po-

brali, jego prezenta każdorocznie mniejszéj są wartości. Jeżeli daléj podobnie będzie postępował, mało co dostanę przyszłego piérwszego Stycznia."

Już ten krótki monolog żony, dostatecznym jest ocenieniem Pana D.... jako męża. Zmniejszanie się stopniowe wartości podarunków, dobitnym jest zarysem charakteru i złéj taktyki. Człowiek rozumny i znający świat, poszedłby drogą zupełnie przeciwną. A jednakże pan Leopold D..... uważał się za bardzo przebiegłego w podobnego rodzaju rzeczach; wielkie miał zaufanie w swoich talentach pod względem dyplomacyi małżeńskiéj. W téj zaś okoliczności jego zarozumiałość, przechodziła wszelkie granice. Mawiał nieraz ze szlachetną dumą:

— »My starzy wyjadacze, nie jesteśmy z liczby tych których oszukują, ani tych którzy się oszukają sami. Wiemy dobrze jak pozyskać kobiety, jak je prowadzić i jak pilnować. Znamy dobrze chytre podstępy, i dosyć przysługiwaliśmy się drugim, iżbyśmy nie nauczyli się użyć tego na własną korzyść. Co do mnie, jestem spokojny. Mądry będzie kto mię złapie."

Człowiek który tak mówi, już jest w połowie złapany.

Mimo to wszakże, nie można było nic dotąd powiedzieć o prowadzeniu się pani D.... Baczne atoli oko, dostrzegłoby że upadek niezbyt jest daleki. Pani D.... miała lat 25, a jéj mąż 40. Za mężem od lat czterech, była już zaniedbaną od dwóch, lecz nie kochała tyle męża ażeby to spostrzegła i zmartwiła się. Żywa, rozstrzepana, płocha, nie myślała

nawet być zazdrośną. Zdawało się jéj bardzo naturalném, że jéj obojętność była podzielaną; gdyby jednak wiedziała o całém postępowaniu swego męża, byłaby nieubłaganą w gniewie i zemście. Wiele kobiet mają serce i umysł podobnie ukształcone.

Pani D.... myślała jeszcze o szczęśliwych kobietach, które dostają dużo prezentów, kiedy weszła jéj służąca i oddała list z małą skrzyneczką.

W domu w którym mieszkała Pani D.... zajmował lokal hrabia L.... człowiek bardzo bogaty. Hrabia był z małéj liczby tych ludzi uprzywilejowanych, którzy mają tyle pieniędzy ile chcą. Nie był ani młody, ani przystojny, ani czuły, ani przyjemny, lecz zdawał się wynagradzać wszystkie te niedostatki, wielką hojnością. Szukał zwycięztw po salonach, a grzeczność wytworna głównym była jego orężem.

Od lat dwóch hrabia L.... mieszkając w jednym domu z państwem D.... okazywał dla niéj saméj największą uwagę, ona zaś przyjmowała jego grzeczności, niechciała bowiem nikogo martwić. Najokropniejszą jest kokieteria kobiéty, która niema sobie nic do wyrzucenia.

Z resztą hrabia posiadał dosyć przymiotów, dla pochlebienia miłości własnéj osoby najtrudniéjszéj w wyborze, dawał bowiem uczty na których się królowało. Hrabia L.... był więc w milczący sposób upoważniony do okazywania się uprzéjmym. Pani D.... w stosunkach z nim okazywała dużo surowości i przebiegłości, pod każdym względem prowadziła się tak, jak gdyby zgoła niepostrzegała piérwszeństwa dawanego jéj przez

hrabiego; ale hrabia był z tych ludzi, którzy się niełatwo dają odstręczać, i którzy najwspaniałomyślniéj sami sobie tworzą najświetniejsze nadzieje. Pewnym prawie będąc zwycięztwa, pod wpływem tych słodkich myśli, napisał list następujący:

PANI!

Nagły interess zmusza mię do opuszczenia natychmiast Warszawy, być może iż nie tak prędko tu wrócę. Nie mam nawet tyle wolnego czasu, ażebym mógł przyjść panią pożegnać; przynajmniéj nie odjadę bez przesłania Pani, bagatelki, którą zamierzyłem ofiarować jéj w dniu Nowego Roku. Pozwól więc Pani korzystać z wolności jaką zwyczaj kolędy mi daje, i racz przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku.

Hrabia L.....

Warszawa
d. 25 Grudnia 1839 r.

Pani D.... otworzyła skrzyneczkę i znalazła parę prześlicznych brylantowych kolczyków.

Nie mogła naprzód zdążyć nasycić się podziwieniem tych dwóch kosztownych kamieni, rzucających blask przepyszny.

»Otóż to rzekła nakoniec, oto co hrabia nazywa bagatelką? Zuchwały! wyobraża sobie że mu dałam prawo do czynienia mi tak kosztownych podarunków! lecz potrafię zniszczyć w nim tę niesłuszną opinię.

Nauczę go kim jestem, odsyłając mu te brylanty... Trzeba jednak przyznać że są przecudowne! Im więcéj się im przypatruję, tym więcéj jestem zachwyconą?. Odesłać je.... tak.... potrzeba. My kobiéty, czyniemy nieraz takie poświęcenia, o których nikt się nie dowie, i z których nic nam nie pozostanie, nawet honoru, żeśmy je uczyniły. Nikt wiedzieć nie będzie żem odesłała brylanty.... Co za blask.... co za wielkość! Gdybym miała znaczny majątek, w tém byłby mój cały zbytek. Jest nie jeden rodzaj elegancyi, w któréj większa część kobiet może naśladować, lecz to jest przepych któremu wyrównać trudno. Być może, iż zaledwo znalazłoby się kilka kobiet w Warszawie któreby posiadały podobne tym brylanty. Z moich znajomych bezwątpienia nie masz ani jednéj.... Z resztą hrabia, czyliż jest człowiekiem tyle niebezpiecznym? Nie, doprawdy, ja go zawsze traktowałam tak lekko. To jest człowiek takiego rodzaju z którym kobiéta rozsądna nie będzie się mogła skompromitować, mimo swéj woli. Z małą zręcznością, mogę zachować te brylanty nieobowiązując się do niczego. Dla czegóż nie?..... To będzie zabawne!"

Leopold nadszedł w téj chwili. Pani D.... spiesznie schowała list i kolczyki.

Mąż przepędziwszy wesoło cały dzień, znajdował się w wyśmienitym humorze: rzekł do swojéj żony.

—»Obstalowałem dla ciebie kolędę, moja droga, ale nie chcę powiedzieć co to będzie, ażeby ci zostawić przyjemność niespodzianki.»

—»Niewątpliwie pomyślała Pani D.... nie są to brylanty podobne do tych, którem zamknęła w mojéj sekretarce.»

Nazajutrz Pani D.... zdecydowała się zupełnie; wyszła więc bardzo rano do jednego z Jubilerów na Krakowskim przedmieściu, u którego już nieraz z mężem kupowała drobne bagatelki: zamiarem jéj było dowiedzieć się jaka jest wartość brylantów.

—»Pani, rzekł jubiler; nie często widywałem tak piękne kamienie, niemogę nawet z pewnością im ceny naznaczyć, zawsze atoli kosztują one przeszło parę tysięcy złotych.»

Gdy zaś Pani D.... zabierała się do wyjścia:

—»Pozwól Pani, rzekł jubiler, może popełnię niedorzeczność, ale życzyłbym wiedzieć, jak się jéj podoba ta bransoletka?"

—»Niema żadnéj potrzeby," odpowiedziała Pani D.... tonem niedbałym.

—»Nieraczyłabyś Pani przymierzyć?...

—»Z chęcią, ale na cóż się to przyda?..

—»Cudownie, miara którą mi dano była sprawiedliwą.»

—»Co przez to chcesz Pan rozumieć?»

—»Że ta bransoletka, obstalowaną jest u mnie przez Pana D.... dla Pani bezwątpienia.»

—»Wczoraj?»

—»Tak, Pani.... dziś już prawie jest na ukończeniu. Niepozostaje jak tylko zamieścić dwa kamienie, dla wyobrażenia oczu węża.»

—»Otóż to jest kolenda, o któréj mi wczoraj mąż wspominał!» Postanowiwszy zatrzymać brylanty hrabiego, Pani D.... jedną tylko miała niespokojność, jak wytłómaczyć przed mężem posiadania takiéj kosztowności?.... w tem szczęśliwa myśl przychodzi jéj do głowy, mało ją zajmuje, czy te brylanty będą w kolczykach, czy w czém inném. Rzekła więc do jubilera:

—»Wiele kosztuje ta bransoletka?"

—»Sześćset złotych; jest to cena umówiona przez męża Pani."

—»Jakież chcesz pan tam umieścić kamienie?"

—»Dwa szmaragdy, węże mają oczy zielone."

—»Zielone, czy białe, to wszystko jedno, aby tylko błyszczały. Gdybyś umieścił moje dwa brylanty?"

—»To byłoby do zachwycenia? Będą to oczy, jakie bezwątpienia mieć musiał wąż, który skusił naszą matkę Ewę."

—»Więc dobrze, zamieść je; lecz niech to będzie tajemnicą pomiędzy mną i panem!"

—»A mąż Pani? gdyż niepodobna aby niedostrzegł, że dwa podobne brylanty, nie mogą się mieścić w bransoletce za sześćset złotych."

—»Pan D.... niezna się zgoła na kamieniach, gdyby się zapytał, powiesz mu Pan, że te brylanty które czynią tyle efektu, mają tajemne wady a na których tylko prawdziwi znawcy mogą się poznać, ktore zresztą nie odejmują im właściwéj ceny w handlu. Pozwól mi Pan tę rzecz w podobny sposób przedstawić, mam moje do tego powody."

Wszystko więc stało się podług jéj życzeń.

III.

Pani D.... z niecierpliwością wyglądała 31 Grudnia, ażeby już posiadać mogła swoje piękne brylanty. Wielki ten dzień nadszedł. Leopold powinszował żonie Nowego Roku i na kolędę ofiarował prześliczny zarękawek sobolowy.

Pani D..... straciła przytomność, blada i drżąca doświadczyła wzruszenia niepodobnego do pojęcia; korzystając z piérwszéj wolnéj chwili, udała się co najśpieszniéj do jubilera.

—»A moja bransoletka," zapytała.

—»Doręczyłem ją wczoraj mężowi Pani."

Wieczorem dnia tego, było jak zwykle zebranie familijne u jednéj z najstarszych ciotek Pani D...., matki tego młodego kuzyna Leona, o którym wspomniano przy śniadaniu u Marego.

—»Jakże Pani dziś smutna i zakłopotana, moja śliczna kuzynko," rzekł Leon przybliżając się do Pani D.....

Przemowa ta poprzedzona była przez kilka czułych frazesów, gdyż Leon kochał się w swojéj kuzynce.

—»Zgaduję powód twojego smutku" dodał ze złośliwym zamiarem.

—»Wątpię," odpowiedziała pani D.....

—»Być może iż pani odkryłaś jaką tajemnicę, która zakłóciła pokój twojego serca? Możeś się dowiedziała że Leopold.....

—»Cóż takiego.... dokończ....

—»Nie, ja nic niemam do powiedzenia!"

—»Leonie! błagam cię!"

—»Zresztą, dla czegożbyś jedna tylko miała niewiedziéć o tém, o czém już wié cała Warszawa!... On wswoim wieku... oszukiwać najgodniejszą uwielbienia kobiétę!....

—»Mój mąż mnie oszukuje!"

—»Najokrótniéj! i dla kogo? dla jednéj tancerki teatru!"

—»To jest potwarz!"

—»Aż nadto tego jestem pewny, ja co... chcesz pani dowodu! Oto wczoraj dał jéj na kolędę prześliczną bransoletkę, o któréj piękności, dziś już wszyscy mówią."

—»Bransoletkę powiadasz?"

—»Tak jest... przecudowną!"

—»Wąż, z dwoma oczyma brylantowemi?"

—»A, to pani wiesz o tém?"

—»Leonie! czy znasz tę tancerkę?"

—»Tak, bardzo mało,.. przypadkiem...."

Tu nastąpiło milczenie. Twarz pani D..... przybrała szczególniejszy wyraz, gdy nagle obracając się do Leona, rzekła z cicha.

—»Kochasz mnie Leonie?....

—»Czy cię kocham... o Boże.... Chciéj przekonać się o tém.

—»Więc dobrze, przynieś mi jutro rano tę bransoletkę."

—»Będziesz ją miała."

Ta rozmowa ciągnęła się daléj nazajutrz po południu.

—»Jakimże sposobem dostałeś tę bransoletkę?" pytała pani D.... swojego kuzyna.

—»Nic bardziéj naturalnego.... Poszedłem do tancerki i wziąłem ją."

»Jak to, potajemnie?"

—»Ona wiedziała otrzymując ją, iż kosztuje sześćset złotych, zostawiłem więc sześć papierków stuzłotowych na toalecie."

Ależ to Leopold szczególniejszą miał minę, spostrzegłszy bransoletkę na ręku żony.

—»Niechwalisz że téj kosztowności? zapytała go,— Jest to upominek mego kuzyna Leona."

Było więc jasno że Leon posiadał względy w obu miejscach, a Leopold czyniąc to boleśne odkrycie, uważał się za tym nieszczęśliwszego, iż do użalania się nawet niemiał żadnego prawa.

Karol Korwell.

KUKUŁKI.

Z PIEŚNI LUDU.

Wydarłszy z burzy skrzydła zmoczone,
Padł siwy sokół na skały zielone,
Odetchnął z trudu zerwał się znowu,
Usiadł na sosnie patrzeć połowu.

Oj wiele ścierwa, będzie wieczerza,
Koń leży, przy nim ciało rycerza,
A bachmat dyszy, nozdrza nadyma,
Z krwawéj murawy już się nie ima,

Bo strzał dwadzieścia skuło do ziemi,
Oj kto pożali, zapłacze nad niemi.

Dwie, trzy kukułki nadlecą razem,
I lecą razem, i płaczą razem:
Po koniec głowy jedna upadła,
Przy nogach druga kukułka siadła,
Trzecia na sercu kukułka siadła.

Co przy głowie siedzi jedna,
Jest to stara matka biédna:
Co przy nogach druga siadła,
Jest to siostra we łzach zbladła,
Co na sercu zasiadywa,
To kochanka czarnobréwa.

Krwawa tam rzeka, gdzie matki lica,
Gdzie siostra płacze krwawa krynica,
Po suchéj trawie wiater powiéwa
Kędy płacze czarnobréwa.

Bo matka płacze rok rocznie,
Lice od łez nieodpocznie.
Siostra brata niezapomni;
Zawsze płacze gdy go wspomni.
A miła? Jéj myśl gdzie indziéj ulata,
Bo czeka z radością na nowego swata.

PALMA ABDERAMA. (*)

W cudzą stronę, na cudzą przeniesiona ziemię
Rośniesz droga puścizno przyjaźniéjszych losów,
I tak żałobnie schylasz kędziory twych włosów,
Jak młoda niewolnica w kalifów haremie.

Liść twój zielony—z kądże ta powłoka kiru?
Z kąd te szemrzące z wiatrem twych gałązek treny?
Wszak tak rzeźwiąco wieje wiatr z Sierra-Moreny,
Tak ożywczą jest rosa z wód Gwadalkwiwiru?

(1) Abderam ostatni z pokolenia Ommiadów, panujących w Bagdadzie, uciekając przed nieprzyjazném plemieniem Abbasydów, schronił się do Hiszpanii, i tam utworzył nowy kalifat Korduby.–Jest podanie, iż zasadziwszy przed swym pałacem palmę, często pod nią przesiadywał i marzył o swym rodzinnym Damaszku, z którego ją był sprowadził.

Palmo, ja cię rozumiem! W cudnym dolin kraju,
Kwitła mała latorośl wśrzód siostrzyc igraszek—
Jam ją zerwał—o przebacz! Rajem był Damaszek;
Biedna! i pocóż było wyrywać cię z raju!

W chwili kiedym uciekał przed mieczem Abbasòw,
Unosząc żywot, ciebie uniosłem z żywotem;
Nasz więc byt jest złączony nieprzerwanym splotem,
Bośmy oboje dziećmi drogich miejsc i czasów.

Sułtanko moich marzeń! Liść u twoich rózek,
Milszą dla mnie ma barwę od złota i srebra,;
Kraśniejszaś od granatów, piękności znad Ebra,
Od dziewic Algarbii, mlecznych Andaluzek.

Kiedy czasem wiatr wschodni w twych zwojach zaszumi,
Zda mi się, że wrócony do mych niw obszaru,
Słyszę znów Orjentalki, słodki dźwięk Szezdaru (1)
Tak znany, ach i który dusza tak rozumié.

Zdaje mi się że słyszę echo wód Barady (2)
Zawodzące piesń raju przez kwietną równinę:
Giaurze! roztrzaskaj wtedy twoją mandolinę,
Ta jedna nuta gasi twe wszystkie ballady.

Nie Abdallo! twa przemoc zostanie daremną,
Kalif Korduby teraz dostoi ci kroku,
Urągam ci Abdallo!—póki przy mym boku
Miecż Omara, a palma Damaszku przedemną.

(1) Szezdar, instrument muzułmański.
(2) Rzeka pod Damaszkiem.

Nigdy żal mój nie przyjdzie żebrać przed twym żłobem,
Nigdy łza ma nie będzie twoją niewolnicą:
Boleść moja zostanie światu tajemnicą,
Ty tylko palmo będziesz świadkiem jéj i grobem.

Łzy me płyną w milczeniu — ty pijesz ich zdroje,
Bo gdy wsiąkają w ziemię cichemi potoki,
Ty korzonkami wciągasz ich rodzajne soki;
Z moich więc łez powstały śliczne kształty twoje.

Gdy mię Allah powoła do rozkoszy sadów,
I tam poniosę ciebie, zasadzę w Dżennatach (1)
Byś mi i tam mówiła o ubiegłych latach,
I krzepiła wspomnieniem kraje Ommiadów.

Józef Paszkowski.

(1) Ogrody rajskie, które prorok swym wiernym obiecał.

SPOMNIENIA Z WĘDRÓWKI PO KRAJU.

DĄBROWA.

.... Od Kromołowa gdzie bystra Warta (*) s pod Kapliczki Ś. Jana Nepomucena bierze swój początek, udałem się ku granicy Szląskiéj, dla zwiedzenia w Dąbrowie najznakomitszych i najpiękniéjszych zakładów górnictwa naszego.

(*) Zwykle tak w starych jak nowych Jeografiach piszą. *Warta poczyna się niedaleko Kromołowa.* Jednak główne jéj źródło wypływa w samym Kromołowie, ozdobione posągiem i Kapliczką, Ś. Jana. Strumień ten mający już nazwisko Warki dopiero za miastem powiększa się kilkunastu innémi zródełkami.

Długie tu są i dobrze zabudowane sioła, na które po sto domów i więcéj liczą. Chaty oddzielone od drogi chruścianemi płotami z za których ładne drzewa owocowe gałęzie zwieszają; za wsiami ponętne górzyste okolice zajmują rozległe majowe pastwiska, i łany dojrzałéj karmazynowéj tatarki, śród któréj długie wieśniacze zagony złotego rzyska, oprawne niby w ramy dalekich ciemnych świerkowych lasów, tworzą z widoków tych jakby iaskrawemi kolorami szyte starodawne szpalerowe kobierce. I lud tak wesoły otwarty i śpiewny, jak kraj w którém żyje. Z nasuniętą czerwoną czapeczką na bakier ozdobną pawiem piórkiem wieśniak jeden stojąc na wozie oparty o drabinę, śpiewając ochoczo, jedną léjcą trzy konie niedbale popędzał z góry—nad wąwązem zawraca niebezpieczną dróżką, leci jakby tańczył z swym wozem i końmi rodowy taniec.

—»Niech będzie pochwalony Jezus, powitał mnie zbliżając się.

Na wieki wieków odrzekłem. A jak się zwie przyjacielu ta długa wieś na dole.

—»*Sztuczna Baba:* a dokąd to tak idzieta?

—»*Do Dąbrowy*, daleko jeszcze?

—»E, Niedaleko—będzie mila tak *prawie* (*) ale

(*) Ten dodatek *prawie* ma u Krakowiaków często zdradliwe znaczenie i trzeba się z niém mieć na baczności. Wysoka tam góra? Nie niewysoka, tak *prawie*. To już pewno hamulce zakładać i wysiąść z wozu trzeba, bo będzie spadzisto jak z muru. Milę *prawie* nieraz jedzie się 3 godziny—Doslownie znaczy to w samą miarę.

siadajcie jeno na wóz, i ja tam jadę to pojedziecie ten kęs drogi, a dziś jeszcze możecie stanąć w Dąbrowie.

—»Bóg zapłać bracie! Dziwacznie się też wasza wieś wabi, nie wiecie kto ją tak przezwał?

—»O stare to imionisko, a ja powiem co u nas o tém gwarzą: mówią iż spierali się raz Krakowianie ze Sławkowianami które z ich miast starsze. Krakowianie przysłali do Sławkowa o radę że im się w soli robaki zalęgły, coby na to poradzić. Sławkowianie zafrasowali się bardzo, gdy przyszła babina co w téj wsi miała chałupę i tak im naraiła: powiedzcie niech zaczerpną wody z Wisły przetakiem, i rozwieszą na płocie, a jak uschnie niech przesypią sól, to pewno robaki wyginą. Krakowianie się zawstydzili po téj odpowiedzi, a naszą wieś, skąd ta babka, przezwali *Sztuczna Baba* (*) i dla tego to mówią u nas *Starszy Sławków od Krakowa.*

W czasie pociesznéj téj gawędy, dojechaliśmy do mostu, pod którém w poprzek przejeżdza się drogę kolei żelaznéj, a pożegnawszy rozmownego Krakowiaka już o zmroku udałem się do Dąbrowy.

Gdyby nawet nie szeroka czarna droga, okruchamy żużli i węgli zasypana wiodąca do fabryk, to czerwona łuna jak od ogromnego pożaru, byłaby przewodnikiem. Mało jest tak ciekawych widoków jak zakłady Dąbrowy i Będzina wieczorem. Dopiero spuszczając się się z góry raptownie spostrzedz można huty i kopalnie. Nagle uderza fantastyczne i dziwne pa-

(*) Na mappach znaczą tę wieś pospolicie Tuczna-Baba.

norama. Setne, różnych kolorów płomienie chwiejąc się w powietrzu, wznoszą ogniste języki, i sieją niekiedy kłębami brylantowych iskier, a gdzie niegdzie odbite w wodach *Przemszy* jeszcze nie zrozumialszym uderzają pozorem. Przy swietle ich oswojone oko, rozpoznaje czarne przepaści kopalni, i rzędy długie białych domków, a daléj wysokie kominy machin parowych i pudlingarni, jak ciemne obeliski wznoszą się wspaniale, za tło służą zielone łany które ostatni blask tego ogromnego ogniska prawdziwéj siedziby nowoczesnych wulkanów zaledwo oświeca.

W miarę przybliżenia się cały ogół się ożywia, młoty z dźwiękiem i łoskotem biją o kowadła; machiny parowe z taktowym stukiem odzywają się; huczy ogień pod gwałtownym dęciem miechów; a po długich kolejach żelaznych, cicho jak cienie przesuwają się wózki ciężko ładowane. Odgłos dzwonu znaczy rozpoczęcie i zmianę pracy, która w hutach dzień i noc nie ustaje, a tłumy robotników zaludniających te osady roją się po drogach; bo Będzin i Dąbrowę zaludniają teraz kilka tysięcy ludzi.

Trzeba jednak przyznać że dzienne światło wielką część poezyi tego miejsca niszczy. Wszystkie ogniska które w nocy tak pięknie kolorowo oświecały tajemnicze okolice, w dzień buchają tylko gęstemi bałwanami czarnego dymu. Ziemia pokryta jest pyłem węglowym, który najlżejszy wiatr unosi tak, iż przenikają do najszczelniéj zawartych pokojów, do koła rzadkie kawałki zieloności szpecą kupy popiołów i żużli. Wreście zamiast podziwienia żywości i ener-

gii ludności hutniczéj i górników, trzeba się litować nieraz widząc ich z bliska, jak w podartém i brudném odzieniu pokryci kurzawą, z twarzą zlaną potem, wytrzymują najtwardszą codzienną pracę, połączoną nieraz z niebezpieczeństwem życia lub zdrowia. Jest jeszcze jednak w okolicy i w miasteczku, kilku starców którzy pamiętają czasy, kiedy ta cała osada była dość płonnym polem, należącém do podupadłego miasteczka. Ale kilkadziesiąt lat temu jak odkrycie węgli kamiennych czarodziejsko zaludniło Dąbrowę. Mało do miejsc tych wiąże się wspomnień historycznych, jedno wszakże godne pamięci, iż pomiędzy miastem tym a Bytowiem w Szląsku, podpisane zostało zrzeczenie się *Arcy-Xięcia Maxymiliana* po przegranéj pod *Byczyną*. Znakomite kopalnie węgla w Dąbrowie, odkryte zostały przypadkiem przez pastuchów z Będzina r. 1785, przez dziesięć przeszło lat małoważne ciągnęli użytki z odkrycia tego sami mieszczanie; dopiéro w r. 1799 za rządu pruskiego rozszerzone i porządne przedsięwzięto roboty, a cała kopalnia od ówczasowego dyrektora górnictwa pruskiego nazwaną została *Reden.* Za Xięstwa Warszawskiego należała do własności Marszałka Lannes Xięcia Montebello. Druga kopalnia między Dąbrową a Bendzinem na pamiątkę Xięcia Lubeckiego Ministra Skarbu głównie opiekującego się ówczesnym górnictwem, od jego imienia zwaną Ksawery, jak to świadczy złoty napis na marmurowéj tablicy umieszczony, przy wejściu kamiennego sklepionego kanału odprowadzającego do *Czarnéj-Przemszy* wodę

wypompowaną z kopalni, za pomocą machiny parowéj o sile 4 koni. Oprócz powyższych jeszcze w okolicy znajdują się dwie kopalnie rządowe, jako to: kopalnia Feliks o milę od Dąbrowy niedaleko wsi *Niemce*, nazwana od imienia ówczesnego naddzierżawcy ekonomii Sławkowskiéj Felixa Hr. Łubieńskiego, który tu piérwszy spostrzegł pokład węgli w r. 1814, i pod Strzyżewicami, będąca także przez czas niejakiś własnością Marszałka Lannes, zwana *Tadeusz* od imienia ministra Spraw Wewnętrznych Hr. Mostowskiego. Oprócz tych rządowych, kilkanaście jeszcze mniéj lub więcéj korzystnych prywatnych znajduje się w okolicy. Wszystkie pokłady węgli kamiennych wybierane tutaj, idą począwszy od Sudetów z Leobschütz i Huttschin w Szląsku wyższym w kierunku północno-zachodnim, a w kierunku ukośnym południowo-wschodnim do Krzeszowic, w okrąg wolnego miasta Krakowa wchodzą. Węgiel dwoma sposobami wydobywa się, jak zowią górnicy *odkrywaną* lub *zakrytą* robotą. Piérwszy sposób użyty w kopalni *Reden* ciekawy nader przedstawia widok. Trzeba sobie wystawić olbrzymi dół, pionowo w ziemi wykopany, na paręset gdzie niegdzie kroków szeroki, kilkadziesiąt łokci głęboki, i blisko milę długości rozciągający się, w różnych pogiętych i łamanych kierunkach, a będzie to proste wyobrażenie kopalni. Czarne dno téj przepaści, zapełnione jest górnikami, którzy się snują w różnych kierunkach. Po wątłych z desek napowietrznych ścieżkach, skrzętne i drobne postacie ich widziane z wysokości ko-

palni, mienią się w oczach, przy jednostajném z stępowaniu i wywożeniu w taczkach długiemi szeregami, jeden za drugim, wydają się jak mrówki pracujące w ziemi nad jakiemś ogromném gniazdem. A gdzie niegdzie kupy wilgotnych okruszyn węglowych i łupka zapalające się same z siebie i wolno dymem sączące, melancholiczne skrzypienie taczek i jednostajny głuchy odgłos uderzających motyk kopiących węgel, nadają miejscu temu pozór jakiejś pracy za karę, przypomina to niejako *Ereb* starożytny, i więzienia dzisiejsze. Śliczne tu są przecięcia bocznych ścian, i najpiękniejszy rysunek niezdołałby tak wyraźnie przedstawić pokładów ziemi i węgla w jakim one leżą następstwie. Grubość pokładu węgla, liczą średnio na 6 łatrów (*) który jest w bardzo dobrym gatunku. Nie wszędzie jednak odkrywane roboty zaprowadzić się dadzą. Kiedy zbyt głęboko leży węgiel, aby odkrywać pokład jego można, co zawsze z wielkim bardzo kosztem połączone, wtedy kopią się szyby, to jest studnie, od których w pewnéj głębokości rozchodzące się poziomo ganki i kurytarze coraz więcéj rozgałęziające się, dostarczają materyału, który windami do góry wyciągają. Do zwożenia węgli do magazynów, równie jak do wożenia materjałów do różnych hut, piérwsze tu w Polszce założone zostały małe koleje żelazne, na których na wielkie angielskie wózki jednym koniem ciągnione, ułatwiają przewożenie ciężarów, któreby do zwykłe-

(*) Łatr, miara górnicza

go sposobu transportu, ogromnych wozów i niezmiernéj liczby koni potrzebowały. Dla zwiedzającego piérwszy raz hutnicze zakłady, ciekawym przedmiotem będą tu piece do topienia żelaza, czyli tak zwane *Wielkie Piece*, (*) bo chociaż to najśliczniejsze są wkraju naszym budowy z tego rodzaju, urządzenie ich jednak i zebranie razem w jedném miejscu z tylu innemi zakładami, obejrzeniu nader sprzyja.

Tak zwany wielki piec, jest to wysoka stożkowa budowla z ognio-trwałéj cegły mocno zmurowana, aby równie parcie znakomitego ciężaru metalu, jak i wysoki stopień gorąca wytrzymać mogła. Wydrążenie jego wewnątrz podobne poniekąd do jaja grubym końcem opartego na podstawie; otwór zaś u góry lejkowaty, aby wszystko co się wrzóci łatwo do pieca dostać się mogło. Przy otworze tym stoją robotnicy, i naprzemiany wrzucają koszami materyał palny i rudę. Cała wysokość pieca z ogniskiem wynosi zwykle, przeszło 5o stóp. Do wprowadzenia na wierzch materyałów, używano zwykle dawniéj i dotąd u większéj części prywatnych hut, pewnego rodzaju pochyłéj nakrytéj galeryi, przez którą taczkami wożono ładunek. W nowszych urządzeniach osobliwie w pięknych i z przepychem budowanych zakładach Bankowych, a tém samém i w Dąbrowie, pozaprowadzane są windy, które za poruszeniem mechanizmu

(*) Właściwiéj byłoby zwać je Wysokie Piece (hochofen) lecz ponieważ to piérwsze nazwisko powszechnie jest w użyciu dla tego je przyjąłem.

stosownego, wciągają na górę w wózkach żelaznych materyał, robotnik posuwa wózek na żelaznéj kolejce nad otwór pieca, porusza sprężynę a dno wózka otwiera się, i cały ładunek wpada do pieca. Za materyał palny używano dawniéj tylko węgla drzewnego, teraz już w Krakowskiém, w bliskości kopalni węgli kamiennych, tych ostatnich jako tańszych powiększéj części używają.

Żelazo wprawdzie bardzo łatwo do białości się rozpala, jednak aby rostopione wlewać się dało do formy, potrzebuje nader wysokiego stopnia ciepła, (2000 stop. Reom.) aby ten skutek nastąpił, używa się pomocy dęcia powietrza, jest to wynalazek który bez porównania ułatwił topienie żelaza, większą wartość nadał pokładom rudy, i całą tę gałęź przemysłu nadzwyczajnie popchnął i rozszerzył. Długi czas na ten cel używano wielkich miechów kowalskich kołami wodnemi poruszanych, co i dotąd w Tomaszowie, i wszystkich prawie prywatnych hutach jest w zwyczaju. Teraz jednak daleko silniejsze dęcie odbywa się za pomocą cylindrów żelaznych, w których tłoki czyli stemple, wodą lub parą poruszane wpędzają powietrze do pieca w zgęszczonym stanie, co także topliwości nader sprzyja. Cylinder taki ma zwykle kilka stóp (3 łokcie średn.) a ujście rury do dęcia zaledwo parę cali, tym sposobem łatwo sobie wystawić gwałtowność z jaką wpada powietrze do pieca. Natężenie ognia w tém miejscu gdzie dęcie jest najsilniejsze, tak jest mocne, iż niepodobna długo je znieść wzrokiem. Naprzód jednak ruda rozpala się w piecu

zwyczajnemi sposobami do tego stopnia, do jakiego zwyczajny ogień doprowadzić ją może, a wtedy dopiero rozpoczyna się dęcie, i w tejże chwili w piecu daje się słyszéć okropny ryk, iż w bliskości stojąc nawet mówiącego słyszéć niemożna. Gdy tak czas niejaki w stanie płynnym żelazo utrzymaném zostanie, wtedy wybija się zasklepiony gliną otwór drągiem żelaznym, i roztopiony metal w ognistym jak lawa strumieniu, spływa do porobionych rowów w piasku czyli form, które zowią korytem, i krzepnie, a wtedy kawały jak szczapy do kilkaset funtów ważące zwane są gęsiami. Gdy w małe od razu formy ma się odlewać żelazo, powoli je potrochu upuszczają z pieca, i dziwny wtedy jest widok, jak kilkunastu robotników w czarnych kitlach, w sandałach z drewnianemi podeszwami, żwawo i zręcznie uwijają się koło tego płynnego ognia, czerpiąc go długiemi łyżkami żelaznemi; jeden niesie do pieca, drugi mija go, inny po nad głową uchylającego się przenosi łyżkę z gorejącém żelazem, a wszyscy tak szybko, tak skwapliwie krzątają się po rozpalonych jeszcze żużlach, a żaden nie trąci drugiego, nie obleje, iż raczéj zabawką samowolną zdają się być zajęci, i nieszczęśliwe przypadki rzadko się trafiają. Tak przygotowane żelazo zwane *surowcem* (czuchem) aby zamienić na żelazo kute i zdatne do robot kowalskich i slusarskich, przerabia się zwykle w fryszerkach, gdzie napowrót roztapiane i długo w stanie płynnym utrzymane, wydobywa się częściami, i pokłada pod młoty wodnym kołem obracane, i zamienia na żelazo sztabowe czyli

kute. W nowszych zakładach mianowicie w Dąbrowie, już od lat kilkunastu zaprowadzone są *pudlingarnie* gdzie bez porównania przyśpieszniejszemi spo-sposobami toż samo się uskutecznia. W ogromnéj budowie *pudlingarni* wszystko niewidzialną jakowąś siłą machiny parowéj się odbywa. Olbrzymi stucentnarowy młot lekko skacze na kowadle, i świetne iskry i krople żuzla wyciska z kutego metalu, a walce obracane tąż machiną same wyciągają go na szyny, i kroją jak miękki wosk. Ludzie krzątają się tu tylko aby usługiwali jakiemuś potworowi w milczeniu, które łoskot machin jedynie przerywa.

Oprócz fabryk żelaznych, mniéj może ciekawém, lecz niemniéj ważném jest wytapianie cynku na wielką skalę prowadzone w Dąbrowie.

Szczegółowa historya tego byłaby nader zajmującą, do cynku bowiem wiąże się w bliższym lub dalszym stosunku ogromny postęp tylu wynalazków, tylu odkryć, które nietylko w samej czystéj chemii, lecz i w przemyśle, rzeczywiste już dotąd i upowszechnione wprowadziły zmiany.

Pomnąc tylko jeśli nie na najdawniejszy przynajmniéj na powszechny użytek metalu tego do stosu galwanicznego, pomnąc na odkrycia i postęp nauki, który *stos* wywołał, najbujniejszą fantazyą niepotrafiemy jeszcze roić sobie zastosowań, do jakich cynk może być użyty, jeżeli usiłowania dosyć dotąd nie płodne wprowadzenia *motora* elektrycznego znajdą powszechne przyjęcie.

Przed czterdziestą laty, produkcya cynku w Europie była prawie nieznaną, i to wchodził on jedynie do roboty mosiądzu, który pospolicie z galmanu (rudy cynkowéj) i miedzi otrzymywano. w Polsce też galman już w r. 1673 był między produktami za granicę wywożonemi pod opłatę cła podciągnięty. Najwięcéj spławiano prażonego galmanu do Gdańska, skąd do Szwecyi bywał wysyłany do fabryk mosiężnych. Szczególną jest tajemnicą wielka konsumpcya cynku w Indyach i Chinach, lecz kiedy od r. 1820 produkcya jego doznała tam jakiejś przeszkody, konkurencya na cynk tak się wzmogła, iż niska cena jego podwojoną a nawet potrojoną została. Gdy w r. 1824 wydobyto w naszych kopalniach i hutach ogromną liczbę 332,000 przeszło centnarów tego metalu, wtedy w roku następnym ceny tak znacznie spadły, iż wiele fabryk zupełnie ustało!

Galman czyli ruda cynkowa wydobywa się w okolicach Olkusza, i płukaną już dostawiają do Dąbrowy, wytapianie zaś, zupełnie jest różne od wytapiania żelaza, i wszystkich prawie innych metali. Uskutecznia się ono w tyglach wielkich otwartych, z dwóch stron ogniotrwałéj gliny, które nazwano *muflami*.

Długie murowane z drewnianemi dachami szopy, zajmują w sobie rzędy pieców, w których ustawiane szeregiem *mufle*, napełniają się galmanem i opalają węglem kamiennym. Ciemno czerwony ogień od węgla, i jasno rażącéj białości płomień palącego się cynku, wyziewami gorącemi i światłem razą i duszą ciekawawego i nieprzyzwyczajonego widza. Wytopiony tam

metal oddaje się dopiero do innéj budowy, gdzie odlewany zostaje w żelazne formy w kształt tablic, i te albo wprost idą do handlu, albo dopiero w walcowniach Sławkowa na blachy się zamieniają.

O to są krótkie tylko wzmianki o głównych fabrycznych zakładach, które Dąbrowę robią tak zajmującym punktem, wjedno zgromadzonych tylo licznych urządzeń. Opisanie ich szczegółowe równie by nudne dla nieobznajmionych z hutnictwem było, jak widok tych zakładów w naturze jest ciekawy. Wzorowy porządek akuratność i przepych nawet budowli i machin, jużby godzien był uwielbiania. Sam zbiór machin parowych (jest ich w tym okręgu 18) ich różny kaliber, i różny sposób urządzenia i zastosowania, od ogromnéj 120 siło-konnéj, do małéj przewoźnéj 2 konnéj daje sposobność wygodnego przypatrywania się tym prawdziwym dziejom przemysłu XIX wieku, zastępującego siłę ludzką fizyczną, siłą myśli i zastosowania jéj.

Uprzéjmość i chętnosc w objaśnieniu zwiedzających, okazywana wszystkim przez Urzędników Górniczych a szczególniéj przez W. Cieszkowskiego Naczelnika tego okręgu, a przytém wkrótce zapewne dokończyć się mająca koléj żelazna z Warszawy tu idąca, wielu zapewne ciekawych sprowadzać będą do Dąbrowy, któréj i kilkomilowe okolice tak są zajmujące.

Górnicy, oprócz kilkuset rządowych, wojskowych rekrutów, pracujący w kopalniach i fabrykach są prawie wszyscy krajowcy, dobra płaca którą pobierają, niezależność od kaprysu prywatnych, i samo ciągłe

ocieranie się wzajemnych wyobrażeń, wpływa bardzo wiele na dobry ich byt, i gdyby na nieszczęście niezbyt powszechny nałóg pijaństwa, niewydzierał im krwawego zarobku, klassa ta ludzi mogłaby być, w porównaniu z wieśniakami i zagranicznemi wyrobnikami, bardzo szczęśliwą.

Przed rokiem 1830 składali oni osobny korpus górniczy, na stopie wojennéj urządzony, dziś odznaczają się stosowniéjszém ubraniem, które składa się z pewnego rodzaju czarnéj górniczéj właściwego kroju kurtki z peleryną, z czerwonemi wypustkami, rzemiennego pasa sklamrą, i takiegoż fartuszka noszonego ztyłu. Na głowie zawsze czapki oznaczone dwoma młotkami na krzyż, godłem górniczym.

Jest to w ogule lud wytrwały, smiały i do wszystkiego ochoczy, a czując swą godność zależną od własnéj pracy i przemysłu, nie rad się lada komu uniża, dla tego okoliczni obywatele zowią ich zuchwałemi.

Język ich techniczny, jakkolwiek po większéj części od niemców przyjęty, zachował w sobie jednak dosyć wyrazów miéjscowych jakby w puściźnie po starem górnictwie przekazanych. Gdy stanowili własną korporacyą, czyli pewien rodzaj cechu, mieli w tedy i własne obrzędy i zwyczaje, teraz gdy wszystko w kluby porządku rządowego ujęto i zwyczaje te zaniedbano i wielu górników nie słyszało o nich.

Głównem świętem u górników jest doroczna uroczystość Świętéj Bardary patronki ich, obchodzona w grudniu, dzień ten poświęcają naprzód nabo-

żeństwu, a późniéj wystrojeni w swiąteczne ubiory póżno w noc tańcom i zabawie się oddają.

Przesądy, wpływy tajemnych duchów tak powszechne w niemczech; wiara *w Koboldy* w czarodziéjskie *rózgi* leszczynowe, chociaż gdzie niegdzie tu napotykać się daje, jednak nie jest pospolitą, i to raczéj ze Szląska przeniesiona, nie miéjscowa, to jednak powszechne jest mniemanie, iż najdogodniéjsze pory do odkrycia min kruszcowych są, północ S. Jańska, i S. Barbary, i że wszystkie kopalne płody są własnością podziemnych duchów, którym sprzeciwiać się nienależy, ale które bogobojnie poczynających lękają się, i władzę nad takiemi tracą. Jak wiara ta mocno jest wkorzenioną przekonało mnie opowiadanie jednego z wieśniaków w tych stronach.

Zaraz za Mzygłodem wchodzę do chaty dla ochłodzenia się, było to przed południem, czas roboczy, w chacie znajduje się tylko jeden człowiek, którego pozór największą obudzał litość. Niepokaleczony zewnętrznie a żadnym członkiem władać niemógł według woli; oczy, ręce, nogi, głowa drzały ciągle miotane konwulsyjnym kurczem.

—Jaka przyczyna waszéj niemocy, zapytałem go.

—Oto, ziemia w kopalni przywaliła mnie, i już 16 lat jak cierpię, nie mogąc pozbyć się ni życia ni cierpień moich. Spocządku zaledwo go mogłem zrozumieć dla jąkania się przykrego, i głosu który mu był zupełnie nie posłusznym, lecz łatwo było z tą mową oswoić się. W krótce też nadeszli starzy rodzice, którzy go w chacie swéj jako nieużyteczny ciężar

trzymać muszą. Ci opowiadali iż syn ich od najpierwszéj młodości ciągle mając stosunki z pracującemi przy górnictwie, z namiętnością do tego stanu się zabierał, uroiwszy sobie iż niezawodnie wynajdzie miny srebra, a tem samem i rodzinę swoją, i wieś w któréj zrodzony uszczęśliwić potrafi.

— Wszyscyśwa sie stego śmieli, mówił stary, i odradzali jak mogli, ale kiedy wéj zaczął prawić o tém, to i nieraz człowiekowi szeptał bies, a kto wie może naszego Jana taka łaska spotka. On jeszcze był wyrostkiem, a już po całych dniach i nocach kopał i szukał. Raz też, był dzień Ś. Barbary, jak dziś pamiętamy, poszedł rano do kościoła i wysłuchawszy Mszy św. zabrał się z posiłkiem na cały dzień z *kilofami* (*) do lasu na górę, gdzie przez całe lato sporo jamy pogrzebał. Już dobrze się na wieczór zbierało a jego niéma i niéma. Na dworze od kilku dni mrozu nie było, ale przeraźliwy deszcz i wiatr trząsł całą chałupą. Markotno nam było niezmiernie, a to wéj ta staruszka babka jego, modliła się w kącie, gdy ni z tego ni z owego krzyknęła nagle, w kominie coś gruchnęło, rzuciło ogień i zaśmiało się. Jezus Marya! zawołaliśwa wszyscy razem, pewnie naszego Jana wielkie spotkało nieszczęście. Tak ci i było, ziemia go przywaliła, nazajutrz z pomocą sąsiadów wygrzebalismy i wynieśli na swiat Boży. Był ci jak bez duszy i bez rozumu przez ośmnaście niedziel, powoli

(*) Górnicza motyka.

przychodził do siebie, ale pozostał jak pijany, albo opętany już szesnaście roków temu.

—Tak, przerwał kaleka, nie żal byłoby wlec i nędzny taki żywot póki się podoba Panu Jezusowi, ale widzieć, mieć w ręku błyszczący kruszec srebrny, a tu cię potem *zły* (tu przeżegnał się) zatumani, to zbyt srogie dopuszczenie.

—Jakto, zapytałem—alboście istotnie odkryli pokład srebrnej rudy?

—Czym odkrył Panie? oto trzymałem w tém ręku najczystszy kruszec, albo to go nieznam albo niewidziałem! ale w radości zapomniałem przeżegnać, w tém naprzeciw pokazał się *czarny*, zaśmiał, dmuchnął mi w oczy, i wszystko raptem licho wzięło, a kiedym się obudził to już 18 niedziel od tego czasu było.

Odtąd nikt już do tego miéjsca trafić nie mógł, ale ja wiem gdyby kto umiał tylko zakląć, to pewno znajdzie, ja przysięgnę że tam jest srebro.

Pożegnałem biedaków, a idąc sród rzadko porosłych pagórków tych okolic, gdym zobaczył gdzie pokopaną ziemię, przychodziła mi na myśl często, owa dziwna wiara kaleki, ten obłęd który jak prawdziwy szatan trzyma myśl jego przez tyle lat w swych szponach.

J. W. Dzichowski

BROŃ DO NOGI.

Gdy nawiasem siędę czasem
Między kobiétkami,
Gadka pusta grzeje usta
Strzelam żarcikami.

To zagabnę słówko zgrabne,
To schwycę za słowo,
Krzepki w walce, krzeszę palce,
Nie nałożę głową.

Lecz gdy z boku, w Twojém oku,
Błyśnie promyk drogi,
Żart nie łechce, śmiać się nie chce,
Składam broń do nogi!

Józef Paszkowski.

WIADOMOŚĆ
O MIEŚCIE TYKOCINIE.

---

1. Tykocin uważany w Ogólności.

Tykocin na płaszczyznie nad rzęką Narwią, która z tąd spławną być zaczyna, i błotami niedostępnemi położone miasto, dawniéj należało do Województwa Podlaskiego (1) dziś do miast Gubernii Augustowskiéj policzone, stolicą jest powiatu Tykocińskiego, odległe o mil siedm od Łomży głównego miasta gubernialnego.

(1) Jeografia powszechna, czyli świat w wszystkich częściach, wydana przez X. Władysława Łubieńskiego około r. 1736 str. 424.

Tykocin niegdy miasto Królewskie z dobrami okolicznemi do starostwa tegoż nazwiska należącemi (2) w nagrodę prac i zasług Stefana Czarnieckiego (3) Wojewody Kijowskiego, a późniéj Hetmana polnego koronnego za panowania w Polsce Jana Kazimierza, konstytucyą na seymie w Warszawie za zgodą i jednomyślném zezwoleniem Stanów Rzeczypospolitéj zgromadzonych zapadłą w r. 1661 dnia 13 Czerwca, dziedzictwem nadane mu było, i odtąd Starostwo Tykocińskie z dóbr królewskich złożone, w dobra ziemskie szlacheckie dziedziczne zamienione zostało. (4)

(2) Z miastem Tykocinem nadane były folwarki i wsie, a mianowicie: Bierki, Łopuchowo, Stelmachów, Joroniszczewo, Lipniki, Siekierki, Sarniki, Złotorya, Sawino, Młynary, Jedwabne, Białystok (dziś znakomite i upięknione wielu wspaniałemi gmachami miasto:) Starosielce, Bojarze, Wysoki Stok, Bojarze nad rzeką Supraśb, Zawady, Dolistowo, Radzie, Smogorzewka, Trzciano, Leśniki, Pajewo z wsiami trzynastu nazwanemi zakątki, z wszelkiemi przyległościami.

(3) Stefan Czarniecki h. Łodzia pochodzący z familii szlacheckiéj niezamożnego domu, urodził się we Wsi Czarnéj Województwie Sandomierskiém Powiecie Chęcińskim r. 1559, a umarł we Wsi Sokołówce r. 1665 pochowany w Czarnéj w Kościele tamecznym. Życie jego napisał X. Michał Erejewski S. P. z przypisaniem N. Stanisławowi Augustowi IV. Królowi Polskiemu. Ostatnie dzieła tego wydanie nastąpiło w Radomiu 1830 r.

(4) Słowa Konstytucyi nadawczéj przytaczają się:
«Dobrze są wiadome światu Stefana Czarnieckiego Woje-

Gdy tenże Hetman Czarniecki z Zofii Kobierzyckiéj, którą sobie zaślubił, niezostawił żadnego potomstwa płci mezkiej, lecz tylko dwie córki, dziedziczki sławy swéj i majątku, te obiedwie za życia wyposażył, a Król Jan Kazimierz w pozostałem potomstwie wynagradzając zasługi wojownika tego, rozdał królewszczyzny przez niego posiadane, dwóm zięciom jego Wacławowi Leszczyńskiemu h. Wieniawa, Wojewodzie Podlaskiemu, za którym była Konstancya, i Janowi z Ruszczy h. Gryf Jaxie Branickiemu Marszałkowi nadwornemu mającemu za sobą starszą córkę

wody ziem Ruskich odważne dzieła i zasługi, które przez wszystek swój wiek, począwszy od lat swych młodych, aż do tego czasu Nam i Rzeczypospolitéj wyświadczał, osobliwszym jednak sposobem, wydźwignienia jéj z tak ciężkich terminów, swoiém *concurrit* męztwem i odwagą, którego lubo sama nieśmiertelna sława *ad seram posteritatem transferret nomen*, aby jednak tak odważnych zasług niezdawaliśmy się bydź *ingrati*, owszem oneż ojcowskim przyjmując affektem, dobra nasze Starostwo Tykocińskie ze wszystkiemi dworami i przynależytościami do tych dóbr należącemi, *et cum iure patronatus* za zgodą wszech stanów, *authoritate praesentis Conventus iure haereditaris* Onemuż i Jego sukcessorom *ad perpetuam meritorum* jego *memoriam* dajemy, jak to wszystko przywiléj od Nas dany obszernéj wyraża *cum omnibus immunitatibus bonorum terrestrium, salvis tamen in integro fundationibus Ecclesiasticis et Hospitalis* na żołnierzy postrzelanych, *provisione annua* P. P. S. *Francisci Ord. Minor. de observantia Conventus Tikocinensis.*

Czarnieckiego Alexandrę Katarzynę. Wnukiem jéj był sławny mąż Jan Klemens z Ruszczy Branicki Kasztelan Krakowski Hetman Wielki Koronny, ostatni z domu Gryfów Jaxów Branickich, siostrę Króla Stanisława Augusta IV. za małżonkę mający, bezdzietnie zmarłą, po którym jako bezpotomnie z tego świata zeszłym, jak niemiéj po zgasłym dożywociu żonie swéj z Poniatowskich do dni życia zapisaném, majętność Tykocińska dostała się w ręce:

1. Jana Potockiego w Boćkach Województwie Podlaskiem.

2. Felixa Potockiego czyli teraz jego sukcessorów w Tykocinie.

3. Mostowskiéj z Potockich Tadeusza Mostowskiego byłego Ministra Spraw Wewnętrznych małżonki.

I z tego to powodu dziś Miasto Tykocin jest w posiadaniu dziedzicznêm imienia Potockich.

2. Położenie Tykocina.

Tykocin od strony północnéj otacza rzeka spławna Narew, i na téj jest most długi łokci 281 na palach z drzewa, poczynający się od lądu, a ciągnący się do kempy, na któréj niegdy istniał Klasztór O. O. Bernardynów jak pozostałe gruzy przekonywają, i cmentarz przez wyznawców Augsburskich zajęty. Na tém moście wystawiona brama oznacza rogatkę granicy Królestwa, zaś przez tę kępę wybita jest grobla, z któréj wjeżdża się znowu na drugi most długi łokci

181 także na palach wybudowany, dotykający rogatki od strony Państwa Rossyjskiego i kępy drugiéj w pośród którèj niegdy zamek wzniósł się okazale. Most ten drugi ułatwia przebycie Narwi zwanéj starą rzeką, i na nim podobnie jak na piérwszym jest brama, oznaczająca rogatkę Cesarstwa.

Miasto leży na płaszczyznie, w odległości mili jednéj są zaroślc które do niego należą.

O pół mili w stronie południowéj, widzieć się dają w polu otwartém okopy znacznéj rozciągłości, których wysokość jest znaczna, te z wielu mniejszemi połączone, wystawiają miejsce z dawnych wieków umocnione. Według podań miejscowych wały te Szwedzi usypać mieli w czasie dwókrotnéj bytności swojéj w Polsce, i napadów na miasto i zamek jego przedsiębranych.

3. Podział Miasta.

Tykocin dzieli się:

a. na miasto stare, i

b. na miasto nowe, które są przedzielone przekopem (kanałem) wązkim, kamieniami brukowanym przez ten przepływa struga zwana *pólna*, i ma spad do rzeki Narwi. Przebycie zaś kanału ułatwiają dwa mostki murowane.

4. Rynki.

Takowych jest dwa, *piérwszy* przy kanale wprost ulic Kaczorowskiéj, Złotéj, Holendry, Senatorskiéj,

Zagumiennéj i Sadzawki. Jest cały brukiem pokryty, formuje czworogran, obwód jego wynosi cztery morgi miary chełmińskiéj. Odbywają się na nim targi i jarmarki.

Drugi w ulicy Senatorskiéj wprost kościoła XX. Missyonarzy i ulic Bednarskiéj, Tylnéj, Jurydyki i Białostockiéj. Rynek ten podobnie jak piérwszy brukowany i tejże obszerności, lecz targów na nim odbywać niewolno. Tu wznosi się pomnik Czarnieckiemu wystawiony.

Prócz tych placów publicznych jest jeszcze mały rynek (rynaczek zwany) w ulicy Choroszewskiéj, wprost ulicy Poświętne, w kształcie trójkąta brukowany, lecz do odbywania targów nieużywany.

5. Rozległość Miasta.

co do powierzchni gruntu.

Tykocin posiada gruntu ciągłego ornego włók miamiary chełmińskiéj 93, zabudowania jego, łąki, pastewniki zajmują téj miary włók 18, razem liczy włók 111. Należą do niego dwa folwarki, Stelmachowo i Lipniki.

6. Przywileje.

Miasto to przed rokiem 1661 będąc własnością narodu, miało sobie udzielone przywileje przez Mo-

narchów Polskich, a mianowicie obdarzył go nadaniem Król Władysław IV z daty 15 Lutego 1642 r. wszelakich swobód; takowe Król Jan Kazimierz w dniu 25 Lutego 1650 r. zatwierdził. Nadto starozakonni mieli przywilej przez Władysława IV w Wilnie dnia 28 Lutego 1630 r. dany na wolne ważenie i szynk wszelakich trunków.

Na takowe i tym podobne przywileje, Hetman Stefan Czarniecki uczynił w roku 1663 assekuracyą, iż będą miastu zachowane, a nawet od poddaństwa mieszkańców jego uwolnił.

7. Domy.

W roku 1826 Tykocin liczył domów:

a.	Z muru	47
b.	Z drzewa	386
	w Ogóle	433 (5)

W roku 1840 było domów:

a.	Z muru	47
b.	Z drzewa	393
	w Ogóle	440 (6)

(5) Jeografia Steina w Warszawie u X. X Piarów w r. 1826 wyszła z druku część I. str. 256 i Obraz Jeograficzno Statystyczny Król. Pols. p. Bodeckiego D. M. w V. tablicach w Warszawie 1830. r.

(6) Wedle powziętych wiadomości z urzędu Burmistrza Miasta Tykocina.

Zatem w przeciągu lat 14 przybyło 7.

Summa ubezpieczalna tychże w Towarzystwie ogniowém:

a. Domów z muru w ilości	Złp.	291,650
b. Domów z drzewa w ilości	Złp.	248,550
Podana w ogóle na	Złp.	540,200

8. *Ludność.*

W roku 1826 mieszkańców:

a. Chrześcian	1398
b. Starozakonnych	1777
Było razem osób	3,175

W roku 1840 liczono mieszkańców:

a. Chrześcian	1391
b. Starozakonnych	3372
Razem ..	4,763

Zatém w przeciągu lat 14

a. Chrześcian ubyło......	7
b. Starozakonnych przybyło	1595

9. *Zatrudnienie Mieszkańców.*

Mieszkańcy ci trudnią się:

I. Rękodziełami, między temi znajdują się:

a. Fabryka Sukna.....	1
b. » Kapeluszów	1

c. Fabryka Grzebieni. . . 5
d. » Płótna 2
e. » Garbarni . . 2
f. » Cukru 1
należąca do Jana Potockiego dziedzica miasta.

II. Rzemiosłami, przedażą towarów wszelakich i napojów, i jest:

g. Kupców. 5
h. Kramarzy 25
i. Cukiernik 1
k. Winem handlujących. 2
l. Traktyerników 2
ł. Szynkarzy soli 18

III. i w części rolnictwem.

10. Rzemieślnicy.

W roku 1840 następujący rzemieślnicy w Tykocinie istnieli.

I. Bednarzów 4, Blacharzów 5, Brukarzów 2, Cieśli 7, Farbiarzów 2, Faktorów 13, Furmanów 27, Gorzelników 2, Garncarzów 2, Gwoździarzów 2, Introligatorów 2, Iglarzów 2, Powroźników 2, Pieczętarzy 2, Szmuklerzy 6, Rzeźników 4, Rękawiczników 2, Rymarz 1, Stolarzy 2, Szklarzy 6, Szewców 60, Stelmachów 2, Szpilkarz 1, Waciarzów 3, Zegarmistrzów 2, Złotników 3, Zdun 1, Szwaczek 7, Praczek 6, Piwowarów 3, Piernikarz 1, Piekarzy 13, Ogrodników 4, Mosiężników 3, Malarzy 4, Kołodziejów 3, Kuśnie-

rzów 4, Krawców 75, Kowalów 9, Kotlarz 1, Kominiarzy 2, Konował 1, Katrynkarzy 3, w ogóle było w tym roku rzemieślników w Tykocinie 360.

II. Prócz takowych znajdowało się:

Kapitalistów 8, Karczmarzów 6, Bankierów 2, Rybaków 20, Aptekarz 1, Cyrulików 3, Billard utrzymujących 2, Wexlarz 1, Dystrybutor Tabaki 1, Handlarzy końmi i zbożem 21.

11. Przychód Miasta.

Przychód z miasta Tykocina wynosił w roku 1840 Złp. 19,000.

12. Targi i Jarmarki.

Odbywa się tu siedm jarmarków, mianowicie: na N. P. Gromniczną (2 Lutego) dni 2 trwający, na Ś. Benedykt, na S. Trójcę, na S. Wincenty a Paulo, S. Franciszek, na S. Marcin i na S. Tomasz.

Targi bywają w każdym tygodniu, w Niedzielę, w Wtorek i Piątek, przedaż i kupno zboża, koni, wołów i wszelakich produktów bywa przedmiotem handlu w tych terminach odbywającego się.

13. Ogrody, Sady, Studnie, Spichrze i Młyny.

Tykocin niema ogrodów do spacerów, posiada tylko sadów owocowych 6, studni 17, Szpichlerzy

nad rzeką Narwią o jedném piętrze z drzewa 4, młynów na tejże rzece 8, a wiatraków w okręgu miasta 4, a tak zwanych końskich młynów (deptaków) w mieście 4.

14. Posąg Czarnieckiego.

Zdobi i odznacza rynek główny grodu tego posąg z kamienia ciosowego Stefana Czarnieckiego z buławą w prawéj ręce, na podstawie z marmuru, na któréj pochwalny napis w języku łacińskim z przywileju Jana Kazimierza wyjęty znajduje się.

Wysokość samego posągu Czarnieckiego w zbroi rycerskiéj wynosi łokci 4½, otoczony jest sztachetami żelaznemi, słup zaś na którym posąg stoi, także z kamienia ciosowego jest średniéj wielkości.

Wzniesiony został ten pomnik przez Jana Klemensa z Ruszczy Branickiego Kasztelana Krakowskiego, Hetmana W. Koronnego na pamiątkę swemu pradziadowi.

15. Władze.

1. Sąd pokoju Powiatu Tykocińskiego, posiedzenie w tutejszym mieście odbywa, we względzie zaś Administracyjnym podlega Kommissarzowi Obwodu Łomżyńskiego, złożonego z powiatów tegoż nazwiska i Tykocińskiego.
2. Istnieje tu Komora Celna piérwszego rzędu.
3. Urząd Burmistrza i
4. Zupa solna.

16. Szkoły.

Dawniéj była tu szkoła podwydziałowa (7) i dziś miasto nie jest podobnego Instytutu pozbawione, są bowiem szkoły parafialne.

18. Kościoły, Klasztory i Cmentarze.

Szczyci się Tykocin Kollegium X. X. Missyonarzy, reguły Ś. Wincentego a Paulo, którzy przy kościele swoim utrzymują parafią ze sprawowaniem obowiązków dziekańskich. (8) Kościół tutéjszy z muru, architektury pięknéj, dwiema wieżami i kopułą w środku, miedzią pokrytemi ozdobiony, jest wspaniały i do piérwszych świątyń w kraju policzony być może, a w mieście Tykocinie za najpiérwszą budowę uważać go wypada. Na jednéj z wież znąjdują się dzwony, a na drugiéj zegar.

(7) Rocznik Instytutów religijnych i edukacyjnych w Królestwie Polskiem, Warszawa 18$\frac{26}{27}$ Str. 320. W roku 1827 było w szkole téj Uczniów 69.

(8) Dekanat Tykociński mieści w sobie Kościołów 10 jako to: Jabłoń, Kobylin, Płoszka, Poświętne, Piątkowo, Budki, Sokoły, Tykocin, Waniewo, i Zawady.

W Dyecezyi Chełmskiéj, Obrządku Grecko-Katolickiego także znajduje się Dekanat Tykociński i zawiera Kościołów 11 jako to: Augustów, Bala-wielka Hodyszewo, Hołynka, Lubno, Lipsk, Persłuń, Rygałówka, Sopockinie, Tykocin, Wysokie-Mazowieckie.

W tyle téj bazyliki są mieszkania dla XX. Missyonarzy z muru o piętrze, zaś w bramie przy wéjściu do kościoła tegoż, są dwa filary murowane, a na nich w górze nad bramą wzniesiono statuę czterech Ewangielistów z kamienia ciosowego rzeźby dawnéj i ozdobnéj, w samém kościele jest nagrobek Janowi Klemensowi Branickiemu Hetmanowi fundatorowi téjże świątyni z alabastru wzniesiony. Sprzęty i ozdoby wszelkie są okazałe i w dobrym stanie utrzymywane. W r. 1769 za wprowadzeniem do miasta tego Zgromadzenia XX. Missyonarzy, Jan Klemens Branicki założył i uposażył Seminaryum świeckich Xięży w tém miéjscu, przeznaczywszy fundusz na utrzymanie czterech alumnów. Szczupły ten i niedostateczny zasiłek powiększony został przez Rząd krajowy teraźniéjszy, tak iż w tym czasie utrzymywanych bywa 20 alumnów, prócz Professorów któremi są członki zgromadzenia rzeczonych XX. Missyonarzy. Hetman Branicki nadał temuż klasztorowi za fundusz folwark Popowlany, wieś do niego zarobną, młyn na Narwi, las z łąkami na wsiach Łopuchowie i Frączkach i kapitał zapewnił w summie Złp. 50,000 od którego procent pobierają i ordynaryą dla Szpitala z summą 500 złp. corocznie.

Istnieje tu także klasztór XX. Bernardynów z muru. Wprowadzenie tego zakonu do Tykocina jest bardzo dawne. Klasztór z kościołem początkowie mieli na kępie w pobliżu zamku, gdzie dziś wyznawcy Augsburscy mają swój cmentarz, a gdzie gruzy miéjsce gmachów tych wskazują. W końcu życia swego Król

Zygmunt August wydał był rozporządzenie, aby klasztór ten winne miejsce przeniesiony został, dla bliskiego zamku.

Dzisiejszy klasztor XX Bernardynów także przez Jana Klemensa Branickiego Hetmana w r. 1756 erygowany, z nadaniem młyna wodnego na rzece Narwi, łąk w territoryum miasta Tykocina i zarośli do opału na wsi Frączkach, oraz ogrodu obszerności gruntu włóki jednéj i morgów 15, z trzema sadzawkami. Klasztor ten jest murowany o piętrze, w miejscu kościoła jest wystawiona z muru także kaplica, ozdobiona kopułą i trzema ołtarzami. Oprócz nadań na errekcyą ma tutejszy klasztor przekazaną sobie summę Złp. 50,000 na dobrach Jedwabne i pobieranie z dóbr Tykocińskich 60 korcy zboża corocznie. Takim sposobem byt jego zabezpieczony został. Za miastem w stronie wschodniéj jest oddzielny cmentarz dla chowania zwłok zmarłych katolików, cegłą i kamieniami obmurowany, na którym jest wybudowana z muru kaplica obszerna i kopułą ozdobna. Na tymże cmentarzu istnieją katakumby i kośnica murowane. O cmentarzu Ewangelickim już się powyżéj nadmieniło, takowy na kępie w miejscu w którym się wznosił początkowo Klasztor XX. Bernardynów znajduje się.

Także starozakonni mają tu kilka bużnic i domów do modlitwy przeznaczonych, jak niemniéj i oddzielny kierkut. Nakoniec nadmienić tu wypada, iż nad rzeką Narwią jest z muru tak nazwany Alumnat czyli dom w kwadrat z kaplicą i wejściem o jednéj bramie, dla 12 wysłużonych w wojsku osób,

przez tyle dobroczynnego dla Tykocina Hetmana Branickiego założony; fundusz na ich utrzymanie jest zabezpieczony na dobrach Tykocińskich i Choroszczy. Nad tym przytułkiem nieszczęśliwych rząd krajowy opiekę swoją rozpościera.

18. Zamek.

Na wzgórzu umyślnie wśród kępy sypaném przez króla Zygmunta Augusta z muru wzniesiony, a raczéj przebudowany, (zaiste starożytność jego sięgała dawniejszych jeszcze czasów) jak opisuje Gwagnin, posadą miejsca, będąc zewsząd oblany błotami, (9) obronny, przekopami i wałami w koło otoczony, w działa i strzelbę niegdy dobrze opatrzony, mocnił niegdy posadę grodu tego, i w czasie wojen szwedzkich ważnym był punktem wojskowym, i krwawe tu często zachodziły bitwy.

Dziś z niego podobnie jak z wielu innych warowni i twierdz, zostały tylko szczątki murów, ślady przekopów i wałów w czworograny i trójkąty sypanych. Tyle wojen, oblężeń, napadów wytrzymał, tylu sławnych ludzi przeszło tędy, a czasu co wszystko niszczy, pożéra i zagładza pokonać nie był w stanie! owszem, ten go pożył i w nicość wprawił! (10)

(9) Wylewy Narwi na wiosnę szerokie, niedostępnym go czyniły.

(10) Istniał tutéjszy zamek na kępie obszernéj blisko włók cztery, położenie jego względem miasta było w stronie pół-

Zwaliska te samym nawet upadkiem swoim znakomite, nasuwają zwiedzającemu nieomylną prawdę: iż wszelakie utwory ludzkie prędzéj czy późniéj ulegają zniszczeniu. Można zaiste o tutejszéj warowni powtórzyć:

Pożarł wszystko czas łakomy,
Mrą i ludzie, mrą i domy. (11)

nocnéj za rzeką Narwią, jedną nową a drugą starą wodległości wiorsty jednej, dwoma mostami od strony południa z miastem połączony, zaś od strony północnéj w kierunku wsi Tatarom piąciu mostami odłączony od lądu stałego. Otoczony był do koła wodą, a za tą błotami niedostępnemi. Miéjsce istnienia jego czyli murów jego wskazują gruzy i rozwaliny, w śród tych jest plac równy między wałami, na którym dotąd istnieje studnia w kształcie szesiogranu, wewnątrz marmurem wyłożona, obfitująca w wodę zdrową i wydostarczającą. Wież, basztów, bramów, niepozostało żadnego śladu, tylko wszędzie rozwaliny i zsepiska gruzów i kamieni zalegają. W tém miéjscu jest teraz Tamożnia i straż graniczna ze strony Cesarstwa.

(11) Nader przyjemną, a zarazem ważną przysługę, uczyniłby ten z uczonych któryby starożytne zamki, warownie, twierdze, gmachy świątynie z ubiegłych a odległych wieków pozostałe, opisami w jednym zbiorze alfabetycznie, lub w podziale kraju na prowincye jego, z dołączeniem rysunków ich, chociażby główniéjszych podał do wiadomości potomnych, a przeto nie jeden szczegół w ustach ludu istniejący, z prawdą częstokroć mijający się sprostował, i czyny istotnie zasługujących na pamięć ludzi uwiecznił, a zarazem niejednę ciekawą okoliczność, dla dziejów już to kraju, już to miéj-

19. Zdarzenia Historyczne.

Wyliczmy teraz z porządku rzeczy, zdarzenia historyczne zaszłe w tutejszym grodzie i przyległym mu zamku.

I. Król Zygmunt August wkrótce przed śmiercią swoją dla panującéj zarazy morowéj w Warszawie

scowości tyczącą się wykrył!.... Do zebrania podobnych wiadomości mamy już niemało posłużyć mogących materyałów, jakiemi są szczegółowe opisy grodów, warowni, gmachów, w różnych częsciach kraju istniejących, już to w pismach peryodycznych, a temi są: pamiętniki Warszawskie wydań Dmochowskiego, Ośińskiego, Bendkowskiego, Wileński, Pszczołka Krakowska, Mrówka Poznańska, Pamiętniki historyczne: Sandomierski, Płocki, Kolumb, Czasopismo Lwowskie, Kalendarzyki polityczne, rozrywki dla dzieci, Pismiennictwo Krajowe, Przegląd Warszawski, Magazyn Powszechny, Muzeum domowe, Opisy Litwy, Podola, Ukrainy i tym podobne, Noworoczniki, Biblioteka Warszawska, umieszczane; już też oddzielnie z druku w różnych czasach wyszłe jak n. p. Opisy Miast Krakowa p. Ambrożego Grabowskiego Poznania p. Łukaszewicza, Lwowa p. Chodynieckiego, Wilna przez Balińskiego, a późniéj przez Kraszewskiego, Lublina p. Sierzpińskiego, Płocka i Pułtuska przez W H. Gawareckiego, Warszawy p. Gołębiowskiego, Jarosławia p. Siarzyńskiego, i Opis starożytnéj Polski p. Święckiego.

W Niemczech znalazło się niemało w różnych czasach badaczów przeszłości, którzy z miłą ciekawością dla czytelnika, opisy starożytnych rycerskich zamków kraju swego z czasów feudalnych zebrali, a nawet warownie podobne w Prusiech,

w r. 1572 wątły mocno na siłach, przyjechał do Tykocina, i czyniąc rozporządzenie koło wzmocnienia tamecznego zamku, polecił Staroście miejscowemu Łukaszowi Górnickiemu, (12) aby Mnichy mający

w Szląsku, w Szwajcaryi, w Saxonii, w Bawaryi i. t. d. z głębokiem śledzeniem tych pamiątek opisane zostały. Niebądźmy poślední w tym przedmiocie naukowości, i jak przyswajamy sobie rozmaite wynalazki od okolicznych ludów, tak zapatrujmy się na ich zamiłowanie przeszłości i szczątków jakie im przodkowie w puściźnie zostawili.

(12) Górnicki Łukąsz Starosta Wasylkowski i Tykociński rodem z Krakowskiego, mąż nauką, dobrem obywatelstwem i sposobem myślenia, wyższy nad osoby i przesądy wieku swego. Urodzony około roku 1530 (lat temu 311) wychowanie szkolne odebrał w Akademii Krakowskiéj, które przyjętym w ówczas zwyczajem w obcych Akademiach kończył. Dalsze ukształcenie i wprawę dwory możniéjszych mu dały. Los dobry Górnickiemu zdarzył że się dostał na dwór Samuela Maciejowskiego Biskupa Krakowskiego, wówczas kanclerza W. koronnego, którego dom był cnoty i obywatelstwa szkołą. Po jego zejściu w domach wyższego znaczenia jako to: u Zebrzydowskiego Biskupa Krakowskiego bawił. Od tego przeszedł na dwór Zygmunta Augusta, któremu do pisania listów był podręcznym. Ten to Król język polski do używania w pismach urzędowych podniósł. Czytając nim pisane od Augusta do Panów rad listy niektóre, daje się poznać obfitość myśli, dobitność i jasność mowy Gornickiego. Umarł Zygmunt August r. 1572 dobroczyńca Górnickiego, bo od niego Starostwem Wasylkowskim i Tykocińskim był obdarzony. Górnicki z żoną swoją Broniewską z domu Chorążego Przemyślskiego córką, osiadł we wsi Lipnikach do sta-

klasztor w pobliżu zamku na inne miejsce koniecznie przenieśli się, chcąc ich klasztor znieść dla zamku. (13)

II. Słabym wielce Król ten z Tykocina przybywszy do Knyszyna, (14) tamże umarł dnia 7 Lipca tegoż

rostwa należącéj, tam w ustroniu wiejskiem używając słodyczy domowego pożycia, ziemiaństwu i naukom się oddał. Dzieła jego piśmienne są następujące:

1. Dzieje w Koronie Polskiéj od r. 1538 do r. 1572 w Krakowie r. 1567 wydane.

2. Rozmowa o elekcyi o prawie o obyczajach polskich, podczas elekcyi Zygmunta III. r. 1616 przez synów jego Łukasza i Jana wydana.

3. Dworzanin Polski w Krakowie 1566.

4. Rzecz o dobrodziejstwach Seneki wzięta w Krakowie r. 1593 w Drukarni Łazarzowéj.

5. Daemon Socratis czyli rozmowa złodzieja z diabłem r. 1624.

6. Wierszem przełożona Tragedya Seneki Troast w Krakowie 1589 r. w Drukarni Łazarzowej, przypisana Piotrowi Wiesiołowskiemu Sekretarzowi J. K. Mości.

(13) Kroniki Bielskiego wydania Gałęzowskiego Księgarza V. czyli T. VII. stronnica 249, klasztor którego Zygmunt August na inne miejsce przenieść roskazał, był O. O. Bernardynów, po którym tylko pozostają gruzy i cmentarz.

(14) Knyszyn odległe o mil 2 od Tykocina miasto podług opisu Gwagnina ozdobiono pałacem Królewskim, z ogrodem wielkim i zwierzyńcem kanałami poprzerzynanym. Zygmunt August w mieście tém z upodobaniem przebywał i polowaniem w przyległych lasach często bawił się. Żal i tkliwa pamięć Barbary żony, w sercu Króla tego zacnego nigdy niewyga-

roku, przeżywszy lat 52 wieku swego, a że w tém mieście jako wszędzie natenczas w Polsce wiele ludzi umierało, przez co z dworzan wielu od ciała królewskiego oddalało się, przeto toż ciało przewieziono do Tykocina z rozkazu rad koronnych i litewskich przybyłych do Knyszyna. Gdy zaś Zamek Tykociński, gdzie wszystkie skarby królewskie złożone były, dla wymarcia załogi pieszéj powietrzem, źle był strzeżony, przeto Stany w czasie bezkrólewia zgromadzone, poleciły Piotrowi ze Zborowa Wojewodzie Sandomirskiemu i Janowi z Tomic Kasztelanowi Gnieźnieńskiemu, aby wedle potrzeby tenże zamek zabezpieczyli. (15)

III. Gdy w roku 1573 zjechali się do Warszawy na Konwokacyą, tak Senatorowie jako i Posłowie od rycerstwa na dzień 6 Stycznia, od panów Litewskich przybyli posłowie w osobach: Ostafeja Wołłowicza Kasztelana Trockiego, Pawła Paca Kasztelana Witebskiego, między innemi żądaniami od panów Rad swoich umieścili, aby bez nich nic w Tykocinie nieruszano, ani tam otwierano, zatém polecono Wołłowiczowi z Kasztelanem Chełmińskim opatrzenie tego grodu. (16)

sły, przez całe życie od jéj zgonu, czarne suknie najczęściéj go okrywały, a wszystkie jego pokoje w Knyszynie, kirem wybite były na znak żałoby, po nieodżałowanéj nigdy małżonce. T. II. Str. 310 Pamiętników o Królowéj Barbarze p. Balińskiego w Warszawie 1837 i 1840 u J. Glücksberga.

(15) Kroniki Bielskiego księga VI czyli F. VIII str. 20.

(16) Tenże str. 29

Z tego okazuje się iż wówczas zamek Tykociński był składem znacznych skarbów.

IV. Zwłoki Króla Zygmunta Augusta r. 1573 dnia 10 Września z Tykocina najuroczyściéj do Krakowa przeprowadzone zostały (17) przy wielkim zebraniu się Senatorów, stanu rycerskiego, księży i ludu.

V. Po zejściu tego monarchy, Stany państwa naznaczyły siostrze jego królewnie Annie, na utrzymanie 2,000 złp. na miesiąc i dochody starostwa Warszawskiego, Łomżyńskiego, Tykocińskiego, Bielskiego, i Wiskiego. Działo się to r. 1574. (18)

VI. Za panowania Władysława IV Króla Polskiego, Krysztof Wiesiołowski wielki Marszałek Xięstwa Litewskiego postanowił wyfundować szpital na 12 żołnierzy szlachty w wojsku zasłużonych, w mieście Tykocinie, którego on podówczas był starostą. Tym celem dobra swoje dziedziczne Dolistów i Radzie, w Województwie Podlaskiém, a ziemi Bielskiéj leżące, temuż szpitalowi przeznaczył, i one urzędownie w Kancellaryi wielkiéj koronnéj, pomienionemu szpitalowi zapisał; dozór szczególny nad tymże, wielkim koronnym Hetmanom na zawsze poruczając, onymże zasłużonych, ranami w bitwach poniesionemi okrytych, lub podeszłym wiekiem na

(17) Programa tego przeprowadzenia znajduię się w Pamiętniku Sandomierskim z r. 1829 F. II. str. 441.

(18) Panowanie Henryka Walezego i Stefana Batorego p. Albetrandego w Warszawie w Drukarni Zawadzkiego 1823 r. F. I. str. 45.

służbie wojskowéj strawionym, osłabionych żołnierzy, szlachty w tymże szpitalu umieszczać zupełną moc nadał. Urząd zwierzchniczy nad wmowie będącym instytutem najbliższy po Królu i wielkim Hetmanie koronnym, z mocy pozwolenia sobie od Rzeczy-pospolitéj udzielonego, do ostatnich życia swego dni, w osobie swojéj a naprzyszłość po zgasłém swém życiu, w osobach Starostów Tykocińskich, czasowo będących, a wtenczas istniejących, jako z bliska na życie i obyczaje umieszczonych w szpitalu tym żołnierzy patrzéć mogących, ustanowił, z tym atoli wyraźnym obowiązkiem, iż oni tych tylko do szpitala rzeczonego żołnierzy przyjmować będą mocni, których Hetman wielki koronny za zasłużonych uznawszy, zanominuje. Podobnież wewnętrzną administracyą, już to szpitala w mieście Tykocinie, swym kosztem wymurowanego, już to dóbr Dolistowa z wsią Radzie, na utrzymanie tegoż szpitalu i w nim umieszczonych żołnierzy przez siebie zapisanych, przy tych samych starostach Tykocińskich pozostawił, z tym obowiązkiem iż oni z największą wiernością i przemysłem jako dobrzy ojcowie familij pomienionemi dobrami zarządzać, żołnierzom w szpitalu umieszczonym, przeznaczoną pensyą regularnie co kwartał z góry opłacać, budowle wszelkie tak do gmachu Szpitalem Tykocińskim zwanego, należące, jakoteż i w dobrach onemuż zapisanych znajdujące się w całości i w dobrym porządku utrzymywać, należytość Wikaryuszom Kościoła Dolistowskiego z dóbr tychże przypadającą opłacać, i nakoniec co trzy lata Kom-

missarzom przez Króla wyznaczonym z administracyi swéj rachunki składać są obowiązani. (19)

Fundacya ta zabezpieczoną i potwierdzoną została Konstytucyą Sejmu koronnego Władysława IV. w r. 1633 w Krakowie, pod tytułem: Szpital Tykociński. (20)

Szacowna ta ofiara z dóbr własnych przez czcigodnego męża dla ulgi cierpiącéj ludzkości uczyniona, niestety! przez nadanie późniéj Tykocina i Starostwa tegoż nazwiska Stefanowi Czarnieckiemu celu swego arcychwalebnego, na który przeznaczoną była, niedoszła, i mimo sprawiedliwéj reklamacyi familii fundatora niegdy Krysztofa Wiesiołowskiego W. Marszałka W. Xięztwa Litewskiego, niepamięci jest oddana!

(19) Obszerny i uzasadniony wywód fundacyi Krysztofa Wiesiołowskiego W. Marszałka W. Xięstwa Litewskiego w Tykocinie, jest w prośbie do Prokuratoryi Jlnéj Kró, Pol. przez sukcesora fundusz czyniącego tegoż imienia Krysztofa Wiesiołowskiego Obywatela i Członka Towarzystw uczonych pod datą 20 Grudnia 1821 r. zaniesionéj, wyłuszczony.

(20) Volumen Legum III. fol. 813 w te słowa:

«Fundacyą szpitala żołnierskiego w Tykocinie, którą W. » Krysztof Wiésiołowski Marszałek nasz nadworny W. Xięs- « twa Litewskiego na majętności swéj dziedzicznéj w Wo- « jewództwie Podlaskiem, nazwanéj Dolistowie uczynił i o- « nęż w Kancelaryi Naszéj W. koronnéj personaliter przy- « znał, za prośbą onegoż, a zgodą i konsensem wszech Sta- « nów we wszystkich punktach in toto approbujemy i że- « by pomienione dobra, ani in toto, ani in parte, na ża- « dną inszą rzecz przez Nas, ani potomki Nasze obrócone « niebyły, mocą tego Seymu in perpetuum warujemy.

Czy urządzony w Tykocinie przez Hetmana Branickiego tak zwany Alumnat dla 12 wysłużonych żołnierzy z funduszem na dobrach Tykocińskich i Choroszczy przeznaczonym, odpowiada fundacyi Krysztofa Wiesiołowskiego, nie jest wiadome piszącemu, i do badań jego nie należy.

VII. W roku 1657 dnia 17 Stycznia, jak opisuje Samuel Pufendorf (21) Hetmani Litewscy Sapieha i Gosiewski, miasto Tykocin na Szwedach, w czasie ich napadu piérwszego na kraj Polski opanowane, odzyskali. Naglony do poddania się dowódzca Szwedzkiéj załogi 500 ludzi wynoszącéj, na zamku Diterik Roia (Dieterich Reie) w rozpaczy zapaliwszy prochy, siebie, garnizon i część zamku na powietrze wysadził. (22)

VIII. W czasie powtórnego najazdu Szwedów Karol XII w r. 1703 twierdzę Tykocińską zdobył, którą późniéj Polacy odzyskali, przy klęsce zupełnéj ze strony opierających się w zamku Szwedów, poniesionéj. (23)

W zapasach dopiéro przytoczonych wojennych, warownie tutejsze w swoich uzbrojeniach wiele szkody poniosły.

IX. W roku 1705 dnia 1 Listopada Król August II. po odbyciu podróży z niebezpieczeństwem życia przy-

(21) W dziele swoim Historya gestarum Caroli Gustavi.

(22) Opis starożytny Polski p. Swięckiego Wyd. II. z r. 1828 T. I, str. 445.

(23) Załuski w dziele Epistolae familiares T. IV. str. 440.

był do Tykocina w towarzystwie trzech tylko osób (24) tamże dnia 3 tegoż miesiąca ustanowił, czyli raczéj wznowił Order Orła Białego z napisem: *za wiarę, prawo i Króla*, którego medale z wizerunkiem swoim, wiernym sobie przyjaciołom rozdał. (25)

(24) Jeografia wschodniéj części Europy czyli opis krajów przez wielorakie narody Słowiańskie zamieszkałych przez Stanisława Platera w Wrocławiu u Korna r. 1825 str. 187 187.

(25) Po zalaniu Polski przez zwycięzkie wojska Karola XII. kiedy Augusta zmusił do ustąpienia z kraju, Król ten przedsiewziął niebezpieczną do Tykocina podróż, w towarzystwie 3ch tylko osób dla widzenia się z Piotrem W. Imperatorem. Już w pobliżu miasta ujrzał że mocny oddział Szwedów zastępował mu drogę, w tak groźném niebezpieczeństwie szuka bezpieczeństwa dla siebie w dworze Ziemianina Polskiego. Przybywa śpiesznie, ale jakież było zadziwienie Augusta, gdy ujrzał w osobie gospodarza(którego nazwiska dzieje nam niezachowały) jednego z najzaciętszych nieprzyjaciół swoich, pomięszany zaledwo zdoła wymówić » żądam schronienia, Szwedzi w około « kiedy w spaniały odpowieda Ziemianin:

«Najjaśniéjszy Panie! lubo wam nieprzyjazny, gdy żądasz »przytułku, niezawiedziesz się bynajmniéj. Żądaj wszystkiego »a ręka i serce jest na usługi Waszéj Królewskiéj Mosci. Nie»obawiaj się niczego, po moim chyba trupie, dostaną Szwe»dzi waszą osobę » Jakoż niemniej dotrzymał słowa, i gdy minęło niebezpieczeństwo Król August udał się do celu podróży swojéj. *Kaz. Wl. Wóycicki w Artykule Gościnność.*

W rozwinięciu postanowienia swego w roku 1703 Statuta Orderu tego przepisał. (26)

Pamięć czynu tego uwieczniają trzy medale z tego powodu wybite. (27)

(26) Królowie Polscy dawniéj rozdawali łańcuchy złote z orłem białym i godnością kawalerską, przy koronacyach i uroczystościach radośnych zwyczajem w całéj Europie używanym, aż do Zygmunta III, zatém starodawność orderu orła białego nie wywodzi się od r. 1705 lub r. 1713 lecz albo od Przemysława I. albo od Władysława Łokietka. Ci którzy temu ostatniemu przypisują ustanowienie orderu tegoż, powiadają że na weselu syna swego Kaźimierza III. z Anną Gedyminówną był wprowadzony. Równość i niedostatek wyraźnych statutów przyczyny były podobno, że zaniedbano order orła białego. Wszakże gdy Władyslaw IV. o innym Niepokalanego poczęcia Najświętszéj Panny zamyślał orderze, jakoby się ordery z równością szlachecką w Rzeczypospolitéj niezgadzały, zaniechać musiał zamiaru tego. Dzieje Króla Polskiego przez I. S. Bandkiego Wyd. II. w Wrocławiu u Korna 2820 r. T. II. str. 491—492.

(27) Jako to: *Pierwszy* S. G. Głowa bez żadnéj ozdoby z prawéj strony z napisem D. G. August II. Rex Polon. Elector Saxon: u dołu imie snycerza H. P. Groshart.

S. O. krzesło tronowe nad którém korona, a obok niéj z obu stron po jednym orle, z pod korony zwieszona wstęga orderowa z wiszącą spinką gwiaździstą, a we środku gwiazda, na któréj wyrazy: *pro fide, rege et lege*, w około *Restaurator ordinis aquilae albae*. W średnicy 32 linii, złoty, ważący 26 dukatów.

Drugi, jest podobny poprzedzającemu srebrny, ważący dwa łuty, w szrednicy 22 linii.

X. W tymże samym czasie Król August II, z Cesarzem Piotrem W. zjechawszy się w Tykocinie, stałą przyjaźń i pomoc wzajemną ponowili, i ztąd obadwa Monarchowie do Grodna udali się. (28)

XI. W tymże roku 1705 szlachta pod protekcyą Cesarza Piotra W. tu zebrana, zaniosła manifest przeciw elekcyi Stanisława Leszczyńskiego na tron Polski nastąpionéj. (29)

XII. W roku 1809 w czasie opanowania Warszawy przez wojska Austryackie, rząd ówczasowy objęty Radą Stanu, przeniósł się do Tykocina, gdzie cztery tygodnie przebywał, aż wojska nieprzyjacielskie z Warszawy w dniu 1 Czerwca tegoż roku ustąpiły.

Obraz niniejszy miasta Tykocina co do główniejszych szczegółów skreślony, daje czerpać przekona-

Trzeci S. G. Popiersie w zbroi w lewą patrzące, ze wstęgą orderową wiszącą z ramienia lewego, nad głową glob ziemski, w około: D. G. *Fridericus Augustus Rex Poloniae et Elector Saxon.*

S. O. Rozpostarta sama wstęga orderowa z wiszącą gwiazdą. W pośrodku zaś ośmioro kończasta gwiazda, na któréj są wyrazy *pro fide, rege, et lege. Restaurator ordinis Aquilae Polonicae.* Wszrednicy 23 linii, srebrny, ważący 2¼ łuta.

Spis medalów polskich p. Felixa Bentkowskiego w Warszawie 1830 r. str. 104 i 105.

(28) Historya Książąt i Królów krótko zebrana przez Teodora Wegę w Wilnie u Zawadzkiego 1824 r. str. 348 i Ryz Historyi Polskiéj p. Józefa Miklaszewskiego w Warszawie 1829 r. str. 365.

(29) Swięcki w opisie Polski z r. 1828 T. I. str. 446.

nie, iż dla położenia swego nad rzeką spławną wśród równin gruntu klassy II urodzajnego co do plonu żyta i jarego zboża, łąk i pastwisk, jak niemniéj łatwości posiadania drzewa do budowy i opału, miejscem jest dogodném dla mieszkańców do zakładania fabryk siły wody do działań swoich wymagających zdatném, zaś będąc miastem granicznem z Cesarstwem, posiada sposobność do handlu, jakoż nie można zaprzeczyć, iż Starozakonni w liczbie przewyższającéj Chrześcian tu osiedli, znaczny handel na różne przedmioty prowadzą, w ogólności uważając, sposób do życia dla mieszkańców Tykocina, jest dostatecznie zabezpieczony.

Wincenty Hipolit Gawarecki.

GOŚCIE.

MAMA

Skaczcie, dziateczki z radości:
Mieć będziecie miłych gości.

DZIECI

Czy Salusia i Juliś ze wsi powrócili?

MAMA

Nie Juliś, nie Salusia, a jednak wam mili.

DZIECI

Któż taki?

MAMA

Nie pytajcie, bez téj ciekawości
Dosyć, że ulubionych mieć będziecie gości.

Milczą dziatki, cierpliwie czekają téj chwili,
Aż upragnieni goście nareszczie przybyli.
Co za radość niespodziana
Biegnie gromadka kochana
Lubych gości biegnie witać
Szczęście w oczkach można czytać.
O ja rozumiem uciechę tych dziatek,
Są to Dziadek i Babka z pod Kościelnych chatek,
Z tych niskich białych domeczków
Przyjęto ich za kumeczków,
Rodziców chrzestnych nazwanie im dano
A skoro przyjdą czy wieczór czy rano
To dziateczki wybiegają,
Na szyję im się wieszają,
Ten z jabłuszkiem, ten z gruszeczką,
Masz Dziadeczku, masz Babeczko!
Dziadek i Babka aż płaczą z radości
Boże—mówią—błogosław Panu i Jejmości
Że w młodziuchne serduszka tę miłość wpoili
Że paniątka nie będą ubogim gardzili.
Niech Anioł stróż pilnuje tych kochanych dziatek,
Niech tych co i my starzy doczekają latek.
Wszyscy się popłakali, płakali z radości
Zawsze z otwartém sercem witali tych gości.

Stanisław Jachowicz.

SONNET.

POETY ANGIELSKIEGO ROSCOC DO SWOICH KSIĄŻEK,

KIEDY MUSIAŁ JE SPRZEDAĆ DLA ZASPOKOJENIA WIERZYCIELI.

Kto z przyjaciołmi musi rozstać swemi
Tą tylko myślą ciężką żałość słodzi,
Że znów mu przyjdzie gdzieś spotkać się z niemi,
Znow w ich uściskach swe smutki nagrodzi.

Tak ja was rzucam, rzucam bez wzruszenia,
Wy światła dawce wy wielcy mężowie!
Ach! jak mi lube są chwil tych wspomnienia,
Którém je z wami przepędzał w rozmowie.

Może nim rok ten, nim ten dzień przeminie,
I ja zobaczę blask lepszego słońca;
Duch mój się wolny wzniesie w téj krainie,
Gdzie wieczna mądrość, panuje bez końca.
Tam się znów z wami wielcy przyjaciele
Spotkam, lecz nigdy już się nie rozdzielę.

Ant. . . Go. . . . .



Zamek Jazłowiecki.

Może nim rok ten, nim ten dzień przeminie,
I ja zobaczę blask lepszego słońca;
Duch mój się wolny wzniesie w téj krainie,
Gdzie wieczna mądrość panuje bez końca.
Tam się znów z wami mili przyjaciele
Spotkam, lecz nigdy już się nie rozdzielę.

Ant. . . Go. . . . . .



Zamek Jazłowiecki.

ZAMEK JAZŁOWIECKI.

(z ryciną.)

Zamek ten obronny między rzekami Strypą i Hnierolą położony, w blizkości granic Multan, był gniazdem sławnego i bitnego rodu Jazłowieckich. Na początku XV. wieku zasłynęło to gniazdo dzielnych wojowników, i o wszystkich można powiedzieć, co wyrzekł jeden z historyków o ostatnim tego rodu zmarłym bezpotomnie w 1607 za Zygmunta III.,—że bitwy były dla niego igraszką, obóz domem, koń siedzeniem, odzieniem żelazna zbroja, tańce z Tatarami zabawą.

Żaden z pisarzy nie zachował nam najlżejszego obrazu tego Zamku, który tyle szturmów wytrzymał, tyle burz brzemiennych piorunami był świadkiem.

Przed rokiem 1444 wspominają dzieje piérwszego tego rodu Michała Jazłowieckiego. Potomek jego Wacław za Jagiełły wojownik, pogromca Tatarów, późniéj pustelnik na puszczy.

Ale ze wszystkich tego rodu, dzielnym pomysłem wsławił się za Zygmuta III Mikołaj Jazłowiecki Starosta Sniatyński. Kiedy horda krymskich tatarów zajętą była najazdem Węgier i Siedmiogrodu, Jazłowiecki postanowił wpaść do Krymu, zniszczyć Tatarów w ich gnieździe, pomścić się krzywd polskich, i Krym opanować. Zwabia poczet śmiałych junaków nadzieją bogatego łupu, wpada do Krymu z dobranym rycerstwem ale w niebezpieczeństwie opuszczony, zdradzony, nieprzeżył zawodu i hańby. Myśl wielka godna pomnika, nieznalazła wsparcia u Zygmunta III. Gdyby się była udała, od ilużby klęsk zbawiła.

Pamięć piastuna wielkiego pomysłu, w pyle zapomnienia została, a gniazdo jego—zwaliska smutne.

Na jego synu Hieronimie zmarłym bezpotomnie, ród Jazłowieckich wygasł: jaśniejąc w dziejach przeszło półtora wieku. Zamek przeszedł wraz z licznemi włościami w obce ręce, opuszczony zniszczał, na ruinach omszonych, nosząc jeszcze nazwę rodu sławnego.

O PRZYJAŹNI I PRZYJACIOŁACH.

Wielu bardzo pisali o przyjaźni, a naprzód Cycero, a na ostatku u nas podobno w owym traktaciku wydanym w Dobromilu, co to go poczciwy Żukowski w Wilnie przedrukował; dla tego zapewne że teraz nikt już traktatu o przyjaźni niepotrafi napisać, chyba zbierając o niéj wieści, jak o malarstwie u Greków i Rzymian, jak o wszystkich rzeczach zatraconych. Pytam się, kto widział temi czasy żywą przyjaźń i żywych przyjaciół? Pojmuję doskonale nienawiść, miłość, namiętność, szacunek, przywiązanie, ale co to się zowie przyjaźń?

Czy to ten spokojny nałóg, co przywiązuje dwóch ludzi do siebie, jak konia i capa razem w stajni stojących?

Czy to utwor zgodności charakterów?

A dowiedzioną jest rzeczą, że zgodnych charakterów ludzie na śmierć się z sobą nudzą i sobą gryzą.

Czy to harmonia charakterów? Pytam się gdzie ją znajdziesz?

Przyjaźń jaką nam odmalowali starożytni, przyjaźń Oresta i Pilada, to połączenie i poświęcenie dla siebie, to namiętne ukochanie wzajemne, ta gotowość na wszystko; przyjaźń taka dziś należy do krainy w któréj żyją gryfy, fenixy, centaury.
Przyjaźń ta znajduje się u nas malowana, pisana, kłamana, ale żywéj nie masz. Nawet zważcie, że jéj teraz wcale już nieopisują poeci i pisarze, tak w nią nie wierzą.

Cóż to teraz przyjaciel?

Przyjaciel, to narzędzie, posługacz, powiernik, szkatułka, kuchnia, co chcesz, przyjaciel, to ten z którym będąc sobie bez ceremonii, karmisz go najgorszém, poisz najkwaśniejszém, witasz niegrzecznością, żegnasz szyderstwem; przyjaciel to ten co się za nic nie gniewa i daje sobie jeździć po nosie. Przyjaciel jeszcze to ten co ci pochlebia, przyjaciel co plotki znosi, przyjaciel co ci pieniędzy pożycza (ale nie swoich) ach! i wieluż jeszcze!

Wszystko to przyjaciele.

Teraz przyjaciel przetłómaczony na nowożytne języki, co do słowa, znaczy—narzędzie. Do czego? Ró-

żnie bywa użyty, ale zawsze to narzędzie tylko, do zabicia czasu, do zrobienia interessu, do wyszukania pieniędzy, czasem do zbałamucenia żony nawet. W przyjaźni teraźniejszéj jest poświęcenie także, ale z tą różnicą, że dawniéj poświęcano się dla przyjaciół, a teraz przyjaciół się poświęca.

Wielka rzecz poświęcić przyjaciela, kiedy ich kopami, jak ekonomów na służbę, stręczy ci się po ulicach. Stracisz jednego, masz na to miast dziesięciu. Za drugą wizytą, za trzecim listem, niezawodnie już przyjaciel. Biedny Puszkin narzekał na przyjaciół, o i czemuż lepiéj i sprawiedliwiéj, nie oburzał się na przylepienie tego imienia, do istot bez duszy, jak płaskorzeźby, albo złamanéj starożytnéj kolumny, do lepianki pastuszéj! Tak dziś sponiewierano to imie? Wyidealizowano miłość nowszemi czasy, a zbłocono imie przyjaźni, tak że na prawdziwego przyjaciela trzebaby imienia nowego. I zważcie jakto zawsze język maluje historyą czasów: mówi się *prawdziwy przyjaciel*, bo najwięcéj jest nieprawdziwych a nie można bez śmieszności powiedzieć *prawdziwy kochanek*, bo kochanek każdy prawdziwy, choć może nie na długo.

W towarzystwie prezentuje się zwykle każdego gospodyni domu, tem: — mój przyjaciel, pan....

— Dawnoś go poznał?

— Wczoraj wieczorem.

Oczewiście musi się nazwać przyjacielem, bo jakie mu dać imie! przyjaźń to szeroki chomąt na wszystkie konie, choć komu karku nadetrze, — cóż to szkodzi.

W miarę jak cywilizacya postępuje, przyjaźń i gościnność znikają. Będą to wkrótce dwie cnoty bajeczne, których szukać trzeba będzie u dzikich ludzi, u barbarzyńskich narodów. Znamię wieków—miłość własna, intronizowana w sercu i w głowie, któréj nikt się już nie wstydzi, któréj wszyscy wszystko poświęcają, uczyniła przyjaźń niepodobną. Co dziś obchodzi najbardziéj człowieka? jusciż nie pozyskanie przyjaciół, nie zarobienie na szacunek, na spokojność sumienia,—ale pozyskanie jak największéj summy, dobrego bytu, majętności, bogactwa. Zawsze ceniono złoto od niepamiętnych czasów, ale nigdy tyle co dziś. Dawniéj przynajmniéj poeci i filozofowie zwali je podłym kruszcem.

Dziś nawet poeci tego niepotrafią, chyba z staréj szkoły i to przez czyste naśladownictwo bez uczucia.

Przyjaźń to była cnota innych zupełnie czasów, czasów bohatérskich, czasów poświęceń i heroizmu, bo przyjaźń nie ostoi się bez ofiar, a dzisiejsi ludzie nie pojmują ofiary, chyba upewniwszy się, że za nią wróci podwojony kapitał.

Nic darmo, — stoi na chorągwi wieku napisano. Wszyscy popychają się, rwą, biegą, pędzą, padają, roztrącają;—ku nabyciu fortuny. Jestże tu czas myśleć o przyjaźni, i obciążać się przyjacielem. Dawniéj także robiono fortuny, ale spokojnie, powolnie, rachunkiem, oszczędnością,—dziś prędko albo nigdy. Starosta lub Kapucyn. I na co się zda przyjaciel, gdy rachub i widoków powierzyć nie można, gdy na ich utajeniu często zależy wygrana?

Ilekroć słyszę mówiących o przyjaźni, o przyjaciołach, zawsze się rozśmieję, jest to stara lokucja, którą posłyszysz w ustach tych co jeszcze mówią o Apollinie i Muzach; młode pokolenie, nawet w wieku przyjaźni, już jéj nie pojmuje, już potrzeby jéj nie czuje, nie rozumie słodyczy. Za sto lat zastanawiać się będą, czy przyjaźń istotnie exystowała kiedy, i czy tylko nie jest ona zmyśleniem czystem.

J. J. Kraszewski.

CHŁOPEK.

W szarawéj sukmance, w czapce barankowéj
Szedł Walek z rodzicem raz do Częstochowéj
Bo kiedy dziecina ciężko chorowała
Matula ją Matce Najświętszéj oddała.
Do miejsca świętego szli o suchym chlebie,
Niedbali o ciało, myśleli o niebie,
Nasz chłopek poczciwy ceniąc przedsiewzięcie,
Post, szlub uczyniony spełnić umié święcie.
Szli polem i lasem, godzinki śpiewali
Miasteczka i wioski w przechodzie mijali,
I na Jasnéj-górze stanęli w kościele
Pobożnego ludu zastali tam wiele.

I serce im rosło patrząc na te dziwy,
Jak wraca nie jeden uzdrowion szczęśliwy.
I padli na twarze, i Boga błagali
Dobyli grosiwa, ubogim rozdali
Kupili ofiarki, złożyli na tacy
I z sercem wesołém wracali biedacy.
I niechże kto powié lud prosty bydlęta,
O zajrzyjcie w serca jest tam iskra święta
Jest czucie głębokie jest cnota prawdziwa
Tylko ją szarawa sukmana zakrywa.

Stanisław Jachowicz.

DUMANIE.

O jak nieszczęśliwy człowiek
Bezustanku od powicia
Do zawarcia swoich powiek,
Pod okropnym nieszczęść ciosem,
Błąka się z ciężarem życia,
Między słabością i losem.
Przeszłość dla niego tęschnotą,
Chwila co wraz z nim upływa
Jest boleścią i zgryzotą,
Przyszłość tylko jest szczęśliwa;
Z przyszłością się samą pieści,
Lecz nim zgoni przyszłość złotą
Kończy życie w śród boleści.

Czasem slodycz się nawinie,
Słodycz jak ta róża biedna,
Co wsród grobów się rozwinie,
Na cmentarzu—sama jedna!

O ty straszny gromów biciem
Do którego się podnosze,
Coś mię skarał moim życiem,
Nim się nieszczęścia podwoją,
Ach powróć moje roskosze,
I oddaj mi nicość moją.

A. S.

LEGENDA
O KOŚCIELE KATEDRALNYM
W KOLONII.

PRZEZ

KAROLA KORWELLA.

LEGENDA
O KOŚCIELE KATEDRALNYM
W KOLONII.

Wspaniały pomnik architektury gotyckiéj wieków średnich, kościół katedralny w Kolonii, lubo niedokończony, obudzał podziwienie i uwielbienie powszechne. W roku 1842 Najjaśniejszy Król Pruski Fryderyk Wilhelm IV, postanowił przyprowadzić do końca budowę tego przepysznego gmachu, szczodrą ręką wyznaczywszy na ten przedmiot znaczne summy. Tak po kilku wiekach zaniedbania, dokonaném będzie to wielkie dzieło. Dziś przeto, kiedy uwaga powsze-

chna zwrócona jest na nie, spodziewamy się okazać czytelnikom naszym przysługę, podając piękną Legendę o kościele katedralnym w Kolonii, wyjętą z Wycieczek nad brzegi Renu, jednego z celniejszych spółczesnych pisarzy francuzkich Alexandra Dumas, którego twory wysoką wziętość w całéj Europie pozyskały.

I.

Engelberg Arcybiskup, przezwany Świętym, piérwszą powziął myśl, około roku 1225, wzniesienia katedralnego kościoła w Kolonii; lecz dopiéro następca jego Konrad Hochsteden, zamierzywszy około 1247 roku przyprowadzić tę myśl do skutku, wezwał najpiérwszego budowniczego miasta i rozkazał mu dźwignąć pomnik, któryby w architekturze kościelnéj przewyższył wszystko, cokolwiek najpiękniejszego dotychczas znajdowało się. Dla dopięcia celu tego, oddawał mu do wolnego szafunku skarbiec kapituły, jednéj z najbogatszych na całym świecie, i kopalnie marmurów w Drachenfels, najwyższéj z siedmiu gór.

Było to oświadczenie takiego rodzaju, jakie zmysły prawie odbiera artyście; ten więc którego wezwał czcigodny pasterz, wyszedł z pałacu arcybiskupiego, powątpiewając jeszcze czyli istotnie dano mu polecenie tak chlubne: wszelako uwierzyć musiał, gdyż tego samego dnia Konrad nadesłał mu trzos pełen złota na opędzenie piérwszych wydatków.

Architekt do którego się udał szczodry pasterz, był skromny jak człowiek genialny; przedsięwziął zatém zwiedzić najpiękniejsze kościoły Niemiec, Francyi i Anglii, wprzód nimby rozpoczął budowę w Kolonii. Poszedł przeto do arcybiskupa i prosił o zezwolenie na podróż. Konrad udzielił pozwolenie lecz pod warunkiem, iżby architekt powrócił po upływie roku. Artysta błagał, ale nadaremno, o kilka miesięcy więcéj; rok tylko mógł otrzymać, tak gorąco bowiem pragnął Arcybiskup przyprowadzić swój zamiar do skutku.

Po upłynionym roku powrócił architekt mniéj pewny siebie niżeli kiedy odjeżdzał. Nie wahał się bynajmniéj w mistycznym pomyśle swojego dzieła: to jest postanowił że kościół mieć będzie dwie wieże, dla przypomnienia iż chrześcianin obie ręce wznosić powinien ku niebu; że mieć będzie dwanaście kaplic na pamiątkę dwunastu apostołów; że zbudowany będzie w kształcie krzyża, ażeby wierni nie zapominali ani przez chwilę o znaku swego odkupienia; że chór ma być nieco więcéj pochylony ku stronie prawéj niżeli ku lewéj, gdyż Jezus Chrystus umierając, skłonił głowę swoję na prawe ramię; wreście że oł-

tarz wielki oświecać mają trzy okna, ponieważ Bóg jest we trzech osobach, a wszelkie światło od Boga pochodzi. Lecz to wszystko było, iż tak rzekę, duszą owego pomnika; zostawało jeszcze ciało jego, kształt zewnętrzny, to jest widzialne przetłumaczenie owej myśli religijnéj, tak potężnéj w wiekach średnich, która życie nadawała granitowi: formy téj właśnie szukał architekt z rana, wieczorem, w każdéj godzinie dnia i wszędzie, gdziekolwiek się znajdował.

Raz po południu, kiedy ciągle rozmyślając nad swoim planem, niepostrzegłszy się wyszedł za mury miasta i przybył w miejsce przechadzki zwane bramą Franków, usiadł na ławce, i laseczką kreślić zaczął na piasku facyaty i profile gmachu katedralnego, zacierając wszystkie wprzód niżeli je ukończył, bo wszystkie wydawały mu się niedoskonałemi i miernemi, obok wspaniałego pomnika jaki aniołowie budowali w jego wyobraźni; nareście, po wielokrotnych próbach, udało mu się dojść do pewnéj całości, pełnéj wielkości i majestatu, na którą już spoglądał z niejaką radością, gdy usłyszał po za sobą następne słowa ostrym wyrzeczone głosem:

—Brawo! przyjacielu, wybornieś oddał katedrę Sztrasburgską.

Architekt obrócił się i ujrzał stojącego za sobą, z głową niemal opartą na jego ramieniu, małego staruszka ze spiczastą brodą, z zapadłemi a iskrzącemi się oczyma, z uśmiechem szyderskim na ustach. Ubrany był w czarny kaftan, który tak mu przylegał do ciała, że możnaby mniemać iż uszyto go ze skóry, wy-

chudlejszego jeszcze niżeli on murzyna. Stawiąc się w podobnéj postaci niemógł staruszek obudzić w architekcie żywéj sympatyi: ale ponieważ postrzeżenie jego było trafne, i gdy artysta przekonał się, iż mniemając że tworzy nowe dzieło, powtarzał tylko to co utkwiło w jego pamięci, nie broniąc przeto swego utworu, odpowiedział z westchnieniem: Prawda. Potém zatarł na piasku rysunek i zaczął nowy. Lecz zaledwie laseczka skreśliła na ruchoméj tablicy piérwsze linije innéj budowy, tenże głos wrzaskliwy, przy tymże samym szyderskim uśmiéchu, zawołał:

—Przewybornie! właśnie to jest katedra w Rheims.

—Tak, tak—rzekł zcicha artysta—i lepiejbym uczynił gdybym tu pozostał i nic niewidział, bo niemasz prawdziwego twórcy, jedno Bóg.

—I szatan—pomruknął staruszek głosem takim, iż artysta zadrzał cały.

Ale ponieważ jedna i wiekuista myśl go zaprzątała, zatarł znowu nieszczęśliwe linie, niezwracając uwagi na metalliczne brzmienie owego głosu, i wziął się znowu do pracy. Tak się zajmował przez kwadrans, zachęcany mile przez sąsiada, który mu szeptał do ucha: Dobrze, bardzo dobrze, wybornie! w tém nagle go zapytał:

—Musiałeś, jak widać, wiele podróżować?

—A to czemu?

—Bo przebiegłszy Alzacyą i zwiedziwszy Francyą, powróciłeś przez Anglią.

—Któż ci to powiedział?

—Rysunek tego kościoła, to jest katedry w Kantorbery.

Artysta wydał głęboki jęk. Krytyka małego staruszka była okropna, ale sprawiedliwa. Zatarł więc nogą rysunek; potém, w zapędzie niecierpliwości, obrócił się do staruszka, i podając mu laseczkę, rzekł:

—Hola, mój mistrzu, ty który jesteś tak dobrym krytykiem, czy niemógłbyś połączyć przykład z teoryą i okazać z kolei co sam umiesz?

—Chętnie,—odpowiedział staruszek z ustawicznym uśmiechem, biorąc do rąk laseczkę.

Architekt chciał mu ustąpić swego miejsca, lecz on, skinieniem głowy oświadczywszy iż nie trzeba, oparł się jedną ręką o ramię artysty, a drugą, bez podpory trzymając w powietrzu, kreślić zaczął na piasku nowe rysy, tak śmiałe, a zarazem tak wytworne i poprawne, że artysta zawołał:

—Ach! widzę dobrze, że jesteśmy bracia.

—Powiedz raczéj,—odrzekł urągliwie staruszek—że jesteś uczniem, a ja mistrzem jestem.

—Gotowem to przyznać—odpowiedział artysta z dobrą wiarą prawdziwego geniuszu;—lecz trzeba abym wprzód widział coś więcéj niżeli pojedyncze linie. Szczegóły są niczém, ogół wszystko stanowi.

—Dobryś, możnaby z ciebie co uczynić—rzekł staruszek;—lecz mi się niechce więcéj zrobić.

—Dla czego? zapytał architekt.

—Bo przyswoiłbyś mój plan.

—Masz więc także budować kościół katedralny?

—Spodziewam się.

—A gdzie?

—W Kolonii.

—Jak to? mój kościół?

—Twój?

—Mój, bezwątpienia.

—Tak, jeżeli przygotujesz plan?

—Przygotuję.

—I ja także: Konrad Arcybiskup wybierze jeden z dwóch.

Architekt zbladł.

—Ach! ach!—zawołał nieznajomy urągając się,—to cię w kłopot wprawia, kolego; lękasz się aby ci niekazano zwrócić trzos złota, dany przez arcybiskupa, a które wyjąwszy sto talarów, rozszafowałeś na niepożyteczną podróż po Francyi i Anglii!

Architekt spójrzał w koło siebie, widział że wieczór nadchodzi, i że jest sam na sam ze staruszkiem.

—Słuchaj—rzekł—niewiem zkąd się dowiedziałeś że mi pozostało jeszcze sto talarów z zadatku jaśnie oświeconego Konrada; lecz dokończ rysunku któryś zaczął, a te sto talarów będą twoje.

Staruszek parsknął od śmiechu, i dobywając z kaftana skórzaną sakiewkę, rozwiązał i pokazał artyście że pełna była dyamentów, z których najmniejszy miał wartość przynajmniéj tysiąca talarów w złocie.

Architekt westchnął głęboko, widział bowiem że niemasz sposobu przekupienia tego człowieka; stał więc osłupiały i przerażony, mimowolnie bowiem uznawał wyższość w nieznajomym architekcie, dziwną

i niezaprzeczoną wyższość pod względem sztuki. Tymczasem staruszek przydał niedbale do zaczętego planu kilka nowych linij tak przecudnie śmiałych, że architekt przekonał się iż zginie, jeśli mu przyjdzie walczyć z podobnym człowiekiem. Wtedy w uniesieniu szaleństwa, postanowił gwałtem wydrzeć to czego pozyskać niemógł pieniędzmi, i gdy staruszek zatrzymał się znowu i poglądał nań z swoim drwiącym uśmiechem, architekt porwał go za ramię, i przykładając mu sztylet do piersi, zawołał:

—Starcze! dokończ planu, albo umrzesz!

Zaledwie wyrzekł te słowa, a wnet pochwycony wpół, rzucony na wznak, przyciśnięty kolanem na piersiach, ujrzał własny sztylet wymierzony ku gardłu swemu,

—Ach! ach!—rzekł wtedy staruszek urągając się—przekupca i morderca! dobrze, dobrze; jest przecię jak widzę obfite żniwo dusz na tym świecie.

—Zabij mnie — zawołał artysta—ale się nieurągaj.

—A kiedy ja cię zabić niechcę?

—Oddaj mi tedy swój plan.

—Dobrze, ale pod jednym warunkiem.

—A jakim?

—Wstań naprzód—rzekł staruszek, puszczając swego nieprzyjaciela, którego dotąd przygniatał i oddając mu sztylet;—tak rozmawiać niewygodnie, usiądźmy.

I dziwny staruszek usiadł na końcu ławki, założywszy nogę na nogę, ręce złożone wsparłszy na kolanie, patrzał na biednego architekta, który zawsty-

dzony wstawał, i otrząsając kurz z odzieży nieruszał się z miejsca.

—Zbliż się tu—rzekł starzec;—widzisz że nie pamiętam urazy.

—Ale któż jesteś?—zawołał architekt.

—Kto jestem? dobrze więc, powiem.

Artysta postąpił o krok jeden naprzód, ciekawość bowiem przemagała nad trwogą.

—Słyszałeś—rzekł staruszek—o wieży Babilońskiéj, o ogrodach Semiramidy, o Kolizeum?

—Słyszałem—odpowiedział architekt, siadając obok niego.

—Nuże: ja to je budowałem.

—Jesteś więc szatanem?—krzyknął biedny artysta porwawszy się z miejsca.

—Do usług twoich—rzekł szatan z swoim wiekuistym naigrawaniem.

—*Vade retro!* zawołał architekt przeżegnawszy się. Śmiech zaczęty skończył się na zgrzytnięciu zębów; błyskawica błysnęła, ziemia się rozstąpiła, i zły duch zniknął.

II.

Architekt powrócił do domu i zastał biedną swoję podeszłą matkę, czekającą nań z wieczerzą. Ale niechciał siadać do stołu, a wziąwszy ołówek i papier, zaczął, nie odpowiadając na nalegania matki,

probować czyli się nie uda zatrzymać na papierze owe przelotne rysy, które się tworzyły pod laseczką szatana.

Dobra niewiasta płacząc udała się na spoczynek; od czasu powrotu z podróży, niepoznawała swego syna, tak bardzo był niespokojny i zafrasowany, a ta niespokojność i frasunek nader zmieniły jego względem niéj postępowanie.

Architekt przepędził noc całą na kreśleniu rysunku i zmazywaniu. W tym planie tajemniczym, którego cząstkę tylko dojrzał, znajdował się charakter fantastycznéj śmiałości, jakiego on dosięgnąć nie zdołał. We dnie, zmęczony rzucił się na łoże; ale sen, zamiast przyniesienia odpoczynku, nową dla niego był katuszą. Obudził się na powrót obłąkany, i biegł do kościoła świętego Gereona, do którego szczególne miał nabożeństwo.

Przyszedłszy zatrzymał się przed facyatą gmachu. Była to mała i ciężka bazylika romańska z jedynastego wieku, wzniesiona przez Arcybiskupa Annona na miéjscu dawnego kościoła świętéj Heleny, podobniéjsza raczéj do grobowca niżeli do świątyni. W ówczas nie mógł nie pomyśleć o rożnicy jaka zachodziła pomiędzy wysmukłemi wieżami i wieżyczkami, śmiałą kolumnadą, które się tworzyły pod czarodziéjską laseczką szatana, a miąższą budową bizantyńską, którą miał przed oczyma. Zapomniał więc zupełnie że chciał modlić się, i szedł prosto niewiedząc dokąd dąży, pogrążony w jedyną nieodstępną myśl swoję.

Tak błąkał się dzień cały; wieczorem, nieprzypominając któremi szedł drogami, ani też mogąc zdać sobie sprawy jakim sposobem tam się znalazł, ujrzał się za bramą Franków, blisko ławki na któréj siedział wczora. Noc już zapadła; nikogo niebyło na przechadzce, jeden tylko człowiek, podobnie jak on znajdował się za murami miasta. Był to staruszek mały. Za piérwszym rzutem oka poznał go artysta i zbliżył się do niego.

Stał on u wału, i laseczką stalową rysował na murze. Każdy pociąg był linią ognistą, która gasła powoli, tak iż w miarę jak się posuwał plan wspaniały część najdawniéj zaczęta niknęła i gasła, niepodobna więc było oku uważnie postępować za nowemi liniami, ani też pamięci zatrzymać dawniéjsze. Architekt ujrzał tym sposobem rozwijający się przed sobą w najdrobniejszych szczegółach fosforyczny kościół katedralny, który po chwili niknął śród ciemności, a niepodobna było utkwić w pamięci ogółu.

Westchnął przeto głęboko.

—Ach! ach! to ty jesteś—rzekł szatan obracając się—czekałem na ciebie.

—Jestem—odpowiedział architekt.

—Wiedziałem, żeśmy się z sobą niepokłócili. Patrz, przerobiłem nieco plan. Co mówisz o téj facyacie?

I wodząc znowu laseczką po murze, skreślił potrójną bramę katedry ognistéj.

—Prześliczna! zawołał architekt, nietając nawet swego uniesienia.

—A o téj wieży? mówił daléj szatan rysując.

—Najwspanialsza!

—A o téj nawie?

—Przecudowna!

—Ha więc! twoje to wszystko, jeżeli zechcesz.

—I czego żądasz w zamianę?

—Twego podpisu.

—I oddasz mi swój plan?

—Na wieczną własność.

—Uczynię wszystko czego żądasz.

—Jutro więc, o północy.

—Jutro, o północy.

Szatan zniknął tak iż niewiadomo było w którą udał się stronę, a architekt powrócił do miasta.

Matka czekała go podobnie jak wczora, sama nic także nie jadła. Architekt siadł do stołu, co z razu uspokoiło nieco biedną kobietę; ale postrzegła w krótce że syn posłusznym był jedynie potrzebie fizycznéj, umysł zaś jego daleko błąkał się od ciała, i żadnego niebrał udziału w tém co drugie czyniło.

Co raz głębiéj pogrążony w myślach, architekt wstał od stołu i udał się do swoiéj komnaty; matka nie śmiała iśdź za nim, ale usiadła na progu, ażeby znajdować się blisko syna, jeśliby on czego potrzebował.

Przez czas niejaki słyszała jak wzdychał i modlił się; lecz że w tém nic niebyło strasznego, niewchodziła do syna. Potém układł się na spoczynek. Długi czas niespokojnie przewracał się na łożu; potém nastąpiła chwila cichości, a po niéj jęki i wzdychania. Nareszcie zdało się jéj jakoby kłócono się w komnacie, słychać było hałas walki i krzyki przytłumione.

Zdawało się jéj że syn woła o ratunek. Weszła wtedy mniemając iż się passuje ze zbójcą. Był sam jeden i tylko przez sen krzyczał z całej siły: Nie, nie, szatanie! nie będziesz miał duszy mojéj!

Na to straszne imię biedna matka uczyniła znak świętego krzyża na czole śpiącego, co go nieco uspokoiło; potém ukląkłszy u łoża modliła się przed pięknym o żywych kolorach obrazem Matki Boskiej, który darował jéj synowi pielgrzym przybyły z Konstantynopola. Im dłużéj się modliła, tym sen architekta stawał się spokojniejszy; a gdy skończyła, oddech jego był czysty i cichy jak dziecięcia.

Nazajutrz wstał spokojny, i usiadłszy u okna dla odetchnięcia swieżem powietrzem, ujrzał wychodzącą matkę w żałobie; postrzegła go i zbliżyła się ku niemu.

—Dokąd wychodzicie tak rano, matko? zapytał—i czemuś ubrana w żałobę?

—Dziś bowiem rocznica smierci twego ojca, idę do kościoła świętego Gereona dać na mszą świętą za dusze w czyscu będące.

—Biada! biada!—rzekł ścicha architekt—niemasz ani mszy ani modlitwy, któreby wydobyć mogły duszę moję z przepaści, w jaką ona będzie wtrącona.

—Nie zechcesz—li pójśdź ze mną? zapytała dobra niewiasta.

—Nie, matko; lecz jeżeli spotkacie starego ojca Klemensa, proście go żeby mię odwiedził; święty to mąż, chciałbym zasięgnąć jego rady względem sumienia, które mię czyni niespokojnym.

—Niech cię Bóg wspiera w dobrém przedsięwzięciu, synu mój; bo, albo się bardzo mylę, albo wróg człowieczy krąży około ciebie.

—Idźcie matko, rzekł architekt.

Odeszła dobra niewiasta, artysta zamyślony siedział u okna. Po chwili ujrzał starego ojca Klemensa, idącego ku jego domowi. Zamknął więc okno i czekał.

Wszedł stary zakonnik; był to, jak powiedział architekt, nietylko święty mąż, ale mąż uczony który wydarł ze szponów czarta wielką liczbę dusz bliskich zatracenia. Lecz ponieważ żył w ustawicznym stanie niewinności i czystości, jakkolwiek niezmyśloną miał chęć szatan odpłacenia się za złe które mu on czynił, zawsze to było niepodobieństwem; i jakkolwiek gwałtowne były zapasy które Klemens wytrzymywać musiał ze złym duchem, zawsze wychodził zwyciężcą: tak dalece iż szatan zbyt często opaliwszy swe szpony o świętego męża, od dawnego już czasu dał mu pokój, i dopuszczał mu spokojnie zasługiwać na raj.

Dla tego też był on tak biegłym w sprawach podobnego rodzaju, iż zaledwie rzucił okiem na architekta, widząc rysy jego twarzy znużone i wynędzniałe, z oblicza poznał stan duszy i zawołał:

—Synu mój! złe cię myśli osiadły.

—Tak, tak—rzekł architekt—tak, bardzo złe myśli, ojcze mój; dla tegom cię zaprosił abyś mi dopomógł je walczyć.

—Opowiedz mi wszystko, mój synu,—rzekł zakonnik siadając.

— Wiecie ojcze że dostojny Arcybiskup Konrad polecił mi budowę kościoła katedralnego.

— Wiem o tém, i niemógł on znaleść godniéjszego nad ciebie architekta.

— Owoż co was omyla, ojcze — odpowiedział architekt, zniżając głos jakby zawstydzony upokarzającém wyznaniem do którego, zmuszała go prawda; — układałem plany na plany i może znajdowały się między niemi niektóre godne miast drugiego rzędu, jakiemi są Wormacya, Dusseldorf lub Koblenc; ale ten kto przygotował plan godny naszego miasta Kolonii — mówił daléj architekt z westchnieniem — jest kto inny, nie ja, mój ojcze.

— Ach! ach! — zawołał ojciec Klemens — czyliż niema sposobu opłacenia go złotem?

— Dawałem mu wszystko co mam, a on odpowiedział pokazując mi sakiewkę pełną dyamentów.

— A czy niema sposobu odebrać mu go gwałtem? rzekł zakonnik, który pragnąc aby Kolonia stała się królową Renu, uniósł się mimowolnie za granice miłości chrześciańskiéj.

— Chciałem mu go wydrzeć siłą, mój ojcze; ale zgniótł mię jak dziecię, i własny moj sztylet do piersi mych przyłożył.

— A zatém ustąpić go niechce pod żadnym warunkiem?

— Pod jednym tylko, ojcze.

— A jakim?

— Abym mu oddał duszę moję.

— Ależ tym drugim architektem musi być szatan?

— Tak jest, szatan.

— I mówisz — rzekł zakonnik nieokazując trwogi na straszne imię powtórzone przez artystę, — że ten kościół uczyniłby Kolonią cudem Niemiec?

— Uczyniłby ją królową świata całego, mój ojcze.

— Jezu! — zawołał mąż święty składając ręce i podnosząc oczy ku niebu. A potém obracając się do architekta, zapytał:

— Czy bardzo dbasz o duszę swoję?

Architekt spójrzał na zakonnika bez zadziwienia, zrozumiał bowiem, sam będąc gotowym do sprzedania wieczności, ile wieczność drugiego małej być musi wagi w oczach człowieka, który widzi, iż za cenę téj wieczności jego miasto stałoby się najpiękniejszém na świecie.

— Ojcze mój — rzekł — bez wątpienia dbam o duszę moję, jako o dar który pochodzi od Boga i który chciałbym powrócić Bogu; gotów atoli jestem poświęcić ją na ofiarę, jeżeli ta ofiara uczyni mię piérwszym architektem na całym świecie.

— Wolałbym — rzekł zakonnik — iżbyś tę ofiarę złożył Bogu nie zaś sobie samemu. Lecz, jakażkolwiek bądź skłania cię do tego pobudka, ponieważ religia korzyść ma ztąd odnieść, przyjdę ci w pomoc. Strzeż się wszakże najbardziéj pychy, bo pycha cię zgubi.

— A więc — zawołał architekt — mógłbym mieć plan nie idąc na potępienie?

— Może.

—Jakim sposobem, mój ojcze? mówcie co prędzéj

—Probowałeś przekupstwa i gwałtu; zostaje ci jeszcze chytrość.

—Chytrość, mój ojcze? Czyliżeście zapomnieli że Pismo święte nazywa szatana chytrym?

—Ach! ach! jakkolwiek jest on przebiegłym—rzekł zakonnik—nie piérwszyć to raz iż przy pomocy Bożéj, biedny zakonnik weźmie nad nim górę. Swięty Antoni, który przez całe życie miał sprawę z nim czyliż w końcu nie tryumfował? Czyliż święty Barnaba nie ścisnął mu nosa rozpalonémi szczypcami? Wreszcie, magistrat miasta Akwisgranu czyliż nie dał mu duszy wilka zamiast duszy człowieczéj?

—Prawda—odpowiedział architekt.

—Dobrze więc—mówił daléj zakonnik—idź, wyspowiadaj się i przyjmij kommuniją w kościele Świętego Gereona, a kiedy będziesz w stanie łaski, powiem ci co masz czynić.

Architekt poszedł za ojcem Klemensem, spowiadał się i kommunikował. A potém, gdy już przyjął był ciało Pana naszego Jezusa Chrystusa, zakonnik zaprowadziwszy go do swéj celi, dał mu relikwią, któréj świętość i moc okazały się przez liczne doświadczenia, jakie z nią czynił.

—Bierz, synu mój—rzekł—bierz tę relikwię, i dziś wieczorem, kiedy szatan pokazywać ci będzie plan piekielny, weź go jedną ręką jakbyś chciał lepiéj mu się przypatrzyć, gdy tymczasem on drugą trzymać go będzie; wtedy dotknij mu ręki tą relikwią, a jakkolwiek wielką miałby chęć zatrzymania planu, rę-

czę ci że puści. Nie trwóż się w ówczas niczém, będzie wył, będzie groził, rzucał się na wszystkie strony w koło ciebie, śmiało staw mu przed oczy relikwią i niczego się nie lękaj. Bóg jest mocniejszym niżeli szatan, i szatan piérwszy się zmorduje.

—Ale, mój ojcze—rzekł architekt—kiedy już mieć nie będę relikwii, może szatan powróci i kark mi skręci?

—Nie, dopóki będziesz w stanie łaski; lecz strzeż się grzechu śmiertelnego.

—A więc—zawołał architekt—jużem zbawiony, mój ojcze; bo nie jestem ani obżarty, ani zazdrośny, ani łakomy, ani leniwy, ani gniewliwy, ani nieczysty.

—Zapomniałeś pychy, synu mój; strzeż się pychy: ona zgubiła najpiękniejszego z aniołów, ona i ciebie zgubić może.

—Będę czuwał nad sobą—odpowiedział architekt, —z resztą udam się do ciebie po radę, mój ojcze.

—Niech cię Bóg prowadzi, dziecię moje— mówił scicha starzec dając mu błogosławieństwo.

—Amen — rzekł architekt i powrócił do siebie; a resztę dnia przepędził na modlitwie.

O umówionéj godzinie udał się na miejsce wskazane przez złego ducha, ale pusto wszędzie, nikogo nie było, ani starca, ani dziecięcia, ani żywéj duszy. Artysta przechadzał się czas niejaki samotnie, lękając się iż czart niedotrzyma słowa. W tém północ wybiła. Z ostatnim dźwiękiem dzwonu, ozwał się pełny i mocny głos za architektem: — Owoż jestem!

Artysta zadrżał obracając się, niepoznawał bowiem

głosu, z którym się był oswoił. W istocie, nietylko szatan zmienił głos, ale i postać. Nie był to już staruszek z iskrzącemi się oczyma, z brodą spiczastą, w czarnym kaftanie; ale piękny młodzieniec od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat, kształtnéj postawy, dumnego oblicza, czoła szerokiego i bladego, na którém znajdowały się jeszcze ślady grotów niebieskiego ognia. Trzymał w jednym ręku plan, a w drugim umowę. Artysta cofnął się wstecz, tak go olśniła piękność piekielna.

—Ach! teraz cię poznaję—rzekł—i niemasz potrzeby powiedzieć mi swe nazwisko: ty jesteś czartem pychy.

—Dobrze więc—zawołał szatan—widzisz żem cię nieoszukał; czy gotów jesteś?

—Tak jest—odpowiedział architekt;—ale wprzód nim podpiszę, pokaż mi plan. Płacąc tak drogo powinienem wprzód widzieć co kupuję.

—Słusznie—rzekł szatan;—patrz.

I rozwijając plan pokazywał go, ale nie puszczał z ręki.

Architekt uczynił wtedy tak, jak mu Klemens kazał postąpić. Pod pozorem, że chce przypatrzyć się zbliska, wziął pargamin za sam koniec dolny, gdy tymczasem szatan trzymał go u góry, i kiedy przy blasku księżyca pożerał plan oczyma, przemknął drugą rękę pod spód, i relikwią świętą dotknął ręki diabła, w któréj ten trzymał plan kościoła.

Szatan oparzony aż do kości, z wielkim krzykiem poskoczył wstecz, zostawując szacowny rysunek w ręku architekta.

—W imię Ojca i Syna i Ducha świętego—zawołał artysta, czyniąc znak krzyża relikwią—odejdź precz szatanie!

Ten wydał ryk okropny.

—Ksiądz ci to poradził; kościelnać to zdrada, nowy to koncept nikczemnego tego mnicha.

—W imię Ojca i Syna i Ducha świętego—mówił architekt ciągle powtarzając znamię krzyża.

—Poczekaj, poczekaj—rzekł zły duch—jeszcze nie koniec wszystkiemu.

W téjże chwili ujrzał architekt przed sobą ogromnego lwa, który bił ogonem swe boki, a z roztwartą paszczą i zębami wyszczerzonemi, zbliżał się aby go pozrzéć.

Ale artysta nie uląkł się lwa; nadaremno wściekłe zwierzę jeżyło swoję grzywę i skakało w koło niego, ten mu ciągle pokazywał relikwią, tak iż odpychany ustawicznie lew cofać się zaczął. Architekt korzystając z téj chwili uczynił znak krzyża. Potwór wypuścił ryk okropny i zniknął.

W téj chwili usłyszał architekt wielki łoskot skrzydeł nad swoją głową. Ogromny orzeł spuszczał się nań z wysokości nieba, a długością rozpostartych skrzydeł zasłaniał księżyc; ale niewątpił artysta iż to zły duch uderza nań pod nową postacią, a jedną ręką przyciskając do piersi plan, drugą świecił królowi ptaków relikwią.

Wtenczas działo się toż samo z orłem co i ze lwem. Polatawszy w około architekta, sprobowawszy zabić go skrzydłami, porwać w swe szpony, pokaleczyć

dziobem, szatan zrozumiał iż na nic się nie przyda ta nowa postać. Olbrzymi ptak wydał krzyk i zniknął.

Architekt mniemał że już skończył sprawę ze swoim wrogiem, gdy w tém ujrzał jakąś massę poruszającą się śród ciemności. Wąż nadzwyczajnéj wielkości toczył tysiączne swe pierścienie i sycząc posuwał się ku niemu; potrzykroć wspinał się w około architekta, zamykając go troistym kołem łuskowatego cielska, a podnosząc drgającą głowę, ognistemi oczyma wypatrywał miejsca gdzieby utkwić pałające żądło, które mu wychodziło z paszczy; ale poprzednie natarcia oswoiły artystę z tą fantastyczną walką, a talizman święty, co go zachował od lwa i orła, ocalił teraz przed zajadłością węża, który przeraźliwie syknąwszy, zniknął.

Wtedy szatan stanął znowu przed architektem w piérwszéj swojéj postaci.

—Dobrze więc—zawołał—jestem zwyciężony, a ty tryumfujesz, dzięki twojemu Bogu, twoim kapłanom i twoim zakonnikom. Ale kościół który mi skradłeś skończonym nie będzie, a imię twoje, które pragniesz uczynić nieśmiertelném, pójdzie w niepamięć i zapomnienie. Bywaj zdrów, strzeż się abym cię niezaskoczył w grzechu śmiertelnym.

To rzekłszy szatan, rzucił się z miejsca na którém stał aż ku samemu Renowi, i zniknął w nurtach jego z piskliwym szelestem, jaki wydałoby rozpalone do czerwoności żelazo.

Uradowany architekt powrócił do domu, gdzie nań czekali matka i ojciec Klemens. Opowiedział wszyst-

ko jak się stało. Biedna niewiasta płakała i żegnała się; dobry zakonnik ręce zacierał i przyklaskiwał swemu podstępowi. Artysta powtórzył mu ostatnie słowa szatana.

—Dobrze więc!—rzekł zakonnik—czart jest poczciwszy niżelim się spodziewał, bo cię ostrzegł zawczasu; teraz do ciebie należy czuwać nad sobą, i odpychać od siebie wszelki grzech śmiertelny. Po raz ostatni mówię ci, strzeż się pychy.

Artysta przyrzekł iż pilnie czuwać będzie nad sobą, a zakonnik wyszedł z powrotem do klasztoru, zostawując go jako najszczęśliwszego na całym świecie. Matka odeszła także, w połowie rozumiejąc tylko co zaszło, ale szczęśliwa, bo syn jéj był szczęśliwym.

Pozostawszy sam jeden artysta, nie opuszczając planu, którego omal co własną duszą nieprzypłacił, ukląkł i długo się modlił, dziękując Bogu za wsparcie jakie ten mu zesłał; potém udał się na spoczynek położywszy plan pod poduszkę i zasnął, a we śnie widział swój kościół katedralny.

Nazajutrz z samego rana poszedł do Arcybiskupa, który zaczynał się niecierpliwić zbytnią jego powolnością, i pokazał mu plan. Konrad oświadczył że nic zgoła niestracił na przydłuższém czekaniu, i otwierając skarby kapituły, dozwolił artyście czerpać z nich pełną dłonią.

Tegoż dnia architekt założył fundamenta katedry, a że od dawnego już czasu mnustwo robotników dobywało marmury u łona góry Drachenfels, niebrakło przeto materyału; ujrzano zatém wkrótce podno-

szącą się z głębi ziemi ogromną wegetacyę kamienia, jakby chciwą szybkiego rozwinięcia się przed blaskiem słońca.

III.

Trzy miesiące już upłynęły, z każdym tygodniem gmach posuwał się coraz wyżéj, gdy jednego piątku architekt, zagłębiony w swéj pracy, aż do samego wieczora nic nie jadł, i powracał do domu wygłodniały. W tém spotkał burmistrza, znanego ze swych wybornych biesiad. Szedł on właśnie od architekta, którego chciał prosić na wieczerzę wraz z dwóma burmistrzami Moguńckim i Akwizgrańskim, sławnemi z wesołości spółbiesiadnikami; a niezastawszy go udawał się w te strony, gdzie zawsze można go było znaleźć. Architekt wymawiał się tém iż matka uprzedzoną nie jest; ale burmistrz i słuchać niechciał, powiadając iż sam z nią mówił o tém, tak iż lubo najmocniéj się bronił przymuszony był wrescie architekt iśdź z burmistrzem. Ten go wprowadził do jadalnéj sali, w środku któréj wznosił się stół zastawiony najwyborniéjszemi potrawami, drobiem i zwierzyną.

Architekt, jakeśmy powiedzieli, umierał z głodu; ujrzawszy przeto tak wspaniałą wieczerzę winszować zaczął sobie że poszedł z burmistrzem; lecz siadając do stołu, przypomniał że dziś właśnie piątek, święty dzień postu, w którém mniéj wolno niż w każdy dzień

inny oddawać się grzechowi obżarstwa. Zmówiwszy przeto modlitwę, nic innego brać niechciał, jedno kawałek chleba i szklankę wody, usuwając od siebie najwyborniejsze pieczyste i doskonałe wina; — bo jak sam powiedział, niebył obżartym.

Trzej zaś burmistrze, pożywali wszystkie te mięsiwa, niebojąc się Boga ani czarta, żartując przez całą biesiadę ze skromnéj wieczerzy biednego architekta.

Nazajutrz architekt wziął się znowu do swéj pracy, a że niezbywało ani na pieniądzach, ani na ludziach, z każdym dniem kościół katedralny podnosił się coraz wyżéj. Od czasu do czasu artysta rozmyślał o pogróżkach złego ducha; lecz za każdą razą gdy o tém myślił, w bojaźni czerpał nowe siły do oporu pokusom, a że budowa katedry postępowała zwykłym trybem, spodziewał się więc że się nie spełnią piekielne przepowiednie.

Około tegoż czasu, Innocenty IV. Papież, rodem Genueńczyk, chciał wystawić w Rzymie pałac jednemu ze swych synowców, a że miasto Kolonia słynęło z biegłości budowniczych swoich, prosił zatém Konrada Arcybiskupa o architekta. Konrad zalecił Ojcu Swiętemu bardzo biegłego człowieka, któremu zamyślał był razu jednego powierzyć budowę katedry, a uczynił to w mniemaniu, iż sprawi przez to wielką przykrość architektowi kościoła, z którym przed kilku dniami miał lekką sprzeczkę; lecz ten całkiem oddany swéj pracy, winszował sobie iż wybór niepadł na niego, odjeżdzającego spółzawodnika uściskał, życząc

mu szczęśliwéj podróży; bo, — jak sam powiedział, zgoła nie był zaźdrośnym.

Katedra zyskiwała na téj pogodzie jego umysłu. Artysta żył jedynie dla swego gmachu; wszystek jego czas upływał pośród kamieni, sam zajmował się rzeźbą tych części, które wymagały delikatności i wykończenia. Ze swojéj strony Arcybiskup, lubo oziębły dla architekta, szczodrze go wynagradzał, tak iż artysta marząc o wielkiéj sławie imienia swego, gromadził nieskąpo grosza: po ośmnastu miesiącach liczył już przeszło 6,000 złotych, co na owe czasy składało piękną summę.

Ale jednego dnia gdy powrócił do domu, matka oddała mu list z czarną pieczątką: siostra zawiadomiała go o śmierci męża, który umierając zostawił ją z trojgiem małych dziatek bez żadnego majątku. Biedna kobieta zakończyła list prośbą o wsparcie na utrzymanie swéj rodziny.

Artysta posłał jéj swoje 6,000 zł: — bo, jak sam powiedział, niebył wcale łakomym.

Katedra ciągle rosła; architekt zdawało się że ją obrał za swe mieszkanie; o świcie już się tam znajdował, a często noc nadeszła zanim ją opuścił. Miał atoli pod rozkazami swemi wielu dość zręcznych na których mógłby zdać wykonanie ważniejszych robót; skreśliwszy przeto dokładny rysunek, powierzył jednemu z nich drzwi boczne pełne przecudnych arabesków. Robotnik ten zamknął się jakby w warsztacie z desek aby mu nieprzeszkadzano. Architekt szanował tę samotność, i ufny w jego biegłości, czekał nim spa-

dnie zasłona. Nadszedł ten wielki dzień. Robotnik zdjął rusztowanie; ale nadzieja architekta omyloną została; niektóre części drzwi nie odpowiadały należycie okazałości całego gmachu, sam więc postanowił przerobić owe drzwi, chociaż to wymagało przynajmniéj sześć miesięcy pracy; a zamiar ten nic go niekosztował: — bo jak sam powiedział, nie był zgoła leniwym.

Od czasu zaczęcia budowy, a już blisko cztérech lat upłynęło, artysta nieopuścił ani jednego dnia żeby sam niedoglądał robotników, żeby własnemi oczyma nieprzekonał się czy każdy szczegół planu wiernie był wykonany; tak dalece iż zdawało mu się niepodobieństwem żyć gdzieindziéj jak w pośród swych kolumn i arkad. Trafiło się iż jednéj nocy złodzieje, nie wiedząc iż po zapłaceniu dniem przedtém robotników, nie było w domu jego ani grosza, zakradli się i nieznalazłszy pieniędzy powetowali sobie na odzieży architekta i zabrali nawet ubiór, ktory on zdjął z siebie udając się na spoczynek i położył na krześle u łoża; nazajutrz ujrzał iż niepodobna mu wstać dla braku odzieży. Kazał więc przywołać swojego krawca, który mu obiecał przygotować zupełny ubiór na wieczór tego samego dnia, a przyniósł go dopiéro we trzy dni, tak iż nieszczęsliwy architekt musiał zostać włożu siedmdziesiąt dwie godzin. Gdy więc po tak długiém oczekiwaniu krawiec przyniósł ubiór, wymówił mu to architekt, ale z umiarkowaniem, jak przystało na człowieka poważnego i niepopędliwego — bo, jak powiedział nie był gniewliwym.

Tym czasem szerzyła się wieść iż nowe cudo ma świat zbogacić, łacno bowiem widzieć było z tego co już zrobiono czém będzie ów gmach po ukończeniu; tak dalece iż jak na pielgrzymkę wędrowano tu z Francyi, Niemiec i Flandryi. Częstokroć ci wszyscy pielgrzymi zwiedziwszy kościół ciekawi byli widzieć architekta; kiedy powracał z tąd, nieraz spotykał gromady cudzoziemców czekających nań, ażeby oglądać tego kto posiadał tyle odwagi i geniuszu iż mógł się spodziewać doprowadzenia do skutku podobnego przedsięwzięcia. Pomiędzy pielgrzymami znajdowały się także i pielgrzymki, i zdarzyło się że jedna z nich tak wielką zapaliła się namiętnością ku naszemu architektowi, iż najęła dóm przy ulicy wiodącéj z mieszkania jego do katedry; kiedy więc przechodził idąc lub powracając, zawsze ją widział u okna z uśmiechem mu się przypatrującą, dopóki wzrokiem sięgnąć mogła. Ciągnęło się to całe trzy tygodnie, a gdy jednego wieczora powracał do domu, upuściła mu pod nogi bukiet kwiatów, który trzymała w ręku. Artysta podniósł bukiet, i niemyśląc nic złego, wszedł w dom aby go oddać komu w piérwszéj izbie; ale, traf zdarzył iż niebyło nikogo ze służących, sam przeto musiał wnijść na pokoje pięknéj nieznajoméj, która go przyjęła w komnacie wonnościami napełnionéj i słabo oświeconéj, co bywa niebezpieczne dla serc niebędących pewnemi siebie. Wszedłszy tu niepodobna było architektowi cofnąć się zaraz. Piękna pielgrzymka prosiła go aby wypoczął przez chwilę, lecz zaledwie usiadł, oświadczyła mu iż przybyła tu dla oglądania

katedry, lecz że architekt zatrzymuje ją od miesiąca w Kolonii; i powtarzając te słodkie słówka, zarzuciła piękną rękę w koło jego szyi, a przykładając usta swe do jego ust wycisnęła jedno z owych długich, palących pocałowań, które prześlizgają się z ust do serca. Ale architekt powstał natychmiast rumieniąc się i dał jéj długą a wymowną naukę o potrzebie hamowania pokus cielesnych, i potém niebacząc na jéj łzy i prośby, odszedł;—bo jak sam powiedział, niebył nieczystym.

Sześć prawie miesięcy upłynęło od tego wypadku: natłok ciekawych pomnażał się z każdym dniem, facyata bowiem była już ukończona zupełnie, a chociaż jedna wieża doszła tylko dwadzieścia jednę stopę wysokości, druga miała już przeszło sto czterdzieści i okazywała czém będzie, skoro dójdzie do zakreślonéj dla siebie wysokości to jest pięciuset stóp; lecz im daléj posuwała się budowa katedry, tym bardziéj myśl że nigdy ona nie będzie skończona i że imię jego pójdzie w niepamięć, dręczyła artystę; postanowił przeto uprzedzić tę obawę, z liter imienia swego ułożyć balustradę mającą otoczyć szczyt wieży: tym sposobem imię jego uderzać będzie wzrok wszystkich dopóki stanie gmachu i pospołu z nim żyć będzie. Taką myśl powziąwszy, artysta był spokojniejszy i przedsięwziął od dnia jutrzejszego zacząć wprowadzać ją w wykonanie.

W chwili gdy ten zamiar ułożył, Arcybiskup wezwał go aby mu pokazać rozmaite relikwie jakie otrzymał; architekt zszedł z wieży i udał się na pałac, gdzie

zastał jaśnie oświeconego Konrada rozradowanego, bo odebrał z Medyolanu głowy Trzech Króli, Kaspra, Melchiora i Baltazara, w drogich koronach ze szczérego złota, ozdobionych dyamentami i perłami. Architekt ukląkł pobożnie przed relikwiami świętemi, odmówił modlitwę i podniosłszy się winszował serdecznie pasterzowi tak bogatego i cudownego podarunku.

— A jeszcze otrzymałem od cesarza Carogrodu — rzekł Arcybiskup — daleko szacowniejszą rzecz, niżeli to wszystko.

— Doprawdy! — zapytał artysta — cóż, może odrobinę drzewa krzyża świętego, znalezionego przez cesarzowę Helenę?

— Coś jeszcze lepszego.

— Może koronę cierniową oddaną w zastaw przez cesarza Baldwina?

— Jeszcze więcéj.

— Cóż więc takiego?

— Plan najpiękniejszego gmachu, jaki kiedykolwiek był wzniesiony.

— Ach! ach! — rzekł architekt uśmiechając się wzgardliwie.

— Plan który zostawia tak daleko za sobą wszystkie inne plany, jak słońce za sobą gwiazdy zostawia, wszystkie bowiem inne plany są dziełem człowieka, a ten jest utworem samego Boga, który go zesłał przez anioła swego Salomonowi.

— Macie więc plan kościoła Jerozolimskiego — zawołał architekt.

— Tak jest.

—Ciekawy jestem go widzieć.

—Podnieś tę zasłonę—rzekł Arcybiskup wskazując palcem na tkaninę pokrywającą plan.

Architekt podniósł skwapliwie i ujrzał niebieski plan, który jednym rzutek oka objął we wszystkich jego szczegółach.

—I cóż—rzekł Arcybiskup—co mówisz o tym planie?

—Ba!-odpowiedział architekt-mój lepiéj mi się podoba.

W téj saméj chwili piekielny śmiech zabrzmiał w uszach architekta: poznał on śmiech szatana; uniknąwszy sześciu grzechów śmiertelnych, wpadł nareszcie w grzech pychy.

Architekt co tchu poskoczył z pałacu do kościoła świętego Gereona, gdzie spodziewał się znaleść ojca Klemensa; lecz Klemens umarł w nocy gwałowną uderzony apoplexyą. W chwili gdy mu powiedziano o tém, usłyszał powtórnie śmiech szatański który go był przeraził, a dreszcz ogarnąwszy wszystkie jego członki przeniknął aż do serca i ściął je lodem.

Zebrał atoli swoje siły, a że niedoświadczał bolu fizycznego, odzyskał powoli odwagę i postanowił wrócić do katedry, spodziewając się że zapał jaki znajdował za każdym razem kiedy zbliżał się do swego dzieła, rozegna resztę trwogi zatajonéj w głębi jego serca.

Artysta zapuścił się w rozległe mury swego kościoła, ale uczuł wkrótce że mu brakuje powietrza i doświadczał duszenia jakby w grobie; wyszedł za-

tém na sam szczyt wieży, zkąd zwykle przypatrywał się całemu ogółowi robot.

Żadna niezaszła zmiana, każdy był przy swojéj robocie i pilnie pracował aż do godziny odejścia; wreszcie wybiła ta godzina gdy dzień zbliżał się ku wieczorowi. Architekt słyszał jak robotnicy odchodzili śpiewając, uradowani ze swego dnia. Został wtedy sam jeden według zwyczaju, bo zawsze, jakeśmy mówili, powracał on ostatni.

Słońce zachodziło majestatycznie, oświecając już tylko najwznioslejsze dachy. Wkrótce rzeka i miasto pogrążyły się w zupełną pomrokę; lecz jeszcze niejaki czas szczyt wieży, który wszelako dosiągł ledwie połowy swojéj wysokości, oblewała światłość, i artysta śród jéj promieni, rozmyślał z dumą, że kiedy wieża dosięgnie zakreślonéj wysokości, podobna będzie do płonącéj latarni morskiéj. Nakoniec słońce opuściło powoli szczyt kamienny, i architekt uważał iż czas już zstąpić na dół.

Ale nadaremno szukał przystawionéj drabiny, już jéj nie było.

Wypadek ten nie miał w sobie nic nadzwyczajnego, gdyż który z robotników mniemając że architekt odszedł, mógł odjąć drabinę; wszelako, w okolicznościach w jakich architekt się znajdował, niespokojnością go to nabawiło, naprzód, według swego zwyczaju lekko posilił się na śniadanie, a będąc wezwanym do Arcybiskupa około godziny drugiéj, zapomniał całkiem o obiedzie. Głód przeto doskwierać mu zaczął; przytém był to miesiąc Październik, nocy chłodne:

szukał więc sposobu znijścia z wieży, ale jakkolwiek był zręczny, zupełne było niepodobieństwo. Zaczął przeto wołać o pomoc, ale zanim chwycił się tego środka, więcéj godziny strawił na niepożytecznych usiłowaniach, ulice już były puste, a głos jego, o czém on sam nie umiał sobie zdać sprawy, stał się tak okropnym, iż mała liczba przechodzących którzy go słyszeli, zamiast zatrzymania się przyśpieszali kroku, strwożeni nocnym i nieznanym krzykiem.

Architekt przeto uzbroić się musiał w cierpliwość. Szczyt wieży był płaski i otwarty. Na domiar nieszczęścia około godziny jedynastéj, straszliwa powstała burza. Niepodobna było zasnąć, artysta musiał siedzieć, gdyż od czasu do czasu tak gwałtowny wiatr uderzał, że stojącego, ponieważ niebyło poręczy, zrzuciłby z wieży: burza wzmagała się coraz silniéj.

O pół do dwónastéj rozciągnęła się ona nad Kolonią, słyszéć się dał odgłos piorunu. Niekiedy błyskawica która zdawała się przedzierać aż do ostatecznych głębokości niebios, roztwierała owo morze chmur, i na chwilę objaśniała miasto i rzekę fantastycznym blaskiem. Zdawało się naówczas architektowi, że miasto przybrało postać lwa, chmura orła, a rzeka węża.

O trzech kwandransach na dwónastą wszystek ów ocean wyziewów pędzony wichrem gwałtownym ku katedrze, zatrzymał się na jéj szczycie, podobnie jak niekiedy chmury osiadają na wierzchołkach gór. Architekt ujrzał się wtedy w samym środku burzy.

Pioruny grzmiały u jego ucha, błyskawice krzyżowały się do koła.

Skoro północ wybiła, dał się słyszeć gwar osobliwszy i nieznany; nieznośny zapach siarki rozszerzył się wszędzie, i kiedy zegar na kościele świętych Apostołów uderzył raz ostatni, śmiech tak dobrze znajomy artyście dał się słyszeć. Architekt obejrzał się i znalazł przed sobą szatana.

Teraz, on był w mocy swego nieprzyjaciela.

Architekt zrozumiał że jest zgubiony, niepodobném było uciekać. Ale gdy szatan wyciągał rękę ku niemu, cofnął się na krok wstecz, co mu dało czas do odmówienia aktu skruchy i żalu za grzechy. Szatan postrzegłszy że dusza jego powtórnie wymknie się mu z rąk, poskoczył ku niemu, i dotknąwszy się go palcem, strącił z wierzchołka wieży.

Ale jakkolwiek szybkiém było to poruszenie, modlitwa miała dość czasu dla dojścia do tronu Boga, i kiedy zły duch rzucił się za swoją ofiarą aby ją porwać do piekła, ujrzał tę duszę na ręku dwóch aniołów niosących ją do nieba.

Szatan przez chwilę pozostał w osłupieniu, potém rzuciwszy się w ślad za posłańcami niebieskiemi, przebiegł koło nich z szybkością wichru, cisnąwszy raz jeszcze téj biednéj duszy owe słowo, które tak udręczyło jéj ciało: »Nieznany! nieznany!”

Rzeczywiście spełniła się przepowiednia szatana: przerwana budowa katedry pozostała w tym stanie, w jakim ją zaskoczyła owa noc nieszczęśliwa, bo kiedy kończyć ten gmach chciano, niepodobna było

znaleść planu, a jakkolwiek troskliwe były poszukiwania uczonych, nie odkryto już nigdy nazwiska architekta.

Biédna dusza wié w niebie że zapomniano o niéj na ziemi;—a to jest karą jéj pychy.

BIEDNY GĘŚLARZ.

I.

Czegóż ja się wciąż tak smucę?
Wciąż posępną dumkę nucę,
Z biedy w biedę wieczny goniec,
Tu nie koniec—tu nie koniec.
Zawsze jakiś wróg z uboczy,
Stroi do mnie żółte oczy,
Nową boleść w sercu budzi,
A mój żal już wszystkich nudzi.
Już—już—milczę;—żal mój skrucę.
Czegóż bo ja wciąż się smucę?

2.

Albo ludziom wszystko powiem,
Co mi ciężý tu ołowiem;
Powiem ludziom jak z chłopięcia
Wzięła biéda mnie w objęcia,
I wodziła mnie pod boki,
Iak świat długi i szeroki
Po bezdrożach biłem głową.
Niechaj ludzie rzekną słowo,
Gdzie ostoja—niech się dowiem,
Wszystko, wszystko ludziom powiem.

3.

Aj, nie powiem,—nie—zamilczę,
Ludzie mają gardła wilcze;
Cudzéj biedy bujną strawo,
Ej! lubią się tuczyć krwawo.
Ale któż mnie tam zawiedzie
Gdzie chcą ulżyć cudzéj biedzie?
Śmiać się tylko, szydzić—zgoda:
Albo gadać—i to moda.
Lecz ich leki—zęby wilcze,
Oj! nie powiem nic, zamilczę.

4.

O! jakbym ja kochał ludzi!
Gdy me lato biéda studzi,
O jakże mi żal serdecznie
Że ja muszę wzdychać wiecznie,
Że ja nie mam tu nikogo
Z kim bym życie prześnił błogo.
O! u innych—to to nietak!
Szczęście płynie jak przez przetak,
Bo za niebem świat nie zmudzi,
O! jakbym ja kochał ludzi!

5.

Ludzie, ludzie!—oj! ziemiacy,
Hodujemy was—śpiewacy
Tém co serce rodzi w bolach
I kwiląca—myśl w niedolach.
Hodujemy—sami głodni
A wy zawsze ślepi, chłodni,
Jeszcze się nam dziwujecie,
Kiedy żal nasz głosim w świecie,
Jednéj czystéj łzy żebracy!
Ludzie, ludzie!—oj! ziemiacy!

6.

My czarujem duch w zadumie,
A świat woła że rozumie,
Że rozumié w martwém słowie,
Czego język nie wypowie.
Mamże wszystkim rozpowiedzić
Jak się musim duszą biedzić,
Jak zpalących łez ogniska,
Słaba, cicha pieśń wytryska.
Mamże głośić w ciemnym tłumie,
Jak czarujem duch w zadumie?

7.

Biédneż, biédne my śpiewaki
My zaklętę Boże ptaki,
Między niebem i padołem,
To gołębiem to sokołem
Bijemy się skrzydełkami,
Ale przepaść wciąż pod nami.
Struta strzała nas ustrzeli,
Byśmy górą nie lecieli,
Zakrwawiony spadasz taki....
Biédneż biédne, my śpiewaki.

8.

Oj! nie powiem ja nikomu,
Czego u mnie smutno w domu,
Czego wzdycham i boleję,
I usycham i łzy leję.
Ach! biédnyż ja gęślarz, biédny
W wielkim świecie, tak sam jedny,
Jako mogę żal mój koję,
Bo ja swoje—ludzie swoje.
Jak mi ciężko ujść rozgromu
Oj! nie powiem ja nikomu.

9.

Dumo, dumo—czarownico!
Dajno folgę ty—psotnico;
Taż to ja twój syn rodzony,
Snem—pieszczony, łzą—karmiony.
Lub ze wszystkiem mnie owładaj,
Albo w ucho wyspowiadaj,
Jakto ludzie robią w świecie,
Że nie zawsze płaczą przecie!
Mów, gdzie dobre gwiazdy świécą,
Dumo, dumo czarownico!

10.

Darmo, darmo!—wciąż się smucę
Wciąż posępną dumkę nucę,
Z biédy w biédę wieczny goniec.
Tu nie koniec—tu nie koniec.
Zawsze jakiś wróg z uboczy,
Stroi do mnie żółte oczy,
Nową boleść w sercu budzi,
A mój żal już wszystkich nudzi
Niechaj nudzi!—ja się smucę,
Wód do źródła nie zawrócę.

Wiktoryn Zieliński.

SZWAJCARYA POLSKA.

I.

PIESKOWA SKAŁA.

(z ryciną).

Przed laty—niepamiętam roku, ale to wszystko jedno, bo piękność dzieł przyrodzenia nie tak prędkiéj ulega zmianie jak ludzie i ich utwory. Przed laty więc, powóz mój i lubego mi towarzystwa zatrzymał się dla chwilowego spoczynku pod cieniem odwiecznéj lipy we wsi zwanéj Przeginia. Stąd już niedaleko zaczynały się owe czarowne okolice strumienia Prądnik zwanego do których dążyliśmy, i które niemniéj słusznie mogą być nazwane Szwarcaryą Polską, jak Skały Turyngii Szwajcaryą Saską. Jechaliśmy od jałowych



Pieskowa Skała

i dzikich piasków Olkusza kryjących zazdrośnie w głębi stepu swego, srebro i inne kruszcze; od zwalisk Rabsztynu co to jeszcze z dzielnością opierają się coraz silniéjszym działaniom powietrza i czasu. Ale tam wszędzie, oko zmęczone i zasępione jednostajnym widokiem pustyni, tu miało spocząć na wspaniałym obrazie jaśniejącéj wszystkiemi wdziękami natury! Drzeliśmy z niecierpliwości, bo cel naszych trudów podróżnych, nagroda tylu dni najnudniéj wśród piasków i po karczmach przebytych—Pieskowa Skała, owa głośna Pieskowa Skała, była tuż, może nawet o pół mili. Przeginia jest już wsią należącą do tego zamku. Ale gdzież są skały, owe pożądane skały? pytali jedni drugich towarzysze wędrówki. Rozłożyste konary drzew ocieniających drogę wśród wsi, zasłaniały nam widok całéj prawie okolicy. Wtém czy instykt czy chęć wejścia w rozmowę z wieśniakiem którego chałupa stała zaraz na wzgórku za drzewami, zawiodły mię na miejsce otwartsze. Lecz jakież było nas wszystkich zadziwienie, kiedy niespodzianie przed wzrokiem naszym rozwinął się w dali między czarnemi massami lasów, szereg wysokich i siwych murów jakiegoś starożytnego miasta. Spółwędrownicy moi, wszyscy mieszkańcy polistych równin Lechii, lub napływowych gór Litwy, spoglądali po sobie z podziwieniem niemogąc przypomnieć jaki by to gród dawny mógł leżeć w téj stronie. Przeszło jednak złudzenie, za bliższem rozpatrzeniem się i w krótce radośny okrzyk wszystkich wędrowników, powitał skały nieznane od nich, a odemnie dawno już widziane, i to

na obcéj ziemi między obcego rodu ludźmi. Spiesznie opuściliśmy Przeginią, i w kwandrans może byliśmy już wśród najpiękniejszych młodych buków, które same prawie jedne, ze swoją jasną korą i żywą a połyskującą zielonością swych liści, tworzyły obszerny i dziwnie wesoły las, dotąd od toporu nietknięty. Dobre pół godziny wystarczyło na przebycie go pieszo, ale niewiedzieć ile czasu potrzeba byłoby, żeby się dosyć nasycić pięknościami tak rozkosznego gaju. Mały wąwoz wśród gąszczu kończył drogę wynurzającą się z lasu, która coraz to głębiéj w dół się spuszczała. Wychodząc z niego, nagle i ściana skalista pod którą szemrzał strumień, i owa maczuga Herkulesa, słowem wszystkie dziwnéj postaci głazy—stanęły razem przed zdumionemi oczyma. A nawet nieco opodal za niemi w lewo, sędziwy ów zamek *Pieskowa Skała*, wznosił niekształtne swe mury i wieże, na stroméj wspierając się skale. Las Bukowy z któregośmy dopiéro co wyszli, wieńczył w półkole z drugiéj strony całą tę wąską dolinę. Pierwszy widok tego miejsca był zachwycający; a wpatrywanie się w szczegóły cudnego krajobrazu, jaki był przed nami, coraz większe odsłaniało piękności. Prądnik ów jasny i żywy strumień, który i nazwisko swe wziął od prędkości swego biegu, płynie po zielonych łąkach od wsi Sułoszowy, daléj jeszcze za zamkiem położonéj, gdzie się już kończą i skały i nadzwyczajne widoki. Przeszedłszy mostek na Prądniku, droga lewym brzegiem jego wijąca się prowadziła nas długim kołem wśród całéj doliny na drugą stronę zamku,

którego prześlicznemu położeniu dowolnie się nadziwować można było. Stała tuż przy drodze nad głowami podróżnych, jakby na straży zamku i doliny, owa dziwotworna skała u spodu wązka, zaledwo kilka łokci obwodu mająca, ale na 60 stóp wysoka i buławą cztery kroć grubszą u wierzchu zakończona. Jakiś zapamiętały klassyk, chciał jéj dać nazwę, maczugi Herkulesa, i książki ten dziki wynalazek powtórzyły; tak, jakby grecki Bohatér swojskim być miał mowie i obyczajóm Lechickim! Niebaczny! zapomniał że nasz rodowity Krakus, który także zapewne pałką zabił smoka w jaskini Wawelu, miałby większe prawo do okrycia sławą swego imienia i czynu téj dziwotwornéj skały, jak ów obcy nam Herkules. Ale próżne są wymysły uczonych; lud prosty i prawdziwy w swych uczuciach jak samo przyrodzenie, nazywa ten osobliwszy głaz, *Skałą Sokolą*. Nie wiém wprawdzie skąd to powstało, niemniéj jednak pewną jest rzeczą, że o maczugach Herkulesa żywa dusza tu nie słyszała. Piękny Prądnik, ocieniony sadzonemi koło drogi dwa jeden po drugim drzewami, tworząc stawy porusza młyny i obmywa opokę na któréj wznosi się zamek. Ale ja miałem krótszą drogę dla dostania się do jego murów. Obok owéj Skały Sokoléj, wychodzi z boku stroméj góry, inny daleko mniejszy ale niemniej spadzisty głaz, na którym myśl pobożna przedostatniéj dziedziczki hrabiny Wielopolskiéj zostawiła piękną chrześcijańską pamiątkę. Stoi tam krzyż z ciosu ze stosownym napisem, jakby świadek wśród téj dzikiéj i samotnéj doliny, dawnéj

wiary ich mieszkańców. Za tym głazem wązka i skalista ścieżka wspina się coraz śmieléj na wierzchołek opoki, którą zamek w większéj części zalega. Udałem się na nią, i ogarnąwszy wzrokiem stamtąd nowe piękności otaczającéj mię okolicy, stanąłem prędko przed piérwszą bramą tego warownego przed laty a dotąd ożywionego jeszcze gmachu. Cześć imieniowi Wielopolskich dotychczasowych właścicieli tego miejsca, że dotąd pomimo niestosownéj już do czasów i potrzeb obecnych rozległości, starożytny zamek Pieskowéj — Skały, wytrzymuje natarczywość tylu wieków, i wygodne swe komnaty otwiéra gościnnie znużonym wędrownikom. Doznałem tego przyjemnego uczucia, wychodząc zaraz z pierwszéj bramy na obszerny dziedziniec, otoczony późniejszemi już budowami, w głębi którego dopiéro na urwiskach opoki ukazywał się, górujący nad to co go otaczało ponury i samotny zamek. Na samym wstępie spotkano mię z tém, że wszystko i zawsze z rozkazu pana, stoi otworem dla przybywających w celu podziwiania i nasycania się widokiem tak pięknéj okolicy. I niedługo potém całe nasze towarzystwo rozkładało swoje tłomoki w kilku wielkich pokojach na drugim piętrze, i z niecierpliwością rzucało się do okien, oglądać z takiéj wysokości widziany wprzód z głębi doliny krajobraz. I w rzeczy saméj nic wspanialszego być nie mogło, jak ujrzeć z pod szczytu prawie tego starożytnego gmachu, roztoczoną u stóp jego po nad strumieniem Prądnika, i najżywszą zielonością umajoną łąkę, którą obrzeżał z jednéj strony

wieniec bukowego lasu, a z drugiéj zamykał rząd fantastycznych głazów. W głębi saméj tuż pod murami zamku drobniały przedmioty dla oka z takiéj wysokości, a patrzący cofał się nieraz mimowolnie na widok przepaści. Ale z innego znowu okna inny obraz, zupełnie różne czynił wrażenie. Spojrzawszy od dziedzińca przed dawnym zamkiem w półkole szeroko budowlami obwiedzionego, widać było wielkie stajnie do których przez drogę pod mostem prowadzącą wchodzono; nad niemi wznosiły się obszerne wozownie i składy, daléj mieszkania służby zamkowéj i łowieckiéj, aż do bramy, na któréj zieleniał się ogród dosyć wysokiemi drzewami porosły. Daléj w okrąg zamykały obwód dziedzińca jednopiętrowe oficyny, niegdyś zapewne dla licznych gości, dziś dla Rządcy dóbr i Wójta Gminy przeznaczone. Inny wązki ogródek w wydrążeniu dawnéj fossy, i most o którym mówiliśmy, kiedyś oczewiście zwodzony, oddzielał prawdziwy zamek od nowszych zabudowań. Przestronna i głęboko sklepiona brama wiodła na czworokątny nierównych boków dziedziniec, otoczony od samego dołu przez dwa piętra w górę krużgankami w mnogie arkady wiązanemi. Tu się znajduje owa nadzwyczaj głęboka studnia, wykuta do głębi saméj opoki, skąd długo, długo i cierpliwie trzeba ciągnąć wodę: gdzie rzucony kamień za kilkanaście minut ledwie daje znać, że się dotknął jéj powierzchni. Na przeciw tak głębokiéj studni, pod jedną z dolnych arkad są drzwi do kuchni, jakiéj już teraz w żadnym, choćby i najzamożniejszym domu niezobaczyć. Ku-

chnia ta jak dobra stodoła, woły w niéj całe pieczono, a roje strzelców i osoczników zebranych staroświeckim obyczajem około ogniska, przesadzonemi baśniami o swojém myślistwie, osładzały kucharzom mozolną ich pracę. — »Dawne to już czasy mój panie" — odezwał się głos chrapliwy stojącéj za mną zgrzybiałéj już staruszki. »Było tu huczno i suto przed laty, za nieboszczyka pana Hieronima Wielopolskiego. O! pamiętam ja co się to działo — ja byłam młoda, a mąż mój służył za masztalerza. Kiedy pan tu na jesień z myślistwem przybywał, zbierało się tu ludzi jak maku, z rana i wieczór trąbki się odzywały, a ogary i charty ledwo na tym wielkim dziedzińcu zmieścić się mogły. A co państwa z różnych stron! jakie stoły późniéj na pokojach! Bo też mówiąc prawdę i nieboszczyk pan był osobliwym człowiekiem. Zobaczycie na górze w pokojach jak sztucznie wyrabiał stolarskie statki, i jaki piękny po nim pozostał stolik. Znał się on jeszcze i na czarach, latał szybko nietylko po polach ale i po skałach, bo zawsze nosił z sobą mostek jakiś dróciany który z jednego głazu na drugi zarzucał. Nie jeden to w owe czasy widział i mnie opowiadał. Ale to wszystko nic jeszcze, — odezwała się po chwili przestanku staruszka, — w porównaniu do tego, kiedy Król Poniatowski był tu przyjmowany. O! to już bardzo dawno, ale ja ten dzień dobrze pamiętam, bo tego zapomnieć niemożna kto raz widział. Już pan w ówczas nie żył, a pani niewiem gdzie była. Jacyś inni państwo uproszeni od niéj tu przybyli, a z niemi wiele pięknych pań i

orderowych panów. Król konno przyjechał a lud ze wsi i my ze dworu kwiaty mu na drogę rzucaliśmy. Bito z armat, wszyscy gospodarze z Wielmoży i Sułoszowy z żonami i dziećmi poszli wieczorem do tańca na tamtym dziedzińcu, a bramy zamkowe i obie drogi co stąd na dół pieszo i powozem prowadzą, jasne były jak słońca od kagańców i lamp rozmaitego koloru. Po téj uroczystości cicho być u nas zaczęło, mały już potém był dwór, i ja się od niego oddaliłam..... młodość przy kłopotach gospodarskich prędzéj przeszła, i teraz gniotą mię późne już lata." Tu ciężko westchnęła staruszka, a ja powracałem na górę przypatrywać się bliżéj wnętrznym częściom gmachu. W całym zamku liczą sto pokojów, a z tych sześćdziesiąt znajduje się na obu piętrach pod krużgankami, to jest w téj części, która w XVI już wieku do pierwiastkowego zamku przydaną została. Na pierwszém piętrze zaraz od wnijścia jest nader wielka sala gdzie wielkie stoły w czasie uczt zastawiano. Ściany jéj ozdobione staroświeckiemi przodków Wielopolskich wizerunkami, obudzają w każdym przychodniu poważne wspomnienia czasów ubiegłych. Nie wiém dla czego nad kominem zawieszony portret Hektora ulubionego psa Hieronima Wielopolskiego. Właściwsze byłoby dla niego miejsce w pokoju pana, do którego całe życie był przywiązany. Obok téj sali jest pokój bawialny gdzie są portrety wielu pięknych kobiét, wielu zajmujących postaci mężczyzn z tegoż samego domu Wielopolskich; ale nazwiska ich i życie były dla nas zagadkami,

których rozwiązać odźwierny niepotrafił. Z jednym tylko portretem przedostatniéj właścicielki tego miejsca poznaliśmy się bliżéj. Była to żona Hieronima, koniuszyna koronna z domu Potocka starościanka Trembowelska, która w późnym wieku życie pamiętne dla mieszkańców Pieskowéj Skały dobroczynnością skończyła. Daléj idzie obszerny pokój sypialny adamaszkiem wybity, z dwóma równoległemi gabinetami. Wszędzie sprzęty staroświeckie, porządnie utrzymane, a między niémi osobliwszy klawikord i misternéj roboty biórka. Przeszedłszy potém wiele innych jeszcze komnat i korytarzy, wstąpiliśmy do kaplicy poświęconéj św. Michałowi. Pięknie zachowana i ozdobna tak się otwiera na przyległy jéj krużganek, że cały dwór dawniejszego właściciela tak liczny, mógł wygodnie mszy słuchać. Idąc w głąb gmachu znaleźliśmy się w najdawniejszéj części zamku, która sięga jeszcze wieku możnéj rodziny Szafrańców, co go piérwsza posiadała. Tu się znajduje nisko sklepiona komnata, gdzie było dawniejsze oratorium, daléj nieco więzienie, skarbiec, słowem wszystkie attrybucye feudalnego zamku i obronnéj na dawną taktykę twierdzy. Co większa! pomiędzy tém wszystkiém, w zakącie dosyć ponurego kurytarza, ukazuje się otwór w skale stanowiącéj posadę murów, do głębokiéj pieczary zwanéj *Dorotką*. Tu miano niegdyś wtrącać występnych którzy na karę głodu skazani, okropną ale w całéj Europie do końca XIV wieku używaną śmierć ponieść musieli. Cóż takiego zawiniła owa Dorota z rodu Toporczyków? którą jéj herbowi rycerze aż

do śmierci w téj ciemnéj jaskini przed światłem słoneczném ukrywali. Stare kroniki piszą że sławni owi Toporczykowie tak miłowali dobrą sławę rodu swojego, że każdego do herbu swego należącego sami karali. Ich Dorota o jakieś nieprzyzwoite sprawy była posądzoną, tak twierdzą prawda, ale może to miłość jaka zapamiętała przywiodła do upadku, może tylko do nieposłuszeństwa nieszczęsną dziewicę! My co niemamy owego hartu średniego wieku rycerzy, co jesteśmy łagodniejsi w wyrokach na postępki piękniejszéj jeżeli nie słabszéj od nas płci, cokolwiekbądź niemożemy się zgodzić na sprawiedliwość tak straszliwéj kary dla kobiéty. Powiadano nam że ta pieczara dzieli się na dwie części, do niższéj w daleką głębię jest jeszcze węższy otwór, niż ten któryśmy widzieli. Lecz zapomnijmy o tak przerażających pamiątkach, oglądajmy weselsze, chociaż wcale nie dramatyczne. Ominąwszy wiele jeszcze komnat najstarszego zamku, gdzie opoka służy nieraz za ścianę, a na niéj porosłe drzewa zwieszonemi konarami zakrywają przepaścisty wąwóz pod oknami: zwiedziliśmy jeszcze pokoje zwane chińskiemi, pracownią Hieronima Wielopolskiego, w któréj owe misterne sprzęty z drzewa wyrabiał. Tu zawieszone są portrety jego i Łowczego który przy nim całe życie cudów myślistwa dokazywał. Są jeszcze i tureckie pokoje dawnemi gobelenami pokryte; wszędzie krzesła i kanapy niebogate, ale dawnością swą i kształtem szacowne.

Wróciwszy do gościnnych pokojów gdzieśmy nocować mieli, znaleźliśmy odźwiernego i jego żonę u-

rządzających nam łóżka; ale chociaż już wszystko było gotowe i znużeni po kilka razy dawaliśmy im dobranoc, poczciwi jednak ludzie ociągali się z wyjściem. Nakoniec sama odźwierna tajemniczą jakąś postawę przybrawszy, odważyła się szepnąć do ucha żebyśmy byli ostróżni, bo w tych górnych pokojach bardzo często włóczą się mary i niezwyczajnym szelestem i głuchym jękiem zakłócają sen spoczywających.—»Te osobliwie drzwi, wskazując na jedne rzekła ze wstrętem, są niebezpieczne, i te radzę stołem i krzesłami zastawić mocno.—Może to upior pokutującéj Dorotki błąka się szukając ratunku?—O nie, odpowiedziała skwapliwie bojaźliwa kobiéta. Tam gdzie Dorota i ci co po niéj w tym lochu męczeni byli, chodzą po korytarzach o północy, w tamtéj stronie zamku nikt się z nas po zmierzchu niepokazuje. Na to już ani memu mężowi, ani staremu stolarzowi który wszystko wié co tu się od wieków dzieje, odwagiby niestało. Ale my mamy w podejrzeniu jeden straszny portret kobiéty brzydkiéj i niegodziwéj, jak powiadają starzy ludzie tutejsi. Jeżeli się nie lękacie przejdźcie ze świécą, mówiła coraz ciszéj, za te drzwi które macie zastawić na noc, i spójrzyjcie tylko, byle ostrożnie, na obraz co wisi tuż przy nich na lewo, a potém powiecie czy nasz domysł niéma słuszności.» Słuchając téj rady ruszyliśmy na obejrzenie sąsiedzkiego pokoju i podejrzany ów portret zaraz się ukazał. Rzeczywiście trudno jest znaleść okropniejszy wyraz w obliczu kobiéty. Z pod zakrytego do połowy czoła jakąś czarną osłoną, wyglądało dwoje oczu

pełnych złości i krwią zabiegłych, twarz czterdziestoletni już wiek okazująca, czerwona i nabrzmiała, a cała fizyognomia szkaradna. Zapomniawszy o upiorach, żałowałem pięknych twarzy wieśniaczek na innych bliskich portretach będących, które niestety, jakem się potém dowiedział pod jéj srogim i niegodnym dozorem w tym zamku żyć musiały. Sen wkrótce skleił nasze powieki tak silnie, że pomimo wszelkich przepowiedni i przestróg odźwiernych, ani widzieć, ani słyszeć żadnych już strachów niemogliśmy.

Nazajutrz kiedym się jeszcze raz na pożegnanie przypatrywał zachwycającemu położeniu Pieskowéj Skały, przesunęły mi się w pamięci dzieje tego starożytnego zamku, który jeżeli nie własném znaczeniem to przynajmniéj potęgą rodzin co go posiadały, zasłużył na wielokrotną wzmiankę u wielu naszych kronikarzy. Początki samego zamku sięgają może XII. wieku, bo już zaraz na początku XIII, w jednym swoim przywileju wymienia go Władysław Łokietek (1). Była to wówczas własność królewska i dopiéro dla bojaźliwéj polityki ostatniego z Piastów tron polski zasiadających, przeszła na dziedzictwo szlacheckie. Ludwik ów znakomity dla Węgrów monarcha, a słaby i niedbały król

(1) *Ambr: Grabowski* w zajmującém pismie swoim: *Kraków i Okolice jego*, wyd. 3, Kraków 1836 str. 260, przywodzi autentyczny przywiléj tego króla w r. 1315 w Sandomierzu pewnemu Mikołajowi na wójtostwo we wsi Sułoszowy przyległéj Pieskowéj Skale wydany, gdzie zamek ten, może od niemca pisarza nazwany jest *Peskenstein.*

dla Polaków, chcąc odebrać zamek Bełzki od Litwinów którzy go opanowali, obległ go na czele Węgrów i polskiego rycerstwa. W śród zaszłéj między wojskami obu niechętnych sobie narodów niezgody' rycerz jeden polski znakomitego rodu a jeszcze znakomitszego męztwa i znaczenia między swojemi, Piotr Szafraniec z Łuczyc, raniony został w twarz od pewnego Węgrzyna. Niewczesna owa przygoda wśród wojennej wyprawy zakłopociła mocno Ludwika, mało już i tak wpływu na umysły polaków mającego. Ci byli daleko liczniejsi od Węgrów, oburzenie się było wielkie, domowa wojna we własnym obozie groziła zniweczeniem oblężenia. Sam więc król osobiście zajął się pogodzeniem Szafrańca z témi co go obrazili, a na utwierdzenie zgody nadał mu prawem dziedzicznèm zamek zwany *Pyeschowa Skała* (2); wszakże dar ten zasługami walecznych potomków rodu tego dostatecznie krajowi zapłacony został. Syn jego Piotr z Pieskowéj Skały Szafraniec Wojewoda krakowski stawając dzielnie na czele własnéj chorągwi w Grumwaldzkiéj potrzebie, to karcąc dumę Krzyżacką pod Tucholą (3), to nakoniec zmuszając ich do traktatu, takiéj wziętości nabył u Władysława Jagiełły że mu

(2) *Bielski* pod r. 1376 str. 249 dawn. wyd.—*Naruszewicz* ks. VII str. 96 wyd. Mostows.—*Niesiecki* IV 197—Mylny więc jest wniosek późniejszych pisarzy, jakoby zamek ten dopiéro od dziedzica iéj Piotra Szafrańca, przez zdrobnienie pieś zwanego, piesiowéj czyli Pieskowéj Skały nazwanie otrzymał.

(3) *Długosz* Lib. X. p. 242 i 296.

i ziemię podolską odjętą Kiążęciu Swidrygajłowi wrząd oddał, i nowemi dobrami Secemin w r. 1410 udarował. Jednakże obaj ci Szafrańcowie mężowie rycerscy ciągle zatrudnieni walką z nieprzyjacioły, większą połowę życia w obozach trawiąc, niemieli czasu myśleć o wygodniejszém mieszkaniu w Pieskowéj Skale, ani potrzeby utwierdzać jeszcze mocniéj zamku przy rosnącém bezpieczeństwie wewnątrz kraju. Umieli oni przestawać na kilku sklepionych komnatach przymknionych do skał i wieży, co samotnie wznosząc się na opoce dawała opiekę poziomym chałupom robotników wsi okolicznych. Tam złożywszy twardą przyłbicę, spoczywali po znojach wojennych, tam ochotnie czekali wezwania królewskiego do nowéj wyprawy. Dotąd jeszcze pierwiastkowy ten za mek, tam gdzie jest wieża, a skała nie jednéj izbie za ścianę służy, od strony drogi w wąwozie ku górze spinającéj się, łatwo rozróżnić można od nowszéj iobszerniejszéj części ku Prądnikowi położonéj. Ale nakoniec przyszedł czas, że następcy surowych XIV wieku wojowników, nietracąc bynajmniéj rycerskiego ducha, zapragnęli jednak większych wygód i pod łagodném niebem włoskiéj krainy nabrali gustu do wykwintniejszych budowli u siebie. Stanisław Szafraniec Wojewoda Sandomierski, przystawiając w r. 1586 do starożytnego przodków zameczku nowe mury od strony strumienia, jest istotnym twórcą gmachu jaki w dzisiejszéj przestronności widzieć się daje (4). Tymczasem po dwówiecznem z górą pano-

(4) *Paprocki herb. Rycers.* str. 57.

waniu na Pieskowéj Skale zamożnéj i znakomitéj rodziny Szafrańców, przyszedł jak na wszystko na świecie, i na nich koniec. Jędrzéj Szafraniec syn Stanisława Starosta Lelowski a jak Niesiecki powiada serdeczny junak na nieprzyjaciół za buławy Mieleckiego, żonaty z Barbarą Rzeszowską herbu Wąż zszedł bezpotomnie, i dobra jego w ręce różnych krewnych poprzechodziły. Już nawet i on nie mieszkał ciągle w zamku od ojca wzniesionym, przekładając pobyt w Seceminie, gdzie także ojciec sławne szkoły dla młodzi wyznania Kalwińskiego założył. O tém to Jędrzeju zachowała się dotąd w Krakowskiém następująca legenda. —

» W Krassowie jednéj z kilkunastu wsi dobra Seceminskie składających, mieszkał w drewnianym dworze tenże sam ostatni z Szafrańców. Starożytny zamek, cały i opatrzony ale nie zamieszkany czerwienił się o podal na wzgórzu (5). Wszyscy wieśniacy skoro już zmierzchło obchodzili go zdaleka, bo wiedzieli że pan ich nawet w dzień tylko, i to ze staremi sługami zwiedzał jego piękne pokoje, ale oddawna już niechciał go nigdy zamieszkać jak bywało za ojca, woląc w ciasnym mieścić się dworze. Nie wszyscy wiedzieli przyczynę, a domysłów było bez liku. Stary bezdzietny Szafraniec rozpisał wcześnie bogate swoje mienie między bliższych i dalszych pokrewnych, wzbudzając między niémi tajemną zawiść

(5) Teraz ani śladu jego niéma, tylko miejsce gdzie stał i podanie o jego bytności pozostało.

mimowolnie. Secemin ze swojemi wsiami przeznaczony był Michałowskiemu dziedzicowi Słupi. Przyjeżdzał on nieraz odwiedzać starego Szafrańca w Krassowie, skarbiąc łaskę bezdzietnego dziedzica, u którego też zawsze gościnne przyjęcie znajdował. Raz Michałowski znalazłszy kilka osób we dworze na noc pozostałych, a niechcąc dla burzliwéj pory wracać do siebie, postanowił nocować w zamku. Próżno go przestrzegał Szafraniec że tam niéma nigdy spokojności, że tam duchy zmarłych mieszkanie założyły: próżno mu potém coś szeptał staruszek do ucha i żarliwie namawiał do zaprzestania zuchwałego zamysłu. Wszystko nic nie pomogło, Michałowski był także swojego czasu junak, a zawsze dzielny wojak i w najdzwyczajnéj sile swojéj mocno zaufany. Wszedłszy jednak do swojéj sypialni w zamku, obejrzał wszystkie drzwi czy dobrze były zamknięte, a potém położył się w łóżku. Na stoliku stał obyczajem staroświeckim krucyfix, przy którym paliły się dwie świéce i leżała para długich pistoletów; wierny pies w nogach spał na dywanie, a hajduk w drugiéj izbie spoczywał na ławie. Wkrótce chrapanie jego głośno obiło się o ściany obu tych przestronnych komnat. Michałowski niedomówił jeszcze zwyczajnych swoich pacierzy, gdy raptem wielki szelest powstaje, otwierają się z trzaskiem drzwi mocno zamknięte i cztéry żałobne postaci odziane w czarne kapy, z pochodniami w ręku, niosą trumnę i stawiają na środku. Odwraca się wieko a Rycerz od stóp do głów ciężko uzbrojony z wybladłem obliczem powstaje w groźnéj postaci. Zrywa

się na ten widok Michałowski, sięga za pistolet i chce wypalić do występującego z trumny rycerza—ale skałka ognia nie daje, pies rzuca się na widmo, lecz silnie wiekiem uderzony upada skowycząc. Rycerz straszliwe podnosi ramie i grobowym głosem zapytuje Michałowskiego:-«Co robisz tu w moim dziedzictwie?» Przerażony pomimo wrodzonéj sobie odwagi Michałowski, krzyczy na hajduka—na próżno, hajduk śpi jak zabity. Wtenczas Michałowski zrywa się z łoża i ucieka, ale Rycerz ująwszy go żelaznemi rękami, zdusić usiłuje, pomagają mu ci co byli w kapy ubrani. Bójka trwa kilka chwil zapalczywie, nakoniec silny choć zbity wymyka się z niéj Michałowski, wpada do stajni i na koniu uchodzi do Słupi, gdzie we trzy miesiące z ran i śmiertelnego przestrachu umiera.« —Wieść długo krążyła między spadkobiercami Szafrańca, że to zarządca dóbr jego niesumienny i przekupny człowiek był twórcą téj niegodziwéj sceny, którą życiem przypłacił odważny nawet i w sprawie Rycerskiéj doświadczony człowiek.

Ale wróćmy do dziejów Pieskowéj Skały któreśmy dla téj powieści na chwilę przerwali. Po wygaśnieniu zasłużonego w Polsce imienia Szafrańców, obszerne ich dobra jakeśmy wyżéj namienili, weszły do różnych domów z niémi spokrewnionych. Do spadkobierców głównie należeli Wielopolscy jednegoż rodu z Szafrańcami i tegoż samego herbu *Stary-koń* używający. Na ich dział przypadł właśnie zamek Pieskowa Skała ze wsiami które go otaczały. Za świadectwem Niesieckiego już w r. 1661 Jan Wielopolski Kasztelan

w ówczas Wojnicki, a potém Wojewoda Krakowski, pisać się miał z Pieskowéj skały. (6) Co większa zasłużony ten w kraju, a dla rozumu i powagi bardzo wzięty mąż, sprawując od Jana Kazimierza poselstwo do Ferdynanda Cesarza, w r. 1656 uczyniony został hrabią S. P. R na Pieskowéj Skale. Tymczasem niewiedzieć z jakiego znowu powodu zaraz po téj epoce liczne dowody przekonywają, że Michał Zebrzydowski Wojewoda i Starosta Krakowski był posiadaczem Pieskowéj Skały, zamek wielkim nakładem zupełnie odnowił i powiększył, i sam wreście życie w nim roku 1667 zakończył. Niemożna wątpić o prawdzie tego, bo wiadomość o tym dziedzicu zostawił nam jeden z celniejszych dziejopisów naszych siedmnastego wieku, Wespazyan Kochowski (7) który nawet w innych pismach swoich, wierszem ozdobę i umocnienie zamku w Pieskowéj Skale wysławiał. (8) Prócz tego i sam Zebrzydowski nie zapomniał zostawić pamiątki że był odnowicielem tego starożytnego gmachu, tak prawie jak go teraz widziemy. Herb Zebrzydowskiego Radwan i żony jego Maryi z Stadnickich Srzeniawa, wykute są w kamieniu tuż przy bramie zamkowéj. W połowie XVII wieku Szwedzi podczas piérwszych swoich odwiedzin w Polsce, zawitali także do dziedzictwa Zebrzydowskiego i zamek osadzili dla utrzymania w podległości okolic Kra-

(6) Tom IV str. 508.

(7) Climacter III p. 275.

(8) Fraszki p. 98.

kowa. Może to od ich pobytu zostały otwory pod samym szczytem, gdzie jak dotąd podanie zostało, mieściły się warty, dla spostrzeżenia zdaleka co się dzieje około zamku. W sto lat po Zebrzydowskim piérwszy dopiéro Hieronim Wielopolski koniuszy koronny o którym tyle już prawie powiedzieliśmy, polubiwszy roskoszne mieszkanie w Pieskowéj Skale zaczął jéj budowle rozszerzać. Do właściwego zamku zająwszy plac obszerny nowe mury powznosił stosownie do potrzeb licznego dworu i myślistwa. W takiéj już był postaci ten zamek, kiedy go Stanisław August zwiedził w r. 1787 w dniu 4 Lipca i oglądając dalsze jego okolice, dwa dni tam zabawił.

Żegnając Pieskową Skałę przyszła mi jeszcze na myśl największa a przynajmniéj najmilsza jéj ozdoba. W XVI wieku, wtenczas kiedy Szafrańcowie liczyli do swych włości, to zachwycające miejsce, mieszkała tu Zofia Oleśnicka, która wpływem wdzięcznych wrażeń pięknego przyrodzenia co ją otaczało, tém dzielniéj umiała podnosić myśl swą do Boga. Tu składała rymy lubą natchnione prostotą które naszych czasów aż doszły w książce mającéj napis: *Pieśń nowa w któréj jest dziękowanie Panu Bogu wszechmogącemu, że malutkim a prostakom raczył objawić tajemnice królestwa swojego.* (9) Pieśń ta podzielona na strofy, w naczelnych głoskach każdéj zawiera litery składające nazwisko tkliwéj i pobożnéj

(1) w Krakowie Łazarz Andrysowicz wybijał, A M D L VI (r. 1556).

rymotwórczyni: *Zofia Oleśnicka z Pyeskowey Skały*. Szkoda że niemamy więcéj szczegółów o niéj! Za naszych czasów, nie mieszkała wprawdzie, ale zwiedziła czarowne to ustronie inna kobiéta, któréj dusza również była czułą na piękności tego miejsca, ale która siłą i wdziękiem swojego pióra dzielniéj i pożyteczniéj wpłynęła na żyjącą dziś społeczność! Zacna autorka Pamiątki po Dobréj Matce, zostawiła nam także w swoich nieoszacowanych pismach zajmującą wzmiankę o Pieskowéj Skale.

Michał Baliński.

UŁOMEK Z ALFONSA LAMARTIN.

O kiedyż ją zobaczę gdy wnocnym spoczynku
Troskliwie nad dziecinią schyli się jak matka,
Kiedyż u śnieżnéj piersi uwiśniesz jéj synku,
I ssać będziesz jak pszczółka ssie słodycze zkwiatka.
W cieniu odwiecznéj lipy gniazdo im uściele,
Tam gdzie w około rzeka bystre nurty toczy,
O nie dojdą przewrotni do nas przyjaciele,
Ani kiedy zazdrośne wyśledzą nas oczy.
Z tego źródła goryczy ja ich nie napoję,
W które trucizny ludzka mądrość namięszała,
Nauki ojców usta udzielą im moje,
Wielbić Boga to będzie nauka ich cała.
W dziedzictwie im zostawię, gdy już dojdę końca,
Co biedne zostawiają swym dzieciom ptaszyny,
Gniazdo, owoc opadły, czyste w źródle płyny,
I moje miejsce blaskiem oświécone słońca.

Stanisław Jacbowicz.



SAMUEL ZBOROWSKI

UŁOMEK Z ALFONSA LAMARTIN.

O kiedyż ją zobaczę gdy w nocnym spoczynku
Troskliwie nad dzieciną schyli się jak matka,
Kiedyż u śnieżnéj piersi uwiśniesz jéj synku,
I ssać będziesz jak pszczółka ssie słodycze z kwiatka.
W cieniu odwiecznéj lipy gniazdo im uściele,
Tam gdzie w około rzeka bystre nurty toczy,
O nie dojdą [illegible] do nas przyjaciele,
[illegible]
[illegible]
[illegible] umniejszała,
[illegible]
[illegible]
W dziedzictwie im zostawię, gdy [illegible] końca,
Co biedne zostawiają swym dzieciom [illegible]
Gniazdo, owoc opadły, czyste w źródle płyny,
I moje miejsce blaskiem oświecone słońca.

Stanisław Jachowicz.



SAMUEL ZBOROWSKI.

SAMUEL ZBOROWSKI.

I.

Dnia 18 Lutego 1574 roku wyległ cały Kraków na powitanie nowego Króla, który już w *Balicach* nocował. A był to król piérwszy *Elekcyjny*, w bezkrólewiu obrany, po wygaśnieniu rodu Jagiełłów. Senatorowie, duchowieństwo, rycerstwo, szlachta, mieszczanie i wieśniacy, zalegli obszerne do okoła pola.

Arcybiskup Gnieźnieński rozpoczął poczet witających Henryka Walezyusza. Wiódł on 200 Hussarzy swoich tak strojnie i bogato przybranych w axamity,

złoto i srebro, że oczy olsnęły od blasku proporców. Sam z Biskupami Płockim i Poznańskim, jechał w świetnéj kolebce, którą poprzedzał kanonik z krzyżem. Za tymi Arcybiskup Lwowski, otoczony pocztem zbrojnych. Biskup Kamieniecki ze świetnym gronem dworzan. Senatorowie, wojewody, rycerstwo zrzuciwszy po świeżym pogrzebie Zygmunta Augusta żałobne kaptury, nie litując kosztów sadzili na przepych. Purpura, drogi złotogłów, sukna *Atalickie* i *Frygijskie*, pruskie atłasy, aksamity gładkie i wzorzyste użyto na stroje. Szlachta, rycerstwo, dobrało dzielnych koni, bogatych pancerzy. Mieszczanie krakowscy w przepychu nieustępowali Senatorom, bo używali dobrego bytu.

Zaległy pola hufce panów całéj Polski. Tu Hussarze lśnili złotem, a od tarczy i proporców blask odbija: chrzęszczą skrzydła sępie na barkach, łabędzie, jak śnieg białe, zdobią wielu tarcze. Tam poczty liczne strojne po włosku, na każdym aksamit podbity kunami, sznurami srebrnemi haftowany, a każdego droższy ubior jak szubka króla francuzika. Kozacy w pancerzach srebrnych, ze złotemi sajdakami w licznych stoją szeregach: brzmią trąby i surmy że *świat drzy*, boć i w bębny jak *grom* kołatali.

Stoi i Litwa strojna ze swymi panami, i sławny wójt Wileński *Rotundus*. Wojewodowie Malborski i Pomorski wiedli swoje poczty w niemieckim z aksamitu stroju. Posłowie ziemscy, szlachta konna, za tymi krakowianie wystawili stu jezdnych w zbrojach, i 4000 pieszych także w zbrojach lśniących.

W pośród świetnego zgromadzenia narodu, stanął z pocztem swoich Hussarzy *Wapowski* kasztelan Przemyslki, nieprzeczuwając iż wkrótce godzina śmierci dla niego uderzy.

Oczyszczono Zamek Krakowski, świeciły się w gmachach ściany przybrane nadobnie: a jedwabne szpalery złotem haftowane rozwieszono w rozleglejszych komnatach.

Przy rzeniu koni, przy chrzęście zbroi, i cichego gwaru tylu tysięcy, Biskup Myszkowski powitał króla Henryka, przy końcu mowy wyrażając aby strzegł sprawiedliwości, pochlebcom bronił ucha, a żył pobożnie.

Patrzał z radością Walezy na ten naród, któremu miał panować, na te tysiące nieprzeliczone zbrojnych, szlachetnego i mężnego oblicza rycerzy, których rzędy, pancerze, przyłbice, tarcze i oręż łyskały drogim kamieniem, złotem i srebrem: a ogrom tych bogactw rozsypanych hojnie po szatach i zbroi tylu tysięcy, zdawał się mówić zdziwionym francuzom, że łatwo im będzie o złoto i srebro, że na polskiéj glebie muszą się rodzić obficie.

Starzy wojownicy nasi patrząc na te gromady nieprzeliczone mówili sobie: »Weźmy to jeno co tutaj widzim, a zastawim się Turkowi, ba i każdemu."

Przy tym narodzie licznym zbrojnym i strojnym z takim przepychem, dziwnie odbijała drużyna francuzików przeziębłych. Wlekli się za swoim królem skurczeni, wybladli od mrozu, chuchając w palce, to na mułach, to w *karach*, to po dwóch na koniu.

I okazał się Henryk Walezy, w atłasowéj czarnéj szubie, podbitéj rysiami, na białym koniu. Szli przed nim dwaj książęta, *Niverni* i *Dumeński*, hrabia *Guiza* i *Mirandola*, przedniejsi francuzi; każdego prowadzili dwaj Wojewodowie.

Czterdziestu gaskonów z rusznicami, i sześćdziesiąt Szwajcarów z halabardami w aksamit żółty i zielony przybranych, otaczało Henryka. Dobosz przed nimi bębnił i piszczałka świstała.

Rajcy krakowscy rozwinęli baldachin złocisty nad głową Króla. Biła godzina piérwsza po północy, kiedy się zbliżył do bramy *Florijańskiéj* którą wjechał do Krakowa. Zajaśniał gród stary, rozwidnił ciasne ulice tysiącem świateł: zagłuszają słuch trąby, bębny, huk dział, wrzawa i odgłosy radośne tysiąców. Zwiększa się ciżba, a tłumy ciekawych po dachach, murach, uczepieni rękoma, oczy ciekawie wlepiają w poważny obchód.

Henryk wstępuje do kościoła Panny Maryi, musi słuchać *oracyi*: na bramach tryumfalnych orły *glogotają*. Zbliża się do zamku, wita go grzmot dział, odgłosy dzwonów licznych, a między tymi wydatnieje poważny, silny głos Zygmuntowskiego dzwonu, jakby jęczał za rodem Jagiełłów. Rycerz konny płonie cały sztucznym ogniem: drzy *Wawel* przez pięć godzin ciągle: a Walezy idzie całować kości świętych, odwiedza potém starą Annę Jagiellonkę z ukłonnością i dopiéro zmęczony zasiada do wieczerzy. (*)

(*) M. Stryikowski: Przesławnego wyazdu do Krakowa Henryka Walezyusza 1575.

II.

Po burzliwéj koronacyi, piérwszą zabawę rozpoczął Henryk u Zborowskich, zaproszony na wesele, gdzie zastał mnóstwo panów i gości. Przez dwa dni raczono wspaniale Króla: była to bowiem rodzina świetna w dziejach narodu, bogactwy usługami dla kraju, słynna że ze swego łona dzielnych wojowników wydawała: dla hojności i gościnności zwana *kuchnią chudych pachołków.* (*) Tu Samuel Zborowski, który na wjazd Henryka zdążyć niemógł, okazał zgromadzonym sto koni swoich Hussarzy, tak strojnie z przepychem przybranych, że wszyscy z podziwieniem towarzystwo to wspaniałe oglądali.

Nazajutrz francuzi na znak przytomności króla, wśród zamku wznieśli chorągiew wyniosłą, dziedziniec wysypano grubo piaskiem, aby w gonitwach nie szwankowało rycerstwo. W około utkwiono 24 kopii, dla dwudziestu czterech rycerzy co się potykać mieli, między témi była jedna Samuela Zborowskiego, nosząca na stojącéj obok tarczy napis, iż ktobykolwiek życzył, byle równy w urodzeniu i godności, gotów jest za zdrowie Króla skruszyć z nim kopiją.

O samym zmroku, sługa Jana Hrabi Tęczyńskiego Kasztelana Wojnickiego, *Janasz Kroata* idąc tamtędy, wyrwał kopią Samuela, zabrał z sobą, mówiąc że z Zborowskim spotykać się będzie. Ten w prze-

(*) Rękopism Biblioteki Załuskich.

konaniu, że Tęczyński na pogardę służalca swego wysłał, przeznaczył ze sług swoich szlachcica *Moszczyńskiego*, aby z Kroatą skruszył kopiję; sam zaś Tęczyńskiego przez poufałych na pojedynek wyzwał. Napróżno Tęczyński uroczyście zapewniał, że czyn Kroaty był bez jego wiedzy i woli, gdy mimo to Zborowski w obec Króla w senacie wyzwanie powtórzył, wtedy zbliżywszy się do Samuela rzekł: »Dosyć usprawiedliwiałem się przed tobą, że ani z rozkazu, ani z wiedzy mojéj, kopija twa przez Kroatę wyrwananą była, lecz jeżeli i na tym nieporzestajesz zaraz gotów będę do boju, zaczekaj tylko chwilę aż sekundanta poszukam." Dawszy sobie obadwa ręce, Tęczyński udał się do domu swego aż przy wałach będącego, aby się do walki przygotować.

Król Henryk z senatu idąc, zatrzymał się, chcąc widzieć walkę Kroaty z Moszczyńskim. Gromada ciekawych napełniła zamek: walczący w całym pędzie wypuściwszy konie uderzyli o siebie: Moszczyński tarczę Kroaty, nieobraziwszy samego, przeszył na wylot: Kroata zniżywszy kopiję przebił kulbakę, i ugodził go w lędźwie, a nieprzestając na tym, dobył z pod kolana pałasza, chcąc ranę powtórzyć, gdyby go krzyk Węgrów nie zatrzymał: zastanowiony tym upomnieniem, schował szablę i na bok odjechał.

Rozjątrzony porażką swego Zborowski, porwał ostry czekan, skoczył do Kroaty, i byłby go zabił, gdyby przytomni niezatrzymali ciosu. Król to widząc, posłał Marszałka koronnego ażeby wszyscy zapaśnicy, pod utratą życia i sławy natychmiast oddalili się

z zamku. Mimo to Zborowski gonił za Kroatą, aż dla uniknienia zabójstwa Firlej Marszałek wielki koronny, w bezpieczne go miejsce z zamku uprowadzić kazał. Wszyscy zagrożeni rozkazem króla opuścili podwórze zamkowe. Sam tylko Samuel ostatni i już prawie nad wieczorem wychodził, zionąc przeklęstwa to na króla broniącego mu przystępu, to na Kroatę, to nakoniec na Tęczyńskiego, że tak długo się opóźniał.

W téj chwili na samym wyjściu z zamku, spotyka Tęczyńskiego z znacznym orszakiem dworzan, wszczyna się kłótnia między wchodzącymi i wychodzącymi: przeciwnicy dopadają koni, i na dziedzińcu między kościołem a mieszkaniem Królewny Infantki Anny Jagiellonki, już pędzą do walki, gdy *Wapowski* kasztelan Przemyslki, dawniéj w nieprzyjaźni żyjący ze Zborowskim, wpada w pośrodek godzących na siebie, i wraz ugodzony śmiertelnie czekanem w głowę upada.

Niémasz żadnéj pewności że cios ten zadała Wapowskiemu ręka Samuela. M. Bielski wyraża » *uderzył Samuel abo sługa jego* (*) Stryjkowski pisze: » Wapowski z Zborowskiego strony ranion zmarł;" to tylko pewna że w tumulcie od stronników Zborowskiego odebrał ranę. Z obu stron słudzy dobywszy oręża powiększyli zamięszanie, gdy piechota Tęczyńskiego z kilku rusznic dała ognia, okrzyk powstaje że Zborowski w nogę raniony; na ten huk lud z miasta do bramy zamkowéj cisnąć się poczyna.

Król przewidując niebezpieczeństwo, bramy zawrzeć

(*) Kronika p. Wyd. 1597 str. 708.

rozkazał, a nie wiedząc powodu rozruchu wpadł w podejrzenie, iż to spisek na niego zmówny z francuzami różnowiercami. Uzbroić się więc swoim poleca, sam przywdziewa zbroję, a gdy się do pokojów jego gwałtownie dobijano, drzwi na ścieżaj rozkazuje otworzyć, gotując się do wpadnienia na zbuntowanych. Ale miasto spodziewanéj napaści, ukazał się (gdy Zborowski odjechał w miasto) Tęczyński, z liczną drużyną swoich, niosąc na lamparciéj skórze Wapowskiego zbroczonego. Ranny głośno na niegodziwość i wielkość zbrodni zanosi skargę: oburzeni Posłowie ziemscy i Senat żądają kary, król przyrzeka winnych ukarać surowie.

Wapowski z ran ciężkich umiéra: śmierć ta rozjątrza umysły więcéj. Krewni zmarłego i Tęczyński z jednéj, Zborowscy z drugiéj strony przychodzili do króla z użaleniami lub usprawiedliwieniem. Ujrzano i żonę zabitego z domu *Maciejowską* Kasztelanową Przemyslką, z małym synem na ręku, i sama i otaczające ją matrony i słudzy w grubéj żałobie, wiodącą mary śmiertelne. Zatrzymał się orszak pogrzebowy przed zamkiem, weszła nieszczęsna wdowa na pokoje królewskie, żale swe szerząc i z płaczem o sprawiedliwość wołając.

Henryk w mniemaniu że wpływowi Zborowskich najwięcéj wybranie swe był winien, za niémi skłaniać się zdawał, jakoż gdy cała ta sprawa wytoczyła się przed Senat, i każdy z Senatorów zdanie swe wynurzył: Król wyrok taki ogłosił.

»Zważywszy iż w wniesionéj przed Nas Wielmożnego »Wapowskiego Kasztelana Przemyślkiego, przeciw Sa- »muelowi Zborowskiemu sprawie, zdania Senatorów »tak były przeciwne, iż je pogodzić trudno: że strony »przeciwne sobie prawa, to jest, jedna 1507 druga 1539 »artykuł przytaczały; zapatrzywszy się że zabójstwo nie »umyślnie lecz z przypadku, i w tumulcie popełnione »było, stanowiemy: iż Samuel Zborowski z Królestwa »Polskiego, W. X. Litt, i hołdowniczych nam państw »na zawsze wygnanym będzie, z zabraniem na skarb »majątku jego, bez utraty jednak czci i sławy: jakoż »tegoż Samuela Zborowskiego niniejszym wyrokiem »za Banitę ogłaszamy i aby starostowie przez woźnych «publicznych za takiego ogłosić go kazali, stanowiemy.

Henryk Król.

Przeczytany wyrok oburzył wszystkich: Zborowscy mieli go za surowym, Wapowscy zbytnie łagodnym. Żadna strona niedziękowała, a wdowa zabitego zalana łzami złorzeczyła Henrykowi.» Jeżeli tak na mężo- »bojców masz być sprawiedliwym (wołała wychodząc) »niechże ten twój wyrok będzie ostatnim.

Prymas odezwał się głośno, iż piérwszy raz widzi że ze sprawy kryminalnéj zrobiono cywilną. W całym kraju wyrok ten powszechną zgrozę wzniecił: a w Krakowie po wszystkich ulicach na bramach nawet zamkowych, przylepiano szarpiące króla paskwile: (*) ztąd częste pojedynki między francuzami i polakami.

(*) Albertrandy. Rękopism biblioteki Zaluskich»Sprawa P. Samuela Zborowskiego.»

Solikowski pisze że *Pibrak* ogłaszający wyrok królewski, ostatnie słowa od *infamii* Samuela Zborowskiego uwalniające, z domysłu swego przydał. Dobra mu zabrano, ale oddaniem ich bratu a przez tego synowi Samuela, wróciły do niego napowrót. Kara więc Zborowskiego skończyła się na wydaleniu go z kraju.

Opinija uniesiona litością za wdową, widząc krew Wapowskiego rozlaną, biła przeciw Samuelowi Zborowskiemu—ale nikt dowieść nie mógł iż on był zabójcą kasztelana Przemyslkiego. Dekret ten w kierunku téj opinii wydany, słusznie rodzina Zborowskiego za srogi uważała: Tęczyński i Wapowscy cios śmiertelny w tumulcie zadany kasztelanowi z zaciętością przyznawali ręce samego Samuela, wszakże w całym toku téj nieszczęsnéj sprawy, żadnego przekonywającego dowodu nie stawili na to.

III.

Zborowski posłuszny wyrokowi wyjechał zaraz z Polski, i na dworze Stefana Batorego Wojewody Siedmiogrodzkiego przebywał, dopóty dopóki nieobranym został Królem Polskim po ucieczce Henryka Walezego. Temu pobytowi Samuela przypisuje Bielski, wyniesienie Stefana na tron Polski. (*).

(*) Kronika Pol. 1597 str. 708 „I to była najpierwsza okazija królowania (Stefana) tu jego"

Wraz z Batorym wraca do kraju w orszaku króla: a gdy Gdańsk opór stawia, Rycerstwo pod buławą z tegoż rodu Jana Zborowskiego, przywodzi gród ten warowny i zamożny do posłuszeństwa. W téj wyprawie miał udział Samuel, późniéj odznaczył się chlubnie pod *Toropcem* i *Wielkiemi Łuki* (*) za co mu publicznie Jan Zamojski na Sejmie dziękował.(*) Przebywanie na dworze Stefana, wpływ jaki rodzina Zborowskich wywarła w poparciu elekcyi tego króla—przyjmowanie jakiego na dworze doznawał Samuel Zborowski i udział jaki miał w wyprawach za co podziękowanie odbierał, już w osobie jego banicyją zatrzeć musiało.

Niedługo wszakże, Samuel dwór królewski opuszcza, czy oziębłością Stefana zrażony, czy widząc przewagę wpływów innych osób—dość iż musiał mieć ważne powody dla których się usunął. Nieprzyjaciele jego którzy nawet po śmierci odzierać go nieprzestawali z poczciwości, głosząc Samuela jako zbrodniarza, niestawili dowodów żadnych któreby zdradę Zborowskiego dowodziły.

Powziął on myśl podburzenia kozaków, i na ich czele zdobyć dla siebie panowanie w Wołoszech. Bartosz Paprocki (herby Rycerstwa Polskiego 1584) mówi że Niżowi kozacy znając go mężnym, hojnym, a dobréj sławy chciwego wybrali na Hetmana.

(*) Rękopism archiwum króla Stanisława Augusta.

(*) Rękopism biblioteki Załuskich.

Wyprawę tę Samuela skreslę wedle podania Paprockiego.

»Zniemałym pocztem sług swoich i hajduków puścił się *Dnieprem*, a jakkolwiek go Zaporozcy kozacy zapraszali do siebie, on tylko dary bogate im posłał a sam pośpieszył dalej. Stefan Batory groźne wysyła rozkazy do kozaków żeby się nieważyli łączyć z Samuelem. Kiedy nieudało mu się *Putywl* zamek obronny opanować, puścił się rzeką *Samarą* gdzie gniazdo było tak zwanych *Kozaków—rzecznych*, co żywili się tylko zdobyczą z łowów i rybołóstwa. Ale choć mu wszyscy uderzyli czołem, nie zatrzymał się Zborowski, i spieszył do pokolenia kozaków bitnych co między progami (porohy) mieszkali.

«Te progi (wyraża B. Paprocki) są z wielkich skał przez które woda jakoby kędy z wysokich grobli spada, a sami kozacy z nich w czółnach się spuszczają po linach."

Zaledwie Zborowski stanął u *Jawołżanego* uroczyska, między progami, kozacy widząc hajduków chcieli bójkę rozpocząć, uważając go jako nieprzyjaciela, ale przez posłów zatargi skończył, i gdy oświadczył że chce z niemi złe i dobre cierpieć zarówno, i jednakowo swoje szczęście podzielać, posłali ośmdziesięciu swoich towarzyszy, którzy go przez dwanaście porohow przeprawili. Była to straszna przeprawa tak że z siedmdziesięciu szlachty polskiéj co go otaczało oprócz hajduków, wielu ulęknionych opuściło chorągiew Zborowskiego. Przybywszy w siedzibę Zaporożców ledwie począł im hetmanić i przedsięwziął

wyprawę, trzysta koni ze swego hufca od szarańczy traci, i wielu towarzyszów co dotknieni puchlizną daléj spieszyć nie mogli.

W pochodzie spotyka posłów kozackich z *Uroczyska* zwanego *Tomakowski—Ostrów* zapraszając go jako Hetmana do swojéj siedziby, a siedziało w niéj 20,000 bitnego pokolenia. Powitany radośnie, wśród gęstych wystrzałów z rusznic, odebrał buławę hetmańską. Ruszył na nowo pod Putywl, ale kozacy w pośród uskarzeń jakiéj niewoli doznają od panów polskich, i niewdzięczności za usługi swoje, niechcieli daléj postąpić dopókiby im niewyjaśnił celów, co późniéj zamyśla.

Zborowski zmuszony wykrył dopiéro zamiary swoje, pokazał im listy Hana Tatarskiego z Perekopu, co jeszcze w domu swoim odebrał z niemałymi dary, i nadzieją zostania Wojewodą Wołowskim: wtedy zaraz wysyła więźnia Tatara żądaniem, aby Han dotrzymał teraz obietnicy swojéj, i wyznaczył na miejsce rozmowy wspólnéj rynek na uroczysku *Karajteben*, gdzie Tatarzy z kozakami wszelakie targi miewali. Na umówionym miejscu zastał już posłów Hana, którzy ofiarowawszy mu w imieniu jego dwanaście rumaków strojnie przybranych i trzy szaty z złotogłowia, a z nich jednę włożywszy na Zborowskiego, oświadczyli że Han przyjmuje go za syna swego, i przyrzeka obietnicy dotrzymanie na księztwo Wołoskie: ale zarazem żądał aby tak jako przyrzekł dawniéj do Persyi z nim jechał. Zborowski obawiając się zdrady, ażeby trucizną lub zasadzką niebył zgładzony, wy-

mówił się z tego posłom, którzy przy odjeździe, padali mu do nóg wedle zwyczaju swojego. Zaledwie ta wiadomość rozbiegła się między kozakami, wnet jedni z nim chcieli jechać, drudzy odgrażali że opuszczą jego chorągiew.

Gdy w śród tego rozruchu, Zborowski nazwyczajony do dawania rozkazów, surowo odezwał się, oburzeni kozacy chcieli podług obyczaju swego, przepasawszy go mocno w stanie, piasku w zanadrza nasypać i zatopić w wodzie. Niedługo powrócili posłowie Tatarscy z wielkim orszakiem, mając tysiąc koni z dary wielkiemi, wozy i wielblądy. Żądali od niego aby bezwłocznie z niemi jechał do Persyi, i konia z bogatym rzędem podali Zborowskiemu. Już chciał wsiadać, gdy kucharz jego *Michał* rzekł do niego z płaczem: «*Panie mój już cię podobno więcéj niezobaczę, jest szczuka dobra, proszę najedz się na drogę*. Zborowski głodny dał się namówić, a tymczasem zażądał od Murzów przysięgi dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Lecz gdy wzbraniali się jéj złożyć, kozacy gwałtem porwali go między siebie, zanieśli na czajki, i ztąd rzęsistym ogniem powitawszy Tatarów, sami go do swojéj zawiedli siedziby, gdzie z radości niewymównéj, że go napowrót widzą między sobą, strzelali, śpiewając pieśni przy odgłosie kobzy. W krótce od brańców którzy z hordy uciekli dowiedział się, że gdyby był razem z posłami wyruszył, niechybnie więźniem by Hana pozostał. Przebiegły Tatarzyn znów przysyła posły, ażeby kozaków Niżowych wstrzymał od napaści na ziemię Tatarską, przyrzekając mu i da-

ry dla kozaków i chorągiew na ziemię Wołoską. W tym Zborowski odprawiwszy posła myślał co czynić? Droga go do *Moskwy* i *Persyi* ominęła. Posyła więc do *Piotra* Hospodara Wołoskiego aby mu się w obietnicy uiścił, a obietnica była takowa. Miał dać 500 koni Zborowskiemu jeśliby szedł na północ, a jemu żeby dał pokój, bo go już była wieść doszła, że się przeciwko niemu gotował. Tę obietnicę zrobił mu Wołoszyn kiedy mieszkał w *Złoczowie* na zamku swoim. Wysyła więc do Wojewody Wołoskiego dworzanina swego z jednym z mołojców, dając mu czasu do czterech niedziel. W śród tego zbiegli więźniowie od Tatarów, donoszą że wielkie stada Tatarskie są wpobliżu, i wsie ich podemknęły się do Dniepru: bo tam wsie takim kształtem budowane, jak budki owczarzy co na kółkach wszędy je włóczą, a gdy o trwodze usłyszą, zaprzągłszy do tych chat przewoźnych uciekają co najdaléj. Kozacy słysząc to, widząc łatwą a bogatą zdobycz, zbierają się do napaści: ale Zborowski pomnąc że mógłby ojczyznę swoją na wojnę narazić, łamiąc pokój z królem i koroną zawarty, dla wstrzymania ochoczych do łupieży kozaków, rozdał między nich konie, szaty swoje, sprzęt rycerski — resztę surowością odgromił, czekając posła swego z Wołoszczyzny daremnie.

Dla dostania soli wysłał stu kozaków na morze, bo tam kiedy suchy rok, zsiada się sól biała jak lód na przyległych wyspach; sam puścił się czajkami na Dniepr, ciągły mając niepokój z kozakami co nieznając ojczyzny, w miéjscu kędy żyją całą pokłada-

ją nadzieję podług przypowiastki *póki żyła, póty była!* znosząc głód i niewczacy; wysłani po sól dają mu znać że dwa galary Tureckie weszły na Dniepr, a 10,000 Tatarów lądem, chcąc w ciasnym miéjscu kozakom bitwę wydać. Ale zaledwie galary ujrzały kozaków czajki, z pełnym żaglem uciekły. Zborowski otrzymuje wiadomość że w Wołoszczyznie posłów jego zatrzymano, rozgniewany już rozmyśla o napadzie w tę ziemię, gdy brańcy uciekający z niewoli Tatarskiéj przynoszą wieści, że teraz sposobna pora dla kozaków dla wpadnienia do hordy, bo sam Han z większą częścią wojska w Persyi przebywa, a żona jego w przestrachu uciekła do lasu. Na taką ponętę burzą się kozacy, ledwie ich zdołał powstrzymać Zborowski, i zaraz wysłał posły do żony Hana, że utrzyma ich w pokoju. Mimo to, umyślił zamek osadzony Tatarami zwany *Hasłonhorodek* zdobydź, o który na próżno pokuszał się kniaź *Rożeński*, i gdy podsadzał nieostróżnie prochy sam wyleciał w powietrze. Posyła do osady tłómacza aby wysłali kilku do niego na rozmowę, a rozkazał skraść się pocztowi kozaków z rusznicami dla tego żeby go nie porwali. Lecz gdy jeden z kozaków strzelił do Tatara, a zagniewany Zborowski rzucił się z szablą na niego, towarzysze zaczęli go bronić, i taki rozruch powstał, że zaledwie potrafił ich ubłagać. Spełzła myśl wzięcia zamku, ale dojrzewała wpadnienia do Wołoch. Kozacy obszywają czułna trzciną bo były za małe na morze, gdy słyszą strzały działowe, i niedługo oglądają dziewięć Tureckich wielkich galar. Ztrwożeni, głusi na proźby

Zborowskiego uciekają w popłochu: sam więc pozostał, i patrzał jak z szybkością strzały najpiękniejsza galera prosto szybuje; słyszy na nich trąby, bębny, widzi rozwite chorągwie pogan, spójrzy na swoich, kozacy w popłochu rzucają się w wodę, inni przybijają drzący do lądu. Opuszczony, ale niestrwożony choć kule tureckie dziurawią czajki, mierzy ze szmigownicy którą miał na czajce, i tak trafnie ugadza, że Turcy w trwodze krzyczą *Hała*, *hała!*—Kozacy odzyskują serce, wracają, uderzają śmiele na Turków co wysiadali na ląd, gromią, rozpędzają zdobywszy chorągiew pogan. W śród zwycięztwa wieść nadlata że tatarzy lądem śpieszą: Zborowski rozkazuje rozwinąć chorągiew zdobytą, a gdy Tatarzy z ufnością ku niéj spieszą, przyjęci gęstym ogniem z rusznic pierzchają rozegnani.

Ale na czajkach wracać zwycięzcy, niemogą bo wszystkie popsute. Zborowski ze 150 mężniéjszymi cofa się lądem otoczony ciągle ćmą Tatarów. Głód wycięcza ich siły, a w dzikich polach niemogą zdobyć zwierzyny: śmierć głodna niechybna, gdy na szczęście kozacy co pouciekali piérwsi, wrócili i mieli nieco z sobą żywności, posileni zwracają kroki ku Wołochom do *Probitego uroczyska*, chwytają kilku rybaków Tureckich i dowiadują się że straź Wołoska stoi na *Martwej wodzie*. Mając tylko jedenastu towarzyszów szedł z rozpaczą stoczyć bitwę, by zdobyć jaką żywność, od dni kilku nic prócz żołędzi nie jadłszy: kozacy umierający z głodu namawiali aby wrócił do wojska. Przybył wreszcie do *Probitego Uroczyska*

i znalazł tam pismo które straż jego napisała węglem na drzewie w tych słowach: «Jesli tu kto będzie z wojska Hetmana naszego powiedz o nas na *Uroczysku krzywym!*"

Zradością pośpieszyli w oznaczone stanowisko, znalazł swoich, którzy go i pozostałych towarzyszów, od głodnej śmierci zachowali."

Na tém kończy swoje opowiadanie Bartosz Paprocki w herbarzu. Z tąd wyjaśnia się myśl smiała Samuela opanowania Wołoszczyzny—jak trudna do wytłómaczenia podróż do Persyi co spełzła na niczym. Zostaje zagadką także wtargnienie jego na północ i kuszenie się o zdobycie zamku Putywla. Cokolwiek bądź żadnego tu śladu zdrady dojrzeć niemożna: niepierwszy to raz i nie ostatni, zawracała głowy naszym panom myśl opanowania Wołoszczyzny, i z prywatnemi siłami, zachwiano nieraz potęgę Wojewodów téj ziemi.

Samuel wrócił do kraju—odtąd milczą o nim podania, aż do chwili jego zgonu, w któréj smutny rozwinął się dramat.

IV.

Samuel Zborowski we wsi *Piekarach* pod Proszowicami bawił u swej siestrzenicy wdowy Włodkowéj z domu Stadnickiéj, gdy Jan Zamojski Hetman i Kanclerz koronny, kazał go schwytać. Napadnięty w nocy

i pod strażą w zamku krakowskim osadzony. Po dawnéj nieprzyjaźni z Zamojskiem i po charakterze energicznym jaki okazywał ten bohatér czasów Stefana i Zygmunta III, zwątpiwszy o życiu swoim, czekał w modlitwach godziny śmierci niechybnéj, sam się modląc, bo mu odmówiono pomocy duchownéj, a nawet nasłano przebranego pachołka, którego oddalił poznawszy podstęp niezręczny.

Zapowiedziano odwiedziny samego Kanclerza.— Wszedł *Urowiecki* podstarości, za nim niesiono stołek i postawiono go przed łóżkiem Zborowskiego: za nim *Drojowski* Starosta Przemyslki, Żołkiewski szablę trzymając w ręku, a za nim Zamojski z półhakiem gotowym nałożonym, jakby się obawiał popędliwości swojego więźnia. Rękopism współczesny, tak opisuje całą rozmowę.

«Gdy wszedł Kanclerz, Samuel wstał i prosił o łaskawe obejście, na co on kiwnął głową mówiąc:—O Samuelu! Samuelu, prawda żem ja mężniejszy niżeli ty żem cię dostał.

ZBOROWSKI.

Nigdy to niebyło, abyś ty mężniejszy nademnie miał być ani z narodu (rodu) twego obierze się nie równy, ale mię grzechy moje dały w ręce tobie, nie męztwo to twoje sprawuje. Było mię imać inaczéj jako Hetmanowi przystoi, nie w nocy jakoś ty nasłał ceklarze swoje, kiedym tylko sam spał, wszak się nie kryłem, jeździłem jawnie ubezpieczony glejtem Królewskim. Każdego pojmasz zdradą łatwo.

KANCLERZ.

O! niewiem gdzieś twoje męztwo pokazywał.

ZBOROWSKI.

Tam je pokazywałem, gdzie cnotliwym przystoi pokazywać. Ważyłem koszt i utratę dla niego, jeżdząc kilkaset mil dla dobréj sławy.

KANCLERZ.

Niewiem gdzieś to męztwo pokazował, chyba najeżdzając domy szlacheckie, łupiąc klasztory.

ZBOROWSKI.

To nieprawdę mówisz!

Kanclerz za tém słowem porwał się do półhaka, aże go Starosta Przemyslki uchwycił.

ZBOROWSKI.

Idź odemnie, niezabijaj mi duszy, bo czas krótki mam, grzechów wiele, niech się sprawie Bogu memu.

KANCLERZ.

Powiedz z kim się buntowałeś na Króla.

Tego nigdy nie było, bo nietylko o jakich buntach przeciwko niemu, ale i źle mu nie myśliłem.

Kanclerz zastraszył go śmiercią, na co odrzekł.

—O! niewysmażysz na mnie nic, nierozumiéj tego żebym się śmierci bał, dalekom ja jeździł dla śmierci, a niepotkała mię, a teraz zdybała mię *insperate*, tego mi tylko żal że od ciebie ginę, którego cię wPolsce przedtym i nieznano.

Tu Kanclerz okazał mu listy, w których były wyrażenia nic nie dowodzące; (*) a z tłómaczenia Samuela okazuje się, że chcieli z bratem Krzysztofem wyprzedać dobra, i w inny kraj się przenieść; gdy zaś Zamojski wyrzekł, że inaczéj ja to rozumiem, Zborowski zawołał:

—Już rozumiéj jako chcesz, boś się lepiéj uczył wszkole rozumieć, dobryś ty żak. Moja nauka nie była tylko szabla a koń dobry, daléj nieumiem nic. Proszę cię daj mi pokój, bo czas mam niedaleki, a Boga bardzo gniewałem.

Kanclerz pokazywał znowu listy jakby ręką Samuela pisane, których się wyparł. Kazawszy więc Zborowskiemu na jednym podpisać swe nazwisko, porwał kartę i wyszedł.

Od początku schwytania pilnował go w więzieniu Mroczek Rotmistrz pieszy, człowiek zacny i poczciwy,

(*) Patrz Pamiętnik Warszawski F. Bentkowskiego T. VII. z r. 1817.

tego zaklął aby testament który napisał zapieczętowany oddał sługom jego. Obiecał, ale Zamojski dotawszy w ręce już nikomu go nie okazał. Całą noc modlił się z rotmistrzem.

W tym gdy świtać poczęło, wyjrzał oknem i rzekł do niego:—Już panie Mroczku świta, a jako ten dzień jasny będzie, tak też mam nadzieję w Bogu że mię oświeci łaską swoją!

Skoro rozwidniało się nieco, przybył Urowiecki z wielką zgrają do więzienia, mówiąc:—Panie Zborowski pójdź z nami bo już czas przyszedł.

W pogotowiu był ubrany w żupan atłasowy i delię szkarłatną rysiami podszytą.—Ha już czas, pójdźmyż w imię pańskie, trzebać mi było jeszcze z panem Bogiem sprawę mieć, ale to już być nie może. Panie! z miłosierdzia twego wielkiego przyjmij ducha mego w ręce swoje!

I poszedł otoczony czeredą zbrojnych, a mając książkę pod pachą, zawołał:—Dla Boga! czytaj kto, boć i mówić nie mogę.

I pachole Urowieckiego który był w tym orszaku, począł czytać psalmy. Kiedy przyszedł ku kościelnym drzwiom katedry, rzekł:—I tu Boga chwalą nie kogo inszego, proszę was dopuśćcie mi abym tu ostatnią oddał ofiarę Panu Bogu memu. Ale Urowiecki odrzekłszy: nie będzie z tego nic, już teraz pójdź bo niemasz czasu: dalej iść kazał.

W onéj chwili wyszedł z kościoła Zamojski i zawołał.

—Odpuść mi Zborosiu, że cię każę tracić!

—Nie odpuszczę przed Bogiem i przed ludźmi, bo mię niewinnie tracisz.

Zawołał powtórnie Kanclerz. — Odpuść mi Zborowski!

Samuel ręce składając odrzekł: — nieodpuszczę to wiedz!

Wtedy Zamojski kazał stanąć, i poraz trzeci zawołał. — Dla Boga cię proszę odpuść mi.

Na on czas Zborowski wyrzekł. — Jużeś mię teraz zagadł, odpuszczam, ale cię pozywam przed straszliwy sąd Boga żywego, przed którego majestat ja dzisiaj stanę. Ten mię ztobą niechaj rozsądzi, że mię niesłusznie tracisz.

Kanclerz na te słowa za głowę się uchwycił, a Samuel sam do siebie wielkim głosem mówił, co słyszeli wszyscy. — Miły Boże! prawda to widzę istotna, że śmierć za sprawiedliwym sądem Bożym przychodzi, iż powiedział: kto mieczem wojuje od miecza ginie, jam wojował mieczem od miecza też ginę.

Potym rzekł do sług Kanclerza co go otaczali.

— Widzę że między waszmościami jest wiele zacnych i uczciwych szlachty, najprzód Bogiem moim się świadczę, i wami wszystkiemi, i jemu samemu przysięgam przez imie Jego, żem jako żyw nic złego nie myślił Rzeczypospolitéj ani Królowi, jakożkolwiekbądź, ten niechaj będzie świadkiem że niewinnie ginę.

Takiego przysięgania poklęknąwszy było ze trzy razy. Otworzono furtę, za którą wyszedłszy pojrzał na świat i rzekł: — Gdzież moi bracia, gdzież moi przyjaciele, gdzież moi słudzy, których ja zawsze mia-

łem nie mało, a teraz sam ginę. Poczém zaczął się rozbierać, a gdy w tym Drojowski Starosta Przemyslki chciał mu pomódz, odepchnął go, mówiąc: »Idź zdrajco odemnie nie służ mi więcéj." Szaty swoje dał Mroczkowi, aby je oddał Wińskiemu wyrostkowi jego: dał mu też chustkę którą miał od Cara Perekopskiego aby ją zmaczał we krwi jego, i oddał synowi.

Wszyscy uklękli i w modlitwie chwilę zostawali, aż Zborowski powstał a obracając się do kata rzekł: —Już i na to przyjdzie tobie się też modlić, wszakże cię proszę nieprzeszkadzaj mi aż wymówie to imie trzy razy *Jezus*, a tobie i hajdukom odkazuję manele.

Ukląkł, a gdy piérwsze słowo zawołał *Jezus*, zaraz kat porzuciwszy miecz uciekł, hajduk wyrwawszy się porwał za miecz rzucony i ściął Zborowskiego.

Dworzanie i słudzy zabitego przybiegli z wielkim żalem do furty, i znaleźli ciało swego pana w trumnie, zanieśli je więc do Zebrzydowskiego wojewodzica Kaliskiego. Było wiele ludzi z niémi i przyjaciół nieboszczyka. Między niemi nieznajomy w czarnym żupanie aksamitnym do trumny przystąpił, i umoczywszy we krwi zabitego chustkę, zawołał wielkim głosem.

—Jeżeli kto z powinnych jego nie będzie się mścił, ja przysięgam na Boga żywego, że się téj krwie niewinnéj mścić będę, a ta chustka świadkiem mi będzie zawsze żywym! (*)

(1) Rękopism o rozmowie Zamojskiego ze Zborowskim piérwszy raz drukiem ogłosił F. Bentkowski w Pamiętniku

Dnia 30 Maja 1584 roku o godzinie 17, Zborowski Marszałek brat zabitego, stanąwszy obok ciała ściętego brata, wśród licznego orszaku krewnych i szlachty, w te słowa przemówił. (*)

»Żal nasz miłościwi panowie i miłościwe panie, i nasi łaskawi panowie bracia i insi wszyscy słuchający, gdyż jest taki wielki, żeby go w najmniejszéj części wypowiedzieć chciał, ani słów, ani tchu, ani łez pewnieby nie stało. Ale iżby się takowym frasunkiem i Pan Bóg obrazić mógł, i zły nieprzyjaciel tym się karmił, musiemy to porzuciwszy do czego inszego coby go tak nietuczyło (od Pana Boga od którego wszystko dobre począwszy) udać się. Zamojski Starosta tutejszy sub praetextu exekucyj urzędu swego czyniąc to, pod tą zasłoną wielkie i haniebne morderstwo i tyraństwo we krwi naszéj popełnił." W dalszym ciągu okazując niewinność ściętego brata, tak zakończył.

»Dziękujemy tedy waszmościom powolnie i płaczliwie, żeście waszmość nietylko chrześciańskiéj powinności dosyć uczynili, aleście ulżyli tym uczcze-

Warsz: w starych przecież rękopismach liczne znajdują się tegoż zdarzenia odpisy z małymi zmianami; sam w zbiorze dawnych rękopismów z XVII i XVIII wieku, posiadam w sześciu oddzielnych rękopismach to zdarzenie, snać że umysły szlachty, bardzo były nim zajęte w narodzie.

(1) Mowa z rękopismów A. Naruszewicza, własnorącznie przez tego historyka poświadczonych za zgodność kopii z oryginałów.

niem tego ciała, zacnego nieznośnego żalu naszego. Pewniśmy tego że ten przypadek szkodliwy wszystkiéj Rzeczypospolitéj braci waszych waszmość i naszéj w domach swych rozniesiecie i rozpowiecie, abyśmy wspólnie czasu swego acz ci już biéda jako mówią téj podległéj kokoszy, niedali się wławiać w wolności nasze, w sławę ciała i majętności nasze. Rzekłem i do tego się zawzdy nietylko znać ale i popierać i dowieść zawsze gotów będę."

Ciało Samuela brat Andrzéj Marszałek nadworny, zabrał z Krakowa do Zborowa, i tam stało długo niechowane. (*) Rodzina albowiem cała, miała wytoczyć tę sprawę na Sejmie przeciw Zamojskiemu, i chciano je w izbie poselskiéj okazać zgromadzonym posłom, ale umiano zapobieżeć temu, i sprawa spełzła na niczym. Wytoczono bowiem proces o obrazę Majestatu Krzysztofowi Zborowskiemu bratu ściętego, a jak się bowiem pokazuje z rękopismów archiwum Króla Stanisława Augusta, zebranych dla Naruszewicza, pomimo oporu posłów i niezgodności Senatorów, w obec samego Stefana Batorego przeprowadzono sprawę, zakończoną wyrokiem haniebnéj dla Krzysztofa banicyi, odsądzającym go od czci i sławy.— Tak grom gotowany na Zamojskiego, ugodził w starodawną rodzinę Zborowskich, druzgocąc do razu niemal jéj świetność i znaczenie.

(1) Bielski, Albertrandy.

V.

Teraz zapewnie przychodzi rozwiązać pytanie, cóż za zbrodnię popełnił członek tak znakomitéj rodziny, że go miecz katowski zbezcześcić musiał? Czyż to był człowiek, którego cały żywot był ciągiem występków, zbrodni, łupieży, najazdów?—Odpowiadamy, *nie*!— Był to dzielny mąż w boju, niepośledni wojownik, ale w charakterze gwałtowny, w uniesieniu nieschamowany: ciążyły na nim grzechy, ale dalekie aby w owym wieku mazane były mieczem kata. Poprzemy to dowodami.

Po nieszczęsnym tumulcie na zamku krakowskim za Henryka Walezego, w którym z rany odebranéj umarł Wapowski, Samuel przebywa na dworze Stefana Batorego Wojewody Siedmiogrodzkiego, i wpływem swojéj rodziny pomaga do wyniesienia go na tron. Wraz z nim przybywa do Polski, Batory używa go w wyprawach do Inflant, a sławny Bartosz Paprocki z tego powodu przypisuje mu dzieło swoje »Hetman." (*) Ale wkrótce Król począł obojętnieć dla Samuela i rodziny całéj Zborowskich, właśnie jaśnieć począł w dziejach wydatniéj Jan Zamojski. W prywatnéj między braćmi Zborowskiemi korrespondencyi, z tego powodu były żale i przymówki na Stefana,

(*) Drukowany 1578 roku. T. Czacki na jednym exemplarzu własnoręcznie dopisał, z jakiego powodu B. Paprocki, przypisał dzieło to Samuelowi Zborowskiemu.

równie jak na Kanclerza. Samuel miał przy sobie dobrego lutnistę imieniem Wojtaszka, który uciekłszy z klasztoru Bernardynów gdzie był lajkiem, na dworze jego znalazł przytułek. Zborowski kazał go uczyć, wyłożył nań 2000 złp. ówczesnych, (*) gdy nagle niewiadomo z czyjéj podmowy, łotr skrada ze szkatuły Samuelowi listy i Zamojskiemu składa. Na tak skradzionych listach opierają się wszelkie dowody winy Samuela, który widząc się oczernionym i poniżonym, przedsiębierze szaloną wyprawę na Zaporoże, zbyt długo w nieczynności zostając, usunięty od udziału rycerskiego i zapomnianą z czasów Henryka banicyą, na nowo obciążony. Zawiść wrzała pomiędzy Zborowskiemi i Zamojskim, ztąd Kanclerz łatwie uwierzył donosicielom, że Samuel godzi na jego życie, to był powód, że rozkazał go schwytać i stracić.

Ważny w téj mierze pozostał pomnik, jest to: »Skrypt pana Kanclerza i Hetmana W. K. do rycerstwa kwarcianego o ścięciu pana Zborowskiego."

W nim sam Zamojski zdrady Samuelowi niezarzucając mówi: »Że się nie cieszy z tego, że ostrzegał »Zborowskiego ażeby w obrębie jego Starostwa nie »bywał. Gdy zaś był we Lwowie prosił go Samuel »żeby mu pozwolił noc przebyć, a potem odjechał »i przyrzekł stawić się na wyprawę przeciw Tatarom. »Gdy Zamojski wrócił, już zastał Jego Królewską Mć »(Batorego) *animatum* do dania w małżeństwo córkę

(*) Rękopism Bibl. Załuskich.

»brata swego nieboszczyka wojewody Siedmiogrodz-
»kiego, za wolą i zdaniem samego nieboszczyka, który
»go był upodobał sobie: że to ożenienie nie z ambi-
»cyi ale od Boga poszło: że Samuel czyhał i ciągle za
»nim chodził. W ostatku przytacza na obronę że oj-
»ciec Samuela Marcin Zborowski, Sanguszkę z domu
»Olgierda Xiążę: Litew: banitę, nie z urzędu ani
»z jurysdykcyi, ale prywatnie pojmał i o gardło przy-
»prawił, a nie ganiono mu tego."

Skrypt ten był wydany, aby uśmierzyć sarkanie głośne rycerstwa, które po schwytaniu Zborowskiego, zażądało od Zamojskiego aby z wykonaniem wyroku wstrzymał się do sejmu, ale Kanclerz zamachem miecza, bardzo śpieszną dał odpowiedź.

Energia jaką okazał wielki Zamojski w wykonaniu prawa, niemoże nań ściągnąć żadnéj nagany, bodajby taka sprężystość w późniejszych dziejach istniała, a prawa niebyłyby nieme: ale surowa potomność nie pochwali ścięcia Samuela Zborowskiego; wymówka, że jako na banicie wykonał prawo nie służy,—bo ten banita wszedł z Stefanem Batorym do kraju, walczył pod jego sztandarem w Inflantach, dzielił sławne Stefana wyprawy; temu banicie publicznie za okazaną odwagę sam Kanclerz Zamojski składał dzięki, i razem dzielili łącznie trudy, wstrzymując rozbójnicze zagony Tatarów. Jeżeli prawo miało być wykonane, niepotrzeba było dozwalać Samuelowi jako banicie przebywania na dworze Króla, ani dawać uczestnictwa w świetnych wyprawach. Czyż tu wielkiego Zamojskiego nie uniosła prywata? Gdzież dowody że

nastawał na życie Kanclerza, pogłoski nie są przekonaniem, a ufność z jaką spoczywał w domu swéj siestrzenicy bezbronny, okazuje fałsz téj baśni, bo inaczéj tak blisko wroga na którego się czatuje, nie zasypia spokojnie, ale w pogotowiu stoi z drużyną zbrojnych, których Samuelowi niebrakło, mając dwór liczny i poczet rycerstwa niemały.

Mimo zarzutów prywaty, Zamojski przeważnemi usługami zbyt wzniosłe w dziejach zajmuje stanowisko, a nawet charakterem osobistym i prawością domowego życia. Zborowskiego żywot, wybryki szalone znaczą. On to w ziemi *Chełmskiéj* półtory mili od Krasnego-Stawu, wzniósł zamek w *Krupie* tak warowny że do najobronniejszych w Polsce należał. Lubo był bogatym posiadaczem mnogich włości na Ukrainie, Rusi, w Polsce i Litewskim Polesiu, na przekorę Janowi Zamojskiemu z którym żył w sąsiedzkich sporach i kryjoméj nienawiści, wzniósł ten gród warowny na iłowatym wzgórzu, smętny i ponury. Siedm baszt półkolnych wystawało z okręgu murów tak wysokich, że te kryły całkiem i zamek i wieże. W baszcie od południa brama ciasna i wsunięta we framugę, przed murem w około potrójny przekop i potrójny wał, a w przekopach woda. Na kopułach wszystkich siedmiu baszt kamienne tarcze, na każdéj wyżłobiona podkowa grzbietem na dół zwrócona, a w niéj krzyż, nad każdą tarczą hełm z koroną, a nad nią Jastrząb w pogotowiu do polotu, obrócony w prawą stronę, na nogach dwie pęciny, w szponie prawéj takąż podkowę

z krzyżem trzymający. To był herb *Jastrzębiec*, godło starożytnéj rodziny Zborowskich.

Tu wyprawiał hojne Samuel uczty, tu zaproszonego Włocha *Kandiana* w gościnę, obrażony że szydzącego dworzanina uderzył, kazał wysmarować miodem i zmusił aby walczył bezbronny z rozżartym niedźwiedziem. Powalił niedźwiedzia krzepki Włoch, a Zborowski tak niegodnie zdeptawszy święte prawa gościnności, skalał imie swoje.

Zostawił z Zofii Jordanównéj Kasztelanki krakowskiéj dwie córki i dwóch synów, Annę, Krystynę, Samuela i Alexandra. Anna wydaną została za Korycińskiego Wojewodę Rawskiego. Krystyna była za Rafałem Grochowskim Kasztelanem Lwowskim. Ta fundowała w roku 1625 kościół z klasztorem OO. Reformatów pod wezwaniem S. Kazimierza w Krakowie na przedmieściu. Szwedzi za Jana Kazimierza zniszczyli tę pamiątkę pobożnéj niewiasty. Samuel zszedł bezpotomnie.

Alexander dziedzic na *Mikulenicach*, pułkownik sławny z odwagi rycerskiéj, który dał świetne dowody przy zdobywaniu Smoleńska. Mąż pobożny i cnotliwy szanujący tak wiele (jak mówi Niesiecki) kapłanów stróżów ołtarza, że do szabli się porywał jeśli usłyszał kogo szydzącego z tego stanu. Spoczywa w kościele Jezuitów we Lwowie, który ubogacił podarkiem wielu sreber. Z małżonki swéj Magdaleny Fredro, córki Jana Kasztelana Przemyslkiego zostawił córkę Annę, która w panieństwie zmarła 1620 r. i syna Adama Alexandra. Ten, wielki majątek jaki otrzymał po ojcu,

wstąpiwszy do zakonu Jezuitów, na zakony Jezuickie rozdał, sam żywot na usługi bliźnich poświęcił. Gdy morowe powietrze uderzyło na miasto Kraków, żebrze u starszych jak o łaskę by mu służyć zapowietrzonym dozwolili. Wkrótce szlachetny młodzieniec ratując tych których wszyscy opuścili, dotknięty zarazą umiéra dnia 4 Sierpnia 1652 roku. Tak skończył wnuk i ostatni potomek Samuela Zborowskiego.

Dwie pieśni przechowały pamięć Samuela, polska i ruska. Polską dochowały rękopisma A. Naruszewicza. Ruska dotąd w ustach ludu brzmi po całéj Rusi. W polskiéj wystawiono żale w więzieniu samotnego Zborowskiego.

«Same mię tylko nieba wtenczas zapłakały
Gdy na niepożyteczną moją śmierć patrzały.
Boże który swym okiem przenikasz skrytości,
Tobie ja się poruczam w mojéj niewinności.

Nikogo niebyło coby go użaliły, Krakusowa tylko skała (jak wyraża pieśń) krwawą mgłą westchnęła.

Zaledwie się ta pieśń zjawiła, zaraz stronnicy Kanclerza komentarz do niéj dodali, a współczesna ręka dopisała: »że dobrze iż Samuel zginął, bo będzie drugim na exemplum że zuchwałego zawsze karzą.

Ruska pieśń wspomina go jako Hrycka Zborowskiego Atamana Kozaków. Znajduje się w zbiorze P. Maksymowicza, przełożona wiernie na polskie przez znanego zaszczytnie w literaturze naszéj P. Michała Grabowskiego.

Kaź: Wład: Wójcicki.

Z BAJRONA.

I ty uronisz łzę na moim grobie?
O! powtórz piękna, powtórz mi te słowa:
Lecz jeśli one smutek wróżą tobie,
Niechaj cię niebo od smutku zachowa!

Martwe me serce w krwi ostygłéj tonie,
Pierzchnęły wszystkie sny młodości miłe,
Ty jedna tylko, po mym wczesnym zgonie,
Westchnieniem uczcisz samotną mogiłę.

Lecz zdaje mi się że jasność niebieska
Przez mgłę cierpienia dla mnie świeci zdala;
Miło gdy śmierci przewodniczy łezka,
Kiedy się serce nad sercem użala.

Bóg błogosławi łzę litości błogą:
Łza ta, co ulgę przynosi dla duszy,
Tém droższa dla tych co płakać nie mogą,
Komu ból ciągły zrzenice wysuszy...

Był czas, że słodkie uczucia pieściło,
Podobne twemu niegdyś serce moje,
Dziś mu i piękność przestała być miłą,
Bo je oplotły długich cierpień zwoje....

— I ty uronisz łzę na moim grobie?
Aniele ziemski powtórz mi te słowa:
Lecz jeśli one smutek wróżą tobie,
Niechaj cię niebo od smutku zachowa!

Amurat B......

KONIEC.